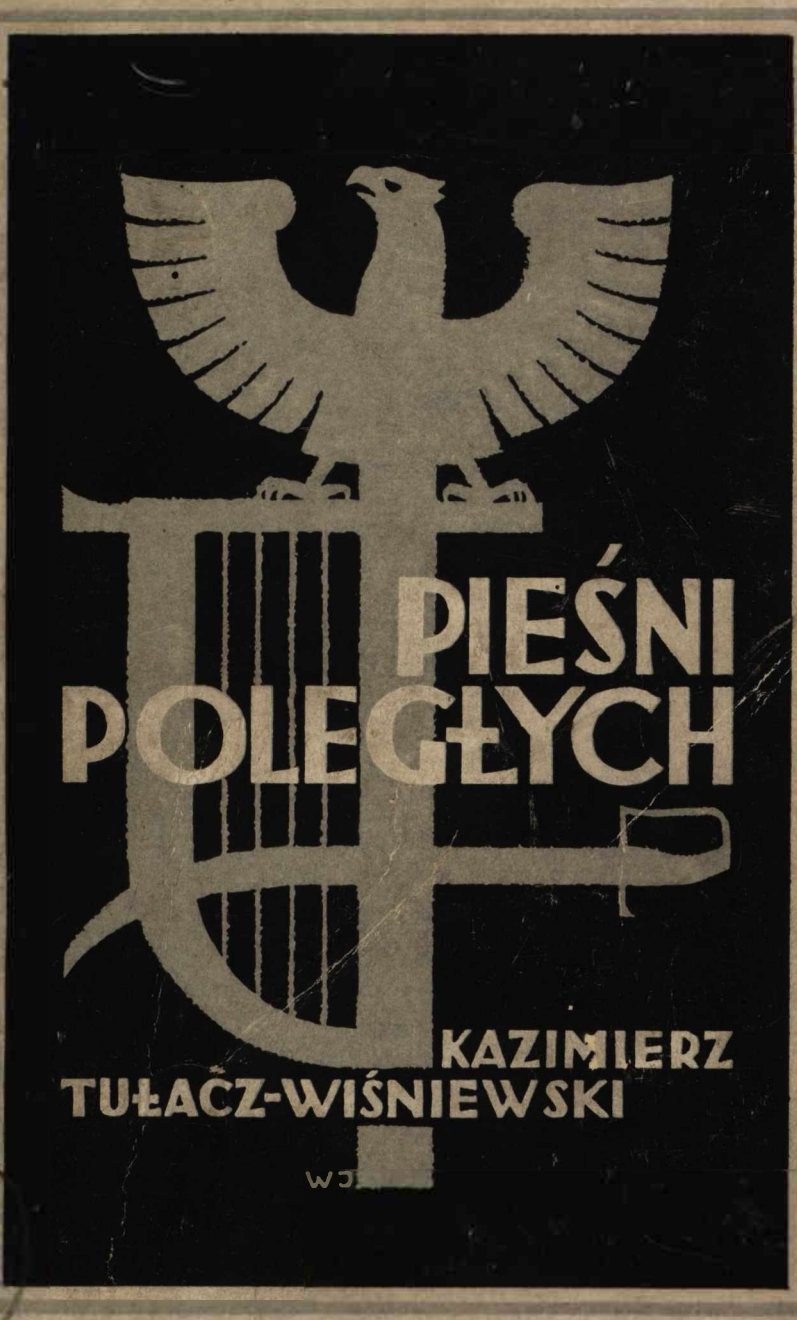
PIEŚNI
POLEGŁYCH
KAZIMIERZ
TUŁACZ-WIŚNIEWSKI

PIEŚNI POLEGŁYCH

42

17.6.35
SKW

Printed in Poland

KAZIMIERZ TUŁACZ - WIŚNIEWSKI

10856776

3158022

PIEŚNI POLEGŁYCH

Z RYCINAMI

WARSZAWA 1933
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

OKŁADKA PROF. JASTRZĘBOWSKIEGO

1000174405

B. 76286

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE.

Wydz. hist. Lit. 13a

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

K. 747/60/27

GŁÓWNA DRUKARNIA WOJSKOWA, PRZEJAZD 10.

SPIS RZECZY.

str.

PRZEDMOWA IX
STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI 1
Początek i progres wojny moskiewskiej 8
List do króla 26
List do żony 28
JAKÓB JASIŃSKI 31
Do Stefana Batorego 35
Do narodu 37
Moja piosenka 40
Jaś i Zosia 41
Śpiewka 43
Osioł 44
CYPRJAN GODEBSKI 45
Dąb i drzewka 48
Wiersz do legjów polskich 49
ANDRZEJ BRODZIŃSKI 65
Polak powstający 67
Pożegnanie z kochanką 69
Bębnią do boju, już listu niema jak przesłać . . . 70
Do towarzyszów 71
Duma nad bańką na wodzie 72
Przestrogi młodym 73
WINCENTY REKLEWSKI 75
Sielanka 77
Liryk 79
Halina 80
Sonet 81

str.
JÓZEF ŁAPSIŃSKI 83
Widok po zachodzie słońca 84
Widok z Tyńca 85
Bielany na wiosnę 86
Łobzów 87
Pomnik Kościuszki 88
Pieskowa skała 89
Ojców 90
RAJNOLD SUCHODOLSKI 91
Skon wodza Kleftów 93
Dalej bracia do bułata 94
Polonez 96
Marsz 98
Do Wilhelma M. 100
Nadzieja 101
Przyjaźń 102
MAURYCY GOSŁAWSKI 103
Dumka 106
Mazur podolski 108
Chorągiewka 110
EDWARD DEMBOWSKI 115
Śmierć żeglarza pod Wenecją 119
Urywki, myśli 121
MIECZYSŁAW ROMANOWSKI 123
Orły, sokoły 126
Modlitwa 127
Do mej młodości 128
Złoty szlak 129
Budząca różdżka 130
Idzie ku nam 133
Spotkanie 135
JERZY ŻUŁAWSKI 139
Testament 141
Polska mowa 142
1848 143
Sonet IX 145
Donkiszoci 146
Zwidniało mi się 147

str.
STANISŁAW DŁUGOSZ 149
Spełniłeś 151
Naprzód 152
Na dawną nutę 153
Mgły 154
Nie dał los 155
A ja pójdę 156
Nasz los 158
Trzeba umrzeć godnie 159
Bohaterom 163
Ostatni przymrozek 164
JAN ŁYSEK 165
Miłości w słowach nie zmieszczę 166
Śpiący rycerze 167
WŁODZIMIERZ KONIECZNY 173
W bojach się rodzi duch 175
Nike samotracka 177
Pieśń 181
JÓZEF MĄCZKA 185
Kiedyś 187
Chrzest 188
Na starą nutę 189
Nasze roty 190
Cieniom poległych 191
Przysięga 192
Droga legjonów 193
W czarne noce 196
Krwawy spadek 198
Fanfary 199
Rozkaz 203
Do pamiętnika chorążyny W. G. 204
Złote ognie 205
JERZY NIEMENTOWSKI 207
List 208
ROMAN FELDSZTEJN-FELSZTYN 217
Czy się mnie tak ino zda? 218
Błogosławiona 219
Jak te wczorajsze kwiaty 220

str.
Odwieczna nowina 221
Chryste 222
BOGUSŁAW SZUL-SKJÖLDKRONA 225
Duma brygady Karpackiej 227
Dworowi mołotkowskiemu 228
Przebudził wioskę 229
Lśnią rabatów jasne zorze 231
Armata 233
ROMAN EMINOWICZ 237
Los mnie żenie 239
Owinął mnie 240
Czylim ja bard 241
Zagadki arlekina 242
Samotność 244
Exposée 247
MIECZYSŁAW ZAGÓROWSKI 251
Fatalny koniec wyprawy 253
BIBLJOGRAFJA 259

PRZEDMOWA.

Nazwiska czas zatarł w ludzkiej pamięci, kości rozrzuciła zawierucha po wszystkich zakątkach ziemi polskiej. Są tacy, którzy spoczywają w mogiłach własnych, niektórych złożono do mogił wspólnych, bezimiennych, inni śpią snem wiecznym poza granicami Polski — nad Berezyną, w Moskwie, na Ukrainie — na szlakach bojów naszych.

Ta książka obejmuje imiona i małą część płodów ich ducha. Poprzez wieki złączyli się krwią, przelaną w imię jednego wielkiego ideału, wolnej Ojczyzny.

Hufcowi przewodzi hetman wielki koronny, Stanisław Żółkiewski, jako że im, wybranym śpiewakom bożym, w imię jednego wielkiego ideału, wolnej Ojczyzny.

„Licząc lata swe na obozy — pisał przed laty siedemdziesięciu o hetmanie Karol Szajnocha — a 44 obozów wysłużywszy w ciągu dni swoich, nie miał on żadnych wspomnień, życzeń i trosk nad takie, które były wspomnieniami, życzeniami i troskami całego kraju. Stąd prywatny żywot hetmana zgasł niejako całkowicie w świetle jego zawodu publicznego, a szukając jego rysów i spraw domowych, spotykamy wszędzie historję kraju".

Czy nie to samo rzec można o innych z hufu pana hetmanowego?

Wprawdzie nie wszyscy mogli liczyć lata swe na obozy, a liczbę lat wojennych równać z liczbą pana hetmanową, ale byli to ludzie młodzi, niektórzy jeszcze niemal pacholęta i wojna, z małemi wyjątkami, nie była ich rzemiosłem i chlebem powszednim.

Za hetmanem kolejnością lat idą przedstawiciele wszystkich naszych walk zbrojnych o niepodległość. Daty ich zgonu są datami powstań narodowych. Jakby krwawemi pieczęciami znaczą one karty dziejów od powstania kościuszkowskiego, poprzez wojnę z r. 1809, wyprawą Napoleona na Moskwę, powstanie listopadowe, wyprawę Zaliwskiego na Podole w celu wywołania ruchu zbrojnego, rok 1846, powstanie styczniowe, do walk Józefa Piłsudskiego, uwieńczonych odzyskaniem niepodległości i ustaleniem granic Polski.

Poczet zamyka tragiczna postać młodziutkiego podporucznika, Mieczysława Zagórowskiego. Marzył o długiej służbie dla Polski, zaś u wstępu do służby barwną wstęgę jego życia zdradziecko przecięła zaciekła ręka bratnia.

Władze wojskowe do mogiły jego rzuciły złote słowa — zginął za Polskę. —

W Polsce naogół o bohaterach narodowych się nie pamięta. Tylko niekiedy wyciąga się imiona wielkie, nie z kultu, co w sercu ma źródło, lecz z obowiązku, a czasem dla chwilowego zysku.

Więc zapadają w niepamięć, giną, zamiast służyć żywym za drogowskaz. Są martwą pozycją na zapylonych stronicach dziejów, życiu bieżącemu obojętni.

A społeczeństwu są potrzebni ludzie, żywi czynami, bohaterstwem, poświęceniem, iżby każdy człowiek za wzór brał ich sobie we wszystkich przypadkach życia.

Mniej będzie wtedy prywaty w życiu społecznem, a więcej uczynków, wywołanych względami na dobro ogółu.

O wartościach artystycznych wybranych i tą pracą objętych utworów, jako też o przynależności autorów do kierunków i grup literackich, mówić nie będę. Nie miejsce na to w tej książce. Ciekawych odsyłam do historji literatury polskiej, gdzie każdy z wymienionych tu autorów, z wyjątkiem kilku najmłodszych, ma swoje miejsce. Tu nadmienię, że główną ozdobą tych prac jest głębia uczuć i troska o dobro sprawy, której autorzy służyli do końca dni swoich.

Tem uczuciem i śmiercią ofiarną złączyli się poprzez wieki w jedną, nierozdzielną grupę w historji literatury.

Tego o żadnej innej grupie powiedzieć nie można.

Ze wszystkich wymienionych w tej książce autorów-żołnierzy jeden tylko hetman wypowiedział wszystko, co rzec chciał, do końca.

Inni iskrę boską niewypaloną ponieśli Bogu zpowrotem.

Strzała nieprzyjacielska przeszyła serce trębacza na czacie, gdy grał.

Echo poniosło — i niesie — urwane nagle dźwięki hejnału.

Nikt nie zna końca pieśni.

. . . . . .

Książka niniejsza niech będzie skromną wiązanką kwiatków, rzuconą ręką wdzięcznego przechodnia na te żołnierskie mogiły.

Kazimierz Tułacz-Wiśniewski.

STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI

hetman w. kor. — urodzony w 1547 roku, poległ pod Cecorą dnia 7 października 1620 r.

„A jeżeliby w Wołoszech albo gdzie za granicą śmierć mi Pan Bóg posłał, tamże pogrześć grzeszne ciało moje. Nie dla ambicyi jakiej tak mieć chcę, ale żeby grób mój był kopcem Rzeczpospolitej granic, żeby wiek potomny szanując pamięć moją, wzbudzał się do nowych prac i zasług".

Stan. Żółkiewski: Testament.

Stanisław Żółkiewski urodził się w Turynce, wsi odległej o cztery mile od Lwowa. Wychowywał się w domu, potem w szkołach we Lwowie. Następnie dla uzupełnienia wykształcenia został wyprawiony zagranicę. Gdy wrócił, wstąpił na dwór Jana Zamoyskiego. — W r. 1575 brał udział pod królem Stefanem w wyprawie przeciwko gdańszczanom, a w l. 1579 — 1582 w wojnie z Moskwą. Odtąd należał do koła zaufanych Stefana Batorego; na dowód łaski otrzymał kasztelanję lwowską. W okresie bezkrólewia, po śmierci tego króla, posłował na sejm konwokacyjny z ziemi bełzkiej i był jednym z najgorliwszych obrońców Jana Zamoyskiego. Przeciw Żółkiewskiemu głównie obrócił się gniew Zborowskich, on bowiem na zlecenie Zamoyskiego schwytał i dostawił sądom Samuela Zborowskiego, który też

za spiski przeciw osobie króla i kanclerza został ścięty w r. 1584. Po obiorze na króla Zygmunta III, Żółkiewski brał udział pod Zamoyskim w wyprawie przeciw arcyks. Maksymiljanowi. Pod Byczyną w r. 1588 dowodził lewem skrzydłem; w czasie walki uderzył i przełamał hufce pancerne niemieckie i zdobył wielką żółtą chorągiew z czarnym orłem, co zdecydowało o zwycięstwie: Niemcy zostali rozbici, arcyksiąże dostał się do niewoli. Żółkiewski, biorąc osobiście udział w natarciu, otrzymał ciężką ranę w kolano — odtąd kulał na prawą nogę. W nagrodę otrzymał starostwo hrubieszowskie, a wkrótce potem buławę polną koronną.

W l. 1595 i 1600 uczestniczył przy boku Zamoyskiego w wyprawach na Multany. W międzyczasie rozbił na głowę oddziały zbuntowanych kozaków na Wołyniu, a pod Łubnami wziął do niewoli sprawcę rozruchów i wodza zbuntowanych, Nalewajkę. W 1602 r., w czasie wojny w Inflantach, rozgromił pod Rewlem Szwedów — obóz nieprzyjacielski ze wszystkiemi działami dostał się w ręce polskie, wódz szwedzki, gen. Arnep, poległ.

Na mocy przywileju królewskiego z r. 1603 założył ku obronie granic zamek i miasteczko Żółkiew.

W czasie rokoszu Zebrzydowskiego, bez uwagi na to, że w obozie malkontentów znajdowali się bliscy jego krewni i przyjaciele, a może i wbrew własnym uczuciom i przekonaniom, stanął przy osobie królewskiej. Nie chcąc dopuścić do walki bratobójczej, próbował kilkakrotnie zwaśnione strony doprowadzić do zgody; gdy te starania nie odniosły pożądanego skutku, w bitwie pod Guzowem w r. 1607 przyczynił się do zwycięstwa nad zrebelizowanemi i pierwszy o niem poniósł wieść królowi.

W parę lat później towarzyszy Zygmuntowi III w wyprawie przeciwko Moskwie. Dnia 4 lipca 1610 r., dowodząc oddziałem ośmiotysięcznym, zniósł pod Kłuszynem 48.000 korpus pod wodzem moskiewskim, kniaziem Szujskim; poczem posunął się pod Moskwę i zajął drogą układów to miasto, skłaniając jednocześnie moskwiczan do osadzenia na tronie carskim syna Zygmunta III, Władysława. Król Zygmunt, w tę porę zajęty oblężeniem Smoleńska, zażądał tronu dla siebie. Wiedząc jak niepopularna była wśród mieszczan i szlachty moskiewskiej osoba Zygmunta III, a także z powodu spóźnionego — już po zawarciu umowy — przybycia gońca z wolą królewską, Żółkiewski ukrył przed moskwiczanami pismo, które otrzymał. Dla osobistego przedstawienia królowi sprawy udał się wnet potem pod Smoleńsk. Towarzyszyli mu, jako zakładnicy, trzej kniaziowie Szujscy z carem Wasylem na czele.

„Lecz zawarte były uszy króla jegomości pana hetmanowym perswazjom".

Wyprawę na Moskwę, zmarnowaną w skutkach politycznych przez opór króla, i zaszłe w związku z nią wypadki opisał hetman Żółkiewski w pamiętniku p. t. „Początek i progres wojny moskiewskiej..." Historyczne znaczenie pamiętnika dla tego okresu naszych dziejów jest wielkie; zdał w nim pan hetman ścisłą i jasną relację ze spraw, na które patrzał; a że to, co zaszło, stało się wbrew jego radom, nie chciał wziąć na swoje ramiona odpowiedzialności przed historją. Wzorem pisarzów starożytnych mówi o sobie Żółkiewski w pamiętnikach w osobie trzeciej i zawsze bardzo skromnie.

W r. 1613 otrzymał buławę wielką koronną, a w cztery lata potem poszedł na wyprawę przeciw Turkom.

Wojsko miał nieliczne; dla tej również racji, że otrzymał od króla zlecenie, iżby unikał rozprawy orężnej, w Buszy nad Dniestrem zawarł ze Skinder baszą traktat. W myśl tej umowy Rzeczpospolita zabraniała raz na zawsze swoim wielmożom wypraw samowolnych w granice państwa otomańskiego, a kozakom łupieskich napadów na Czarnem morzu. Zrzekł się też hetman pretensji do Multan i Wołoszy.

Traktat ściągnął na sędziwą głowę wodza istną burzę. Szczególne niezadowolenie okazywali „królewięta" i różnego rodzaju awanturnicy, szukający w wyprawach na Multany i Wołoszę korzyści osobistych i przygód. Dla usprawiedliwienia się Żółkiewski był zmuszony stanąć na sejmie. Uzyskał jednak potwierdzenie traktatu. Król oddał mu kanclerstwo.

Zarzut, że zawarł traktat bez rozprawy orężnej, ciążył na nim. Stąd dążenie do rehabilitacji. W rezultacie wyprawa — ostatnia — pod Cecorę.

Hospodar wołoski, Gaspar Gracjan, oddał się pod opiekę Rzeczypospolitej; wzamian prosił o pomoc wojskową przeciw Turkom, chcącym odjąć mu hospodarstwo. Jurgieltnicy dworu rakuskiego, który grożące mu od Turcji niebezpieczeństwo chciał skierować na Polskę, skłonili Zygmunta III do zgody na ofertę hospodarską. Żółkiewski otrzymał zlecenie, aby posiłkował Gracjana.

Pragnienie wojny było ogólne, chociaż naród do wojny nie był przygotowany. Wiedział o tem najlepiej hetman wielki koronny; nie odradzał jej jednak z obawy, żeby nie być na starość posądzonym o małoduszność, co po traktacie w Buszy mogło go spotkać; marzył również o śmierci rycerskiej w polu za Polskę i Chrystusa w zapasach z pogaństwem: to też nadzwy-

czaj rączo i z wielką ochotą zabrał się do wypełnienia zlecenia królewskiego.

W połowie sierpnia r. 1620 skromne siły polskie zebrały się pod Barem. Wojska było około ośmiu tysięcy; powiększyły je hufce spokrewnionych z hetmanem Daniłłowiczów, Zamoyskich, Koniecpolskich i in. Był też przy boku hetmana jedyny jego syn, był synowiec. Nikt natomiast z prowincyj zachodnich nie stawił się na wyprawę. A tylu było niedawno, co rzucali gromy za traktat w Buszy na siwą jego głowę.

Na czele tego wojska wkroczył Żółkiewski przez Dniestr w granice państwa otomańskiego w dniach 2 i 3 września. Gracjan Gaspar, „groźnem upomnieniem hetmana Żółkiewskiego przymuszony", przywiódł z sobą zamiast obiecanych 20 — 25.000 — sześćset koni.

Skinder basza i posiłkujący Turków sułtan Gałga wyprowadzili przeciw tej garstce 60.000 żołnierzy, „jeśli nie więcej".

Dnia 12 września stanęli Polacy w dolinie zwanej Czeczorą albo Cecorą, o dwie mile od Jass.

...w sobotę — pisał hetman do króla pod datą 24 września — za zdaniem zgodnem wszystkiego rycerstwa wyszliśmy w pole aperto Marte z wojskiem uszykowanem, zwiedliśmy potrzebę z niemi odkrytą; i trwała bitwa sześć godzin, od południa aż do samej nocy, aequso Marte, zeszli oni do swoich stanowisk, poszli i my do swego taboru. Były rzeczy dobrej nadziei, że potężnie i dalej mogliśmy czynić przeciwko temu nieprzyjacielowi; lecz nazajutrz, t. j. w niedzielę, niemała część ludzi naszych, którzy z wojska uciekli, pomieszali nam rzeczy". „I ci źli, niebaczni ludzie — pisze hetman dalej — wszystko wojsko zatrwożyli, że blisko tego

było, iż już wszystko wojsko do takowegoż sromotnego uciekania miało się udać..."

Przy końcu listu ponawia hetman prośbę o pomoc. Tej pomocy mu nie dano.

Odbiegli wodza tacy rycerze jak Kalinowski, Tyszkiewicz, Odrzywolski; zbiegł Gracjan. Został dawny zięć i przyjaciel kochany, hetman polny Koniecpolski, zostali, ranni obaj, syn i synowiec.

Po odliczeniu zbiegłych, poległych i rannych przy hetmanie został zastęp 3000 do 4000.

Na naradzie wojennej postanowiono ustępować taborem ku Dniestrowi, a tam, okopawszy się, czekać posiłków. W dzień św. Michała ruszył oddział w stronę granicy polskiej. W ciągu siedmiodniowego pochodu zdarzył się jeden nocleg spokojny. Z głodu, z pragnienia, z wysiłku i bezsenności ludzie padali jak nieżywi po kątach taboru, wielu potraciło zmysły. 6 października tabor znalazł się o dwie mile od Dniestru — w nocy z 6 na 7 wszczął się w obozie tumult.

Wtedy hetman napisał do żony swój list ostatni.

Sługi obozowe, korzystając z zamieszki i rozprzężenia, rzuciły się do plondrowania namiotów. W obozie rozlega się nagle tętent jazdy. Przerażona hałastra dosiada koni i rozwartemi wrotami umyka w step. Przez tę wrota wpadli do obozu Tatarzy. 300 rycerstwa zostało przy hetmanie. Żółkiewski na oczach wszystkich przebił swego konia na znak, że z pola nie ujdzie. Pieszo, w otoczeniu najbliższych, puścił się w drogę. Tak uszli z ćwierć mili. Wtem nadleciała wataha pogan. Przy boku hetmana, w czystem polu, zostało jedenastu wiernych towarzyszy. Podprowadzono wodzowi trzy zkolei konie. „Nie wsiędę — odpowiedział — miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nade mną wyrok swój.

który uczynił, kończy". Hetman polny Koniecpolski i por. Złotopolski siłą wsadzają Żółkiewskiego na konia Ogarnia ich hufiec rozbitej jazdy polskiej. Co się dalej stało, niewiadomo. Wieści były, że został napadnięty wraz z swoim hufcem przez pogan. Wtedy — „skoczył w kupę, gdzie przez Czerkiesa zabity. Ten głowę mu uciąwszy, oddał ją Iskinder Baszy, o co sułtan rozgniewany, kazał Czerkiesa ściąć".

Na pobojowisku znaleziono nazajutrz ciało hetmana z ciężkiemi ranami na piersiach, z odrąbaną ręką, bez głowy. Głowę Żółkiewskiego obnoszono przed Skinder baszą, a ten posłał ją do Carogrodu. Tam długo wisiała u sklepienia głównej bramy Seraju tureckiego, aż ją wreszcie wykupiła małżonka hetmana, Regina, i złożyła przy tułowiu w kościele w Żółkwi, po lewej stronie ołtarza.

Tam spoczywa.

Za Dniestrem wierna żona wznieść kazała pomnik z ciosu.

Początek i progres wojny moskiewskiej, za panowania Króla Imci Zygmunta III, za regimentu Imci Pana Stanisława Żółkiewskiego, wojewody kijowskiego, Hetmana Polnego Kor.

(Wyjątki z pamiętnika hetmana Żółkiewskiego).

(Bitwa pod Kłuszynem).

. . . . . .

Gdy tak już, jako się wspomniało, wziął pan hetman sprawę i od języków, i od Francuzów o zbliżeniu się wojska nieprzyjacielskiego, zwołał wszystkie rycerstwo do rady. Tamże, przełożywszy o wiadomościach, jakie były, że już wojsko jedno, we czterech milach, nieprzyjacielskie u Kłuszyna, proponował, coby było lepszego, jeśli zostawiwszy przy oblężeniu Gródka część wojska, przebrawszy się, potkać nieprzyjaciela w drodze, czyli go na miejscu czekać?

Były różne sentencje, jako to bywa. Bo jedni, patrząc na małość wojska naszego, że nie było czego dzielić, uważali: żeby, w małości rozdwojonych, nieprzyjaciel nas nie pożył; więc za odejściem wojska naszego, żeby ci co w gródku, poczuwszy o tym, na obóz, rozumiejąc, że w nim słabe praesidium nie uderzyli. Było ich jednak niemało, którzy rozumieli: obóz osadziwszy jako być może, potkać w drodze nieprzyjaciela; gdyż przypuściwszy go blisko, możeby bitwy nie wodząc, grodkami, jako czynili u Aleksandrowej Słobody, u Trojce,

u Dymitrowa, ściskając, żywności bronić, tak broni nie dobywając, łacnoby nas zwalczyli.

Pan hetman nie konkludując ani na tę, ani na ową stronę, wziął sobie na dalszy rozmysł. Rozkazał jednak, że gdyby było rozkazano do ruszenia się, żeby gotowi byli. Bo acz miał już u siebie za rzecz zawartą potkać w drodze nieprzyjaciela, zwłóczył jednak, póki stawało czasu, odkryć się z tym, a to żeby i do wojska kniazia Szujskiego i do Wołujewa zdrajca jaki (a Moskwy, której było w obozie niemało, najbardziej się strzegł), nie ostrzegli i nie dali znać. Aż godzina przed ruszeniem, nie trąbiąc, ani bijąc w bębny, obesłał, aby się ruszyło wojsko porządkiem takim, jaki do pułkowników na piśmie był rozesłany; gdyż z uderzeniem bębnów łacnoby się był Wołujew o ruszeniu dorozumiał.

Z tych wszystkich, którzy byli *in conspectu* (na widoku) grodka, nikt się nie ruszył, strzegąc się wszelakiego podobieństwa dać nieprzyjacielowi. Panu Jakóbowi Borowskiemu rotmistrzowi, zostawiwszy przy nim siedemset jazdy, piechotę króla jegomości, co jej było, kozaków dwa pułki, obóz i oblężenie grodka poruczył. A sam dwie godziny przed zachodem słońca *silenti agmine* (cichym pochodem) z wojskiem, jako do boju się ruszył. Nocy o tym czasie bardzo małe bywają. Szliśmy na całą noc o cztery one mile lasem. Droga była niedobra.

Przyszliśmy jednak nad wojsko nieprzyjacielskie, jeszcze nie poczynało świtać. Nieprzyjaciel z małości wojska naszego lekce nas ważył i niemniej się nie spodziewał jako tego, iżbyśmy tyle mieli śmiałości o tak wielką potęgę się rzucić i owszem byli tej nadziei, żeśmy mieli uciekać, nie czekając u Carowa. Z wieczora Pontus, będąc na czci u kniazia Dymitra Szujskiego,

biorąc pieniądze, bo tego dnia dawano im półczwarta kroć stotysięcy złotych, przechwalał się wspominając: „Gdym był na Wolmierzu z Karolusowymi wzięty, dał mi był hetman szubę rysią, mam ja też teraz dla niego sobolą, co mu oddaruje" — tusząc sobie pana hetmana pojmać.

Zatym też, iż nas sobie lekceważyli, nie strzegli się nas. Śpiących zastaliśmy. Gdyby było wszystko wojsko nasze nadściągło, zbudzilibyśmy ich byli nieubranych, ale nie mogło się rychło z onego lasu wybrać. Dwa *falkonety* (działa) wziął był z sobą pan hetman, te zawaliły drogę, że się wojsko przed niemi nie mogło dobyć. Była i druga przeszkoda, żeśmy zaraz na nich nie uderzyli. Przez pole wszystko, którędy było iść ku obozowi nieprzyjacielskiemu, płoty były poprzek pogrodzone i między temi płoty były dwie wioski. Przyszło tedy oczekiwać nastąpienia wojska, one płoty łamać. I one wioski, iż były wpośrodku pola, obawiając się, żeby nieprzyjaciel z ruśnicznymi ludźmi, których tak wiele miał, nie osadził i nas z za płotów nie psował, kazał je pan hetman zapalić. I dopiero się nieprzyjaciel ocknął. Aż i Moskwa i cudzoziemski żołnierz, nie wiedząc przyczyny, dlaczego się tak odwlokło, przyczytują to wielkości zmysłu pana hetmana, że mogąc ich bić śpiących, nie chciał i znak im czasu dał do zgotowania się. Ale by nie przyczyny wyżej wspomniane, podobnoby ich ta odwłoka nie potkała.

Tymczasem, zaczym insze wojsko nasze nadeszło, pułk pana Zborowskiego, który szedł przodem, stanął w sprawie na prawem skrzydle. Nastąpił potym pułk pana Strusia, starosty chmielnickiego, który stanął na lewem skrzydle. Pułk pana Kazanowskiego i pana Ludwika Wajherów, nad którym był pan Samuel Duni-

kowski, stanął w pobocznych i posiłecznych hufach prawego skrzydła; pułk pana hetmana, nad którym był książę Janusz Porycki, na lewej stronie, także w pobocznych i posiłecznych hufach stanął. W siekanych hufach *propter omnes casus* (na wszelki wypadek) stały niektóre roty, jakoby w pośrodku. I tam i sam pan hetman pilnował. Było też kozactwa *levis armaturae* (lekkiego uzbrojenia) ze czterysta. Pohrebiszczany je zwano, iż z Pohrebiszcz, majętności książąt Zbaraskich, było ich w tej kupie najwięcej; był starszym nad nimi pan Piaskowski. Tym pan hetman kazał stanąć przy chróście, jakoby na boku lewego skrzydła. Falkonety one dwa i z chorągwią pieszą pana hetmana jeszcze były nie przybyły.

Gdy już tak wojsko stanęło w sprawie, objeżdżając pan hetman od hufu do hufu, animował swoich, ukazując, jako *necessitas in loco, spes in virtute, salus in victoria* (konieczność walki nakazana przez położenie, nadzieja w męstwie, ratunek w zwycięstwie) i kazał uderzyć w bębny, w trąby do potkania.

Nieprzyjaciel też już był stanął w sprawie. Wojsko cudzoziemskie Szwedów, jako się liczyli i brali pieniądze na dziesięć tysięcy jezdnych i pieszych, ale w podobieństwie nad ośm tysięcy coś ich mogło być, ci wzięli prawą ręką: a moskiewskie wojsko lewą, którego, jako sam powiadał kniaź Dymitr Szujski, było więcej niźli czterdzieści tysięcy jezdnych i pieszych.

Płot był między nami długi, jako się wyżej wspomniało. Dziury jednak były w onym płocie, tak, iż nam, gdyśmy do nich na potkania szli, przyszło onemi dziurami wypadać. Na wielkiej nam przeszkodzie był płot; bo i Pontus przy onym płocie postawił piechotę, która naszych onemi dziurami wypadających i odwracają-

cych bardzo psowała. Trwała długo bitwa, bo i nasi się i oni, zwłaszcza cudzoziemcy, poprawowali. Naszym, którzy na moskiewskie hufy przyszli, łacniejsza była sprawa, bo Moskwa nie strzymała razu, jęli uciekać, nasi gonić. W tym też one falkoneciki z trochą piechoty przyszły i bardzo potrzebie dogodziły. Bo do onych Niemców pieszych, którzy przy płocie stali, wygodzili puszkarze z działek, i piechota, choć ich trocha, ale ochrostani i w wielu potrzebach bywali, skoczyli do nich i upadło zaraz między Niemcy kilku z działek, z rusznicli postrzelonych. Wystrzelili i Niemcy do nich i zabili pana hetmanowych dwóch, trzechli. Ale widząc, że ochotnie do nich idą, jęli Niemcy od płotu uciekać do lasu, który tam był niedaleko. Francuzowie i Anglikowie jezdni przecie z naszemi rotami w polu, co raz jedni drugich posilając, czynili. Aż kiedy już nie stało onych, Niemców pieszych, którzy przy płocie nam byli na przeszkodzie, skupiwszy się kilka rot naszych, uderzyli w oną jazdę cudzoziemską kopijmi, kto jeszcze miał, pałaszami, koncerzami. Oni też *destituti praesidio* (pozbawieni zasłony), ludzi moskiewskich i onej piechoty, nie mogli się oprzeć, jęli w swój obóz uciekać. Ale i tam nasi na nich wjechali, bijąc, siekąc, pędzili ich przez ich obóz własny. Wtenczas Pontus i Horn pouciekali. Zostało jeszcze do trzech tysięcy albo i lepiej tych cudzoziemców. Stali w kraju przy lesie. Pan hetman jął rozmyśleć, jakby ich z tego fortelu ruszyć. Lecz oni nie mając już starszych, widząc też, że Moskwa pouciekała, coś trochę jeszcze w wiosce, która była przy obozie kniazia Dymitrowym obostrożoną (ogrodzona ostrokołem), bawiło się ich, a i sam kniaź Dymitr tamże był. Chcąc tedy owi cudzoziemcy o zdro-

wiu swym radzić, wysłali do pana hetmana, prosząc rokowania.

Pan hetman też widząc rzeczy pełne trudności, że ich było niełacno od onego chróstu odrazić, pozwolił. Stanęło na tym, że się udali dobrowolnie. Wielka część obiecali się *addicere stipendiis* (zaciągnąć na żołd) króla jegomości, a wszyscy przysięgli i daniem ręki od przedniejszych kapitanów, a potym i pismem utwierdzili, że nigdy w Moskwie przeciwko królowi jegomości służyć nie mają. Pan hetman im też obiecał przy zdrowiu i majętnościach ich zachować, i którzyby służyć nie chcieli, wolne przejście do ojczyzny u króla jegomości otrzymać.

Interim (tymczasem) gdy się te traktaty dzieją, kniaź Andrzej Galiczyn i kniaź Daniło Mezecki, którzy byli z bitwy w lasy pouciekali, okolno, że nasi ich zajść nie mogli, w kilkaset koni przybiegli znowu do onej wioski obostrożonej, w której jako się wspomniało, został się jeszcze był sam kniaź Dymitr. I Pontus i Horn z niemi się też wrócili. I snadź radby był Pontus onę umowę rozerwał, ale żołnierze dzierżyli się jej mocno. Kniaź Dymitr i kniaź Galiczyn widząc (bo to było in conspectu), że się cudzoziemcy z panem hetmanem zsyłają, jęli tyłem onej wioski przez swój obóz, który za wsią był, gwałtownie ku lasowi uciekać, co najkosztowniejsze rzeczy, kubki, czary srebrne, szaty, sobole rozłożywszy na widoku w obozie swym. Rzucili się nasi w pogoń, ale mało ich goniło. Padli w obozie na łupie onym, bo też to Moskwa na to uczyniła, żeby naszych od gonienia zabawili. Gdyśmy do nieprzyjaciela szli, tylko działka, a samego pana hetmana karytka była; nazad się wracając, było wozów, kolas ledwie nie więcej, niźli nas. Bo zaprzężone stały moskiewskie kolasy, które nasi na-

ładowawszy łupami wieźli, i w onym złym lesie nawięzło ich gwałt, że jeździe mijać ich z trudnością przychodziło; gdy pan hetman obawiając się, żeby co niebezpiecznego na obóz od Wołujewa w niebytności jego nie padło, kwapił się i tegoż dnia zaraz do obozu się wrócił.

Kniaź Dymitr, choć niewiele ich za nim goniło, uciekał potężnie. Na błocie konia, na którym siedział, i obuwia zbył. Boso na lichej chłopskiej szkapinie pod Możajsk do monasteru przyjechał. Tamże konia i obuwia dostawszy, nic się nie obawiając, do Moskwy jechał. Możajszczanom, którzy do niego byli przyszli, rozkazał, żeby łaski i miłosierdzia u zwycięzcy prosili, gdyż obronić się sposobu nie mieli. Jakoż tedy Możajszczanie wyprawili do pana hetmana, swym i kilku inszych zamków: Borysowa, Werehi, Rury, imieniem, poddaństwo ofiarując.

Bitwa ta trafiła się na dzień 4 lipca. Zginęło cudzoziemców do dwunastuset człowieka, Moskwy najwięcej w pogoni po różnych miejscach. I w naszych też nie było bez szkody. Zabit rotmistrz pan Lanckoroński, towarzyszów samych lepiej, niżeli przez sto, oprócz pacholików, koni pocztowych; oprócz tych, co się wyleczyło, więcej niż czterysta zabito.

(Wejście do Moskwy).

. . . . . .

Pan hetman, wziąwszy wiadomość o złożeniu Szujskiego z carstwa, a widząc, że impostor, na okazją z tej miary czyhając, prędko się ku Moskwie śpieszył, napisał list do dumnych bojar, pochwalając, że Szujskie-

go z państwa złożyli, dając im znać, że szalbierz ku stolicy następuje, że mając o tym od króla jegomości rozkazanie, chce im być przeciwko szalbierzowi ratunkiem i od wszystkiego niebezpieczeństwa obroną. To częstokroć intimując, że król jegomość samym chrześcijańskim politowaniem poruszony przyszedł, słysząc, jakie w tej ziemi dzieje się zamieszanie, chcąc rozlanie krwie uśmierzyć i ująć, a państwo to uspokoić, uciszyć. Ośm mil było tylko od stolicy, kiedy mu przyniesiono na list respons, który to w sobie zamykał: że ratunku nie potrzebują, żeby pan hetman pod stolicę się nie przybliżał. Lecz na to nie dbając, szedł pan hetman w drogę swą. *Tertia Augusti* (trzeciego sierpnia) pod Moskwą stanął, gdzie też już był szalbierz ze swemi przyszedł i w ten dzień, którego pan hetman przyszedł, od kołomyskiej i sierpuchowskiej drogi pod miasto nastąpiwszy, słobody i wsi, które były pobliż miasta, zapalił. Moskwa też przeciw niemu wyszła z miasta i zwodzili z sobą już nie wstępnym bojem, ale przecie najeżdżania, harce, że przecie leciało ich z koni niemało.

Bojarowie dumni widząc—z tej strony od sierpuchowskiej drogi szalbierz naciera, a z drugiej strony od Możajska z panem hetmanem wojsko następuje, posłali dwóch synów bojarskich do pana hetmana, pytając: „Jeśli jako przyjaciel, albo jako nieprzyjaciel następuje?" Pan hetman odpowiedział według tego, jako w liście napisał: że nie myśli nic nieprzyjacielsko poczynać, i owszem, jeśli skłonią do tego umysły, jako niektórzy dawali znać, że królewicza Władysława za pana sobie wezmą, że chce im być ratunkiem przeciwko szalbierzowi; a uczęstowawszy, udarowawszy one syny bojarskie odpuścił.

Tegoż dnia z wojska szalbierzowego przyjechali posłowie od pana Sapiehy, i inszych naszych, do pana hetmana, Janikowski z kilką towarzystwa, powiedzieli: że są posłani od towarzystwa do króla jegomości. Prosili, żeby mieli wolny przejazd a *capita* (punkty) legacyi swej ukazali panu hetmanowi. Było tam, że cara Dymitra, jako go oni zwali, pana swego do tego przywiedli, że chce czołem uderzyć królowi jegomości, sumę pewną pieniędzy na każdy rok dawać i siewierskiej ziemi odstąpić, byle jedno król jegomość dopomógł mu, żeby mógł usieść na hospodarstwie. Powiedzieli też, że chce posłać poselstwo z upominkami do pana hetmana, życząc sobie jego miłości i przyjaźni.

Pan hetman, acz wiedział, że to poselstwo do króla jegomości nie miało w sobie nic statecznego, nic pewnego, jednak z uważnej *konsyderacji* (z poważnego względu) pozwolił im wolnego przejazdu i przystawy do odprowadzenia posłów dał. Ani upominków od pana ich deklarował się nie przyjmować, gdyż było czasu dosyć; jeśli chciał ich pan, mógł się dawniej z królem jegomością zesłać; zaczem mogłaby była nauka dana być od króla jegomości panu hetmanowi. Teraz, iż nauki żadnej niema, nie chce też i nie może się w żadną sprawę wdawać z ich panem.

Zroczyli sobie potym bojarowie dumni z panem hetmanem dzień do rokowania. Rozbito namiot moskiewski przeciwko Dziewiczemu monastyru. Dawszy z obu stron zakłady, zjechali się w równej liczbie; pierwej na koniach pokłonili się sobie, potem zsiadłszy z koni przywitali się. Z panem hetmanem byli niektórzy pułkownicy, rotmistrze. Z stolicy przyjechał sam kniaź Fedor Mścisławski, kniaź Wasyl Galiczyn, Fedor Szeremetiew, kniaź Daniło Mezecki i dwaj djaków dum-

nych (jako to u nas pieczętarzów): Wasyl Telepniew i Tomiło Łagowski. Mieli ci wszyscy *potestatem statuendi* (władzę stanowienia) zleconą od wszystkich czynów, stanów po naszemu. Zasiadłszy w onym namiocie, deklarowali się imieniem wszystkiego carstwa, że życzą sobie panowania królewicza Władysława. Ale niektóre stacje, po naszemu artykuły, chcą, żeby pan hetman przysięgą warował, że będą od królewicza Władysława trzymane. Był wielki zwitek, (bo oni tak w trąbkę zawijają); czytał to Wasyl Telepniew. Pan hetman, acz jako wiem, posyłał do króla jegomości zaraz po potrzebie Kłuszyńskiej, spodziewając się, że do traktatów miało przyjść; prosząc, żeby z senatu i innych, którzyby byli do tego sposobni, król jegomość posłał; gdy żadnej nauki *ad eventum istum* (na taki wypadek) nie miał. Jednakże, jeśli dla niesposobności zdrowia króla jegomości, którą pod tym czasem był złożon, z jakiejli też innej przyczyny, nie przysłano panu hetmanowi żadnej informacji. A iż rzeczy były nagłe, które odkładu nie cierpiały, gdyż Moskwie nie przychodziło inaczej, jeno nieomieszkanie o sobie radzić, szalbierz, który tuż był, przez swoje *instrumenta* (narzędzia), a miał u wielkiej części pospólstwa moskiewskiego wielki fawor, starał się o się. Zaś patrjarcha solicytował, żeby (a podawał ze dwóch jednego) obrali, albo kniazia Wasyla Galiczyna, albo Mikitycza Romanowa, syna metropolity rostowskiego; chłopiec to był w piętnastym może roku. Ta była tego rekomendacja, że metropolit rostowski, jego ojciec, brat był wujeczny cara Fedora, gdyż cara Fedora car Iwan Tyran spłodził był z siostry rodzonej Mykity Romanowicza, a Mykity Romanowiczów syn to metropolit rostowski. Więcej jednak za patrjarszem zdaniem *studia populi* (wola ludu), a du-

chowieństwo wszystko prawie na Galiczyna *inclinabat* (skłaniało się).

Obawiając się tedy pan hetman, żeby na którąkolwiek stronę rzeczy się nie ciągnęły i nie trudniły, mając osobliwy na to respekt, że dostatku do kończenia rzeczy wojną nie było; choć to informacji żadnej nie miał od króla jegomości, przyszło mu się deklarować, że według artykułów, które były od Sołtyka i innych pod Smoleńskiem bojar królowi jegomości podane, i umowa z senatory o nich się stała i są już od króla jegomości podpisaniem ręki i pieczęcią utwierdzone, chce z nimi zawierać a chrzesnym pocałowaniem potwierdzić. O inszych stacjach albo artykułach, iż przed królem jegomością ani od Sołtyka, ani od kogo żadna wzmianka czyniona nie była; niema zatym o tych rzeczech żadnej nauki pan hetman i zatym też pozwalać takich rzeczy nie może, żeby przez posły swe domawiali się raczej tego u króla jegomości. A było w tym zwitku o przechrzczeniu się królewicza jegomości na ruską wiarę i innych niemało absurdów. Zaczem pan hetman denegowaniem nie chciał ich odrazić, ale odsyłał ich do króla jegomości.

Nie przyszło też nawet długo na tym pierwszym zasiedzeniu mówić, bo szalbierz podstąpił prawie podczas tego rokowania pod miasto. Bójka tam była, biegano a biegano do kniazia Mścisławskiego, dając znać co się tam dzieje. I bojarowie się rwali, żeby rady i pomoc swym dali do boju. I pan hetman był rad, że się zwłoczyło, żeby i sam miał czas na rozmysł i spodziewając się raczej, że informacja od króla jegomości przybędzie. Jakoż zwłóczył, ile jeno mógł.

Aż gdy już bojary i pospólstwo *instabant* (nastawali), żołnierze zaś ozywali się z rozmaitemi głosy, nie chcąc

też bez pieniędzy służyć; po zjechaniu się tedy i zsyłaniu częstym, dnia 27 augusti zjechał się pan hetman w polu z bojarami temiż, których i przedtem wysyłano. Ale i innych było do dziesięć tysięcy i lepiej, którzy przysięgę czynili na poddaństwo królewiczowi Władysławowi, a potym też pan hetman z pułkownikami, z rotmistrzami i inszemi przedniejszemi osobami z wojska, na umówione kondycje. Które, iż po ręku ludzkich chodzą, nie zdało się ich tu pisać. Atoli one wszystkie, które były *absurda* (niedorzeczności) albo zgładzone, albo do króla jegomości rezolucjej są odesłane. Insze wszystkie, o których się umowa stała, stosowali się do onego od króla jegomości pod Smoleńskiem pisma, bojarom danego. Jeden tylko artykuł był około zamków, którego *mordicus* (natarczywie) domawiała się Moskwa, żeby zamki, wzięte podczas tumultu tego, były im przywrócone; a oni wprzód podjęli się wojsku wszystkiemu, wszystko zapłacić zasłużone.

A na sejmie, którego się prędko spodziewaliśmy, miała być umowa z posły moskiewskimi o dawnych kontrowersjach między koroną i Wielkim Księstwem Litewskim, a państwem moskiewskim zachodzących, to jest: o Smoleńsku i siewierskiej ziemi.

A choć to tym sposobem było namówiono, że każdemu czyniono dosyć, przecie się pan hetman tym nie kontentował; gdyż na to się oglądał, żeby go *invidi* (zazdrośnicy) nie podawali, że w tych rzeczach nie dosyć uczynił rzeczypospolitej. Jakoż, *pridie*, to jest 20 augusti, nim do zawarcia przyszło, zwoławszy wszystkiego rycerstwa, a powiedziawszy i ukazawszy na czym rzeczy stawają, prosił ich, żeby mu się deklarowali: chcą-li mu pomóc, na służbie króla jegomości trwać, choćby

też pieniędzy do jakiego czasu poczekać? Gdyż takowym dotrwaniem mogłoby się za pomocą bożą na pożyteczniejsze rzeczypospolitej kondycje ten naród przycisnąć. Gdzieby też więc przez zimę trwać dla niepłace nie chcieli, a do wyjścia ćwierć lata już jeno pięć było niedziel; na śliskim miejscu stanęły były sprawy rzeczypospolitej, by się byli mieli, jako pogróżki czynili, do konfederacji, udać; deklaracja od wojska, żeby nie była głośna dla tego narodu, żeby na piśmie od każdej roty była dana. Jakoż odwiódłszy się zaraz rotmistrze z towarzystwem swym, każdy do swego namiotu, dali deklaracje, że żadną miarą bez pieniędzy trwać nie będą i wszyscy co przedniejsi mówili panu hetmanowi, ponieważ może być uczciwy i pożyteczny pokój, iżby rzeczypospolitej w wojnę długą nie zawodził, a kończył i zawierał rzeczy! I ta deklaracja wojska najbardziej przycisnęła pana hetmana, że nie czekając króla jegomości nauki, za przynagleniem tak Moskwy stołecznej, jako też i impostora, który swych rzeczy pilnował zawarł tym, jako się wyżej wspomniało, sposobem z bojary.

Przyjechał dwa dni po zawarciu wszystkich rzeczy od Smoleńska Moskwicin, niejaki Fedor Andronow. Ten list przyniósł od króla jegomości do pana hetmana, który to w sobie zamykał, żeby pan hetman, nie na królewicza, ale na samego króla jegomości panowanie zaciągnął. Przyjechał potem w kilkanaście dni pan starosta wieliski z listem i instrukcją króla jegomości, która toż w sobie miała. Lecz iż już rzeczy tak były zaszły, nie chciał pan hetman z tym się odkrywać i pan starosta wieliski, choć z tą instrukcją przyjechał, i sam nie radził, upatrując (jako rzeczy moskiewskich dobrze wiadomy), że to rzeczy nie były podobne, i owszem po-

dobało mu się i bardzo się kontentował, że *ad istum statum* (do tego stanu) rzeczy były od pana hetmana przywiedzione. Nie zdało się tedy z tym otwierać, iżby Moskwa, u której było *invisum* (znienawidzone) imię króla jegomości, nie sparznęła i do impostora, albo gdzie indziej chęci nie obróciła.

. . . . . .

Pan hetman, przyjechawszy pod Smoleńsk, pierwej na prywatnej audjencji dawał sprawę królowi jegomości o wszystkiem, co i z jakich się przyczyn działo. Nadewszystko, że wiadomość o woli króla jegomości, nie rychło aż po zawarciu wszystkiego go doszła, że nie mając nauki inszej, zatym szedł, jako już była deklaracja króla jegomości Sołtykowi i innym bojarom wydana, że z inklinacją narodu tego musiał się zgadzać; bo gdyby się było z tym, co pan starosta wieliski przyniósł otworzyło, sparznąłby (odstąpiłby) był pewnie ten naród i inszego kogoskolwiek za pana wzięliby sobie. Tak wojna byłaby tylko w zysku została, której popierać bez płacy żołnierze nie chcieli.

Dawał pan hetman i insze głębsze *rationes sui consilii*, (powody swojej rady) że i rzeczypospolitej i samemu królowi jegomości i potomstwu jego *expediebat*, (było korzystne), żeby tą kondycją, którą Pan Bóg podawał, nie pogardzać, a na stronę jej nie odrzucać; że królowi jegomości, którego Pan Bóg na tak wysokim miejscu posadził, trzeba przecie odwracać zdaleka *tempestates* (burze), któreby mogły *affligere rempublicam* (zawieszać rzeczypospolitą). Ukazywało się, jako *interregna* (bezkrólewia) rzeczypospolitej nieprzespieczne; troje, które były za naszej pamięci, jedno od drugiego gorsze; ostatnie dobrze i krwią się oblało, i by nie cudowna

łaska boża, miało bardzo do wielu złego przyjść. Że król jegomość, pamiętając na śmiertelność (a choroba świeżo przeszła bardzo ludzi potrwożyła) ma *consulere* (dbać) rzeczypospolitej. Gdyby, strzeż Boże, *co humanitus accideret* (ludzkiego się zdarzyło), przyszłoby do wielkiej perturbacji, gdyż żeby zaraz królewicz Władysław miał być królem, nie może tego nikt za pewne obiecać. Siła ludzi z rokoszu przeszłego urażonych, i siła może świeża *invidia* (nienawiść) w umysłach ludzkich.

Przypomniał przykład króla Zygmunta I: choć był tak zastarzałej powagi, przecie jednak wiedząc, co może świeża invidia, starał się, iże w młodych leciech syna swego koronował. Jeszcze na on czas nie było to *per leges prohibitum*, (prawami zabroniono). Teraz kiedy się już droga zawarła, że ani król jegomość nie może o tym starania z żadnej miary czynić, ani my konsensu dawać, żeby za żywota króla jegomości na państwo króla inszego mianować, temby *consuleretur (zapobieżono)* pod taki przypadek, pokojowi i uciszeniu rzeczypospolitej. Kiedyby królewicz Władysław był na państwie moskiewskim, jużby odcięła się inszym *kompetytorom* (kandydatom) nadzieja, a zatym perturbacji w rzeczypospolitej nie trzebaby się obawiać; gdyż żaden z kompetytorów nie mógłby pokazać takie rzeczypospolitej *commoda* (korzyści), jakieby były ze złączenia naszej rzeczypospolitej z państwem moskiewskim. Przypomniał i Szwecją, którą łacnieby *rekuperować* (odzyskać), gdyby królewicz jegomość na tem państwie usiadł. Iż nie zaraz może być tak, jakobyśmy sobie życzyli i chcieli, *successive fit motus* (ruch postępuje stopniowo), czasowi ostatek poruczyć. Jedno sam Pan Bóg *in perfectione* (w doskonałości) może sprawić, co chce.

Ludzkiemi środkami, wedle biegu przyrodzonego, zczasem wszystkie rzeczy początek i *incrementa* (wzrost) swoje biorą. Pierwej będzie dziecię, potym zczasem człowiek. Pierwej mała różdżka, zczasem bywa z niej wielkie drzewo. Wielkie Księstwo Litewskie, sto sześćdziesiąt lat minęło od unji króla Jagiełło, niźli do tej, jaka teraz jest, spólności z koroną przyszło.

Niemało inszych racyj przywodził radząc, żeby na inklinacją narodu tego iść, gdyż i teraz z pakt pod Moskwą uczynionych siła pożytku ku dobremu rzeczypospolitej mogło się zawiązać, wojnie koniec uczynić. Gdyby zaś król jegomość tym się kontentować nie chciał, mimo insze *incommoda* (niedogodności), w długą wojnę przyjdzie się zaciągnąć; której, co wiedzieć, kiedy i jaki koniec? Na żołnierze trzeba patrzać, którzy do buntów, do *sedycyj* (zaburzeń) są skłonni, gdy się im nie będą mogły *supedytować stipendia* (dostarczać żołdu), żeby nie wierzgnęli, w państwo rzeczypospolitej nie weszli, a zasłużonego żołdu, którego wedle umowy uczynionej z moskiewskiego skarbu patrzyć mieli, żeby się za rozerwaniem tych traktatów u rzeczypospolitej nie upominali.

Lecz zawarte były uszy króla jegomości pana hetmanowym perswazjom.

(Dobycie Smoleńska).

. . . . . .

Rozkazał tedy król jegomość panu Jakubowi Potockiemu, kasztelanowi kamienieckiemu, któremu po zmarłym bracie jego, panu wojewodzie bracławskim, władzę był nad wojskiem poruczył, żeby drabiny i co potrzeba do oppugnacyi (zdobywania) gotowano, spo-

sobiono. Zdało się dla rozerwania ludzi, ze czterech stron przypuścić. Sam pan kamieniecki od Duchowskiego monastyra, w którym kozacy stali, niżej Abramowskiej bramy miejsce sobie obrał. Pan starosta feliński, brat jego, przeciwko przełomowi, to jest przeciwko onej dziurze, która była wybita z dział. Niemiecka piechota, której było sześćset, ku tej ścianie, która patrzyła ku obozowi naszemu. Pan marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego podle bramy Krysłosowskiej, a było bramy tej niedaleko miejsce, którędy plugastwa wypuszczano, jakoby sklep jaki. Pan Nowodworski, kawaler maltański, z powieści jednego Moskwicina się sprawiwszy, a potym sam w nocy się przypatrzywszy, podjął się prochy w ten tam sklep podsadzić, spodziewając się, jako się i stało, że te prochy miały ów mur wyrzucić.

Gdy już tak wszystko, co potrzeba było, sporządzone, o północy pan kamieniecki przystąpił z swej strony do muru. I powoli leźli na mury po drabinach i sam pan kamieniecki wlazł. Nikt na murze nie był, coby ich postrzegł. Aż kiedy już siła naszych weszło, jęli się po murach i po basztach rozchodzić. Było coś i Moskwy przy Abramowskiej bramie, chcieli byli bronić, ale obaczywszy, że naszych siła, jęli uciekać na dół. Niemiecka też piechota, ta niemal tegoż czasu z swej strony wleźli na blanki. A iż tam niedaleko był sam Szein z kilkadziesiąt człowieka, jakoby między przełamaną tą ścianą, którą Niemcy wleźli, postrzegłszy ich, jął się z niemi strzelać. Lecz usłyszawszy huk, który się dział na tamtej stronie, gdzie pan kamieniecki był, strwożył się i chciał tam ludzi posłać na ratunek. A w tym pan Nowodworski odważnie chciał tam prochy podsadzone w onym sklepie zapalić, jakoż i zapalił, które wyrzu-

ciły wielki szmat muru, tak iż wejście prawie dobrze *patebat* (było otwarte) oną dziurą do zamku. Wszedł tedy pan marszałek z temi, którzy przy nim byli. Moskwę strach objął, że już potym o żadnej rezystencji (oporze) nie myślili. Kto zapalił *non constat*, jeśli nasi? czyli oni? Większa część, co się na to zgadzają, że samaż Moskwa zapaliła.

Tak Smoleńsk, który był za króla Zygmunta stracony, wnuk jego król Zygmunt rekuperował (odzyskał) anno 1611, die 11 Junii.

LIST DO KRÓLA

z obozu na Cecorze.

Najjaśniejszy miłościwy królu!

Oznajmiłem w. król. mci panu memu mciwemu o przyjściu sułtana Gałgi i Skinderbasze, żechmy i co godzina wyglądali, o czym, jeżeli ten list mój doszedł, raczyłeś w. król. mć wyrozumieć. Przyszedł tedy dziś tydzień sułtan Gałga i Skinderbasza tu, pod obozem stanęli; nazajutrz w piątek mieliśmy z niemi potrzebę w wieczór z łaski bożej fortunną, zraziliśmy ich z pola; trwała ta burda między nami, aż zmrokiem wróciliśmy się, i oni, i my do obozu swego. Zaś w sobotę za zdaniem zgodnym wszystkiego rycerstwa wyszliśmy w pole *aperto Marte* (do otwartego spotkania) z wojskiem uszykowanym, zwiedliśmy potrzebę z niemi odkrytą; i trwała bitwa sześć godzin od południa aż do samej nocy, *aequo Marte* (z jednakiem szczęściem) stanęło, zeszli oni do swych stanowisk, poszli i my do swego taboru. Były rzeczy dobrej nadziei, że potężnie i dalej mogliśmy czynić przeciwko temu nieprzyjacielowi; lecz nazajutrz, to jest, w niedzielę niemała część ludzi naszych, którzy z wojska uciekli, pomieszali nam rzeczy. Nie mianuję na ten czas nikogo, wszak sami tam się ukażą, którzy nas tak nieprzystojnie odbieżeli, acz wątpię, żeby ich wiele miało ujść: bo pławiąc się w nocy przez Prut, siła potonęła i wielka część od nieprzyjaciela, który im tam lasem za rzeką zaszedł, pobici pojmani. I ci źli, niebaczni ludzie wszystko wojsko zatrwożyli, że blisko tego było, iż już wszystko wojsko do takowegoż sromotnego uciekania miało się udać. Z jegomością panem hetmanem polnym i niektórymi panami rotmistrzami, co przy nas zostali, *constantia nostra*

(stałością naszą) zatrzymaliśmy wojsko i stoimy tu od siebie bliżej, niż z Warszawy do Ujazdowa. Wojska sułtan Gałga i Skinderbasza mają wielkie, dobrze więcej nad 60.000. Więźniowie, którycheśmy dostali, powiadają, żeby ich miało być do 100.000. Zapuścili się prosto byli ku państwom rzeczypospolitej, atośmy ich tu zabawili, odważywszy na to zdrowie swoje. I dalej co się godzi wiernym w. król. mci sługom, i dobrym synom ojczyzny, czynić będziemy według największego przemożenia naszego. Jeszcze przeglądając to wszystko niebezpieczeństwo, pisałem po kilkakroć do w. król. mci, żebyć raczył obmyślać *de subsidiis et suplementis* (o posiłkach i uzupełnieniu ubytku), teraz sam czas ukazuje, że tego pilna potrzeba; zaczym pewienem, że w. król. mć nie raczysz nas zapomnieć. My tymczasem *ad extremum halitum* (do ostatniego tchu) zatrzymamy przeciwko w. król. mci całą wiarę i miłość przeciwko ojczyźnie. Hospodar wołoski z tymiż naszymi uciekańcami poszedł, nie wiem przebyłli, czy nie? Te teraz *in isto statu* (w tym stanie) rzeczy nasze; co się ponowi, ile sposobów dostanie, nie zaniecham dawać znać w. król. mci panu memu mciwemu, którego się mciwej łasce oddaję. Dan w obozie okopanym na Cecorze dnia 24 września 1620 r.

Ceduła.

Rannych jest między nami, poczęści których też nie godzi się nam odbiegać. Pan Bałaban, starosta winnicki, pan Denhof, pan Maliński, z rotmistrzów: synowiec i syn mój, poranieni postrzelani, ale nieszkodliwie, wyleczą się.

LIST DO ŻONY

(pisany z obozu pod Cecorą w wigilją śmierci).

Miłościwa Jejmość Pani, a Pani Małżonko ma sercem ukochana i wieczyście miła!

Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zginęła, Pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojniech hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymowała i nieprzyjaciołom tamę w bitwiech stawiać rada była. Jakoż kiedychmy się zabierać radzi do utarczki z pohanem tego świtania, odebrałem pisanie W. Miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej Małżonki, toż pociechą słówek kilka a kto wie, może być, że i w ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że W. Miłość ukochana i miła Małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić starca i sił mych, a chociaby i życia dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcijan. Toż ta pociecha będzie sercu memu. Tu w obozie mym, jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę, i chcą koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem. Skinderbasza i Gałga nie chcą już wiedzieć o układach i gotują się dać stanowczą bitew. Przetoż nie turbuj się W. Miłość Najukochańsza Małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami; a chociabym i poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już nie zdatny, a Pan Bóg Wszechmogący da, że i syn nasz, miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pohan zaprawi i chociaby tak było, jak rzekłem, pomści się krwie ojca swego. Na wypadek jakibądź zalecam W. Miłości Najukochańszej Małżonce miłość dla dzia-

tek, pomnąc na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rzeczypospolitej... co Pan Bóg chce z Swej łaski dać niech się stanie, a wola Jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego, z tem mnie modlitwom i łasce W. Miłości Najukochańszej Jej mci polecam i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam.

W obozie pod Cecorą die 6 Octobris 1620. Jej mć do zgonu kochający małżonek i ojciec Stanisław Żółkiewski, hetman wielki koronny.

JAKÓB JASIŃSKI

gen. korp. inż.
urodzony w 1759 roku
poległ na okopach Pragi
dnia 4 listopada 1794 roku.

Narodzie! Czas nie ufać w żadne zaręczenia,
W Tobie samym jest zakład zguby lub zbawienia;
Nie dbaj na to, żeś w ciężkie kajdany się dostał —
Gdzie lud rzekł: Chcę być wolnym — zawsze
[wolnym został.

J. Jasiński: „Do Narodu".

Jakób Jasiński urodził się na Kujawach. Wychowanie początkowe otrzymał bardzo staranne. Gdy ukończył lat trzynaście został oddany na naukę do warszawskiej Szkoły Rycerskiej. Przebywał tu lat dziesięć, t. j. do r. 1783 — w tym zaś roku był przyjęty w poczet oficerów szkoły w stopniu podbrygadjera. W roku następnym już go w spisie oficerów nie notowano.

Czas jakiś był wychowawcą synów Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego. W domu starosty wszedł w bliskie stosunki z wieloma wybitnymi politykami tej doby. Prawdopodobnie należał też w tym czasie do stowarzyszenia wolnomularzy. W okresie warszawskim napisał takie utwory, jak: Na wzrost Warszawy, Do Stefana Batorego, i zapewne popularne niegdyś, a dzisiaj niektóre jeszcze śpiewane piosenki, j. np. — Chciało się Zosi jagódek, i in. Celniejsze swoje utwory, m. in.: Do exulantów roku 1793, Do Narodu, napisał w l. 1793 — 94.

Na początku r. 1789 Stanisław August powierzył mu, już jako podpułkownikowi, utworzenie w Wilnie Korpusu Inżynirów W. Ks. Litew., a dnia 15 stycznia r. 1790 został kierownikiem korpusu. W dwa lata później awansował na pułkownika. W tym stopniu brał udział w kampanji r. 1792, początkowo jako naczelny inżynier, potem jako szef sztabu w korpusie Szymona Zabiełły. Po przegranej pod Mirem korpus, cofając się, zajął Brześć n. B.; płk. Jasiński pośpiesznie naprawił umocnienia. 23 lipca Rosjanie rozpoczęli atak. Wywiązała się mordercza bitwa. Moskale pięciokrotnie szli do ataku; wkońcu, gdy żołnierzom polskim zabrakło ładunków, nieprzyjaciel zajął miasto. Przy odwrocie oddziały tylne dokazywały cudów waleczności; tu płk. Jasiński „łącząc znajomość sztuki z odwagą i pilnością, równie w tym razie, jak zawsze, przez dyspozycje swoje do wojska z pomocą, jak dla siebie z honorem, był czynnym".

Rozkaz królewski o zaniechaniu działań wojennych wywołał wśród wojska ogólne niezadowolenie. Wielu wybitnych oficerów na znak protestu zażądało zwolnienia. Płk. Jasiński, zapewne w poczuciu świadomości, że w przyszłości będzie potrzebny wojsku i sprawie, a może nawet po porozumieniu z Kościuszką, nie porzucił służby, lecz oddał się pod rozkazy komenderującego wojskiem litewskiem z ramienia Targowicy, hetmana Szymona Kossakowskiego i Józefa Zabiełły. We wrześniu wszedł do delegacji, powołanej do życia przez Konfederację Obojga Narodów, w celu „wysłuchania rachunków i egzaminu Komissaryatu Generalnego", a w styczniu r. 1793 wyjechał już do Wilna. Zajął się tu pracami nad wznowieniem Korpusu Inżynierów oraz spiskiem na rzecz przygotowującego się powstania ko-

ściuszkowskiego. Dla odwrócenia od siebie uwagi bywał częstym gościem w domu hetmana Kossakowskiego, zawarł również znajomość, tudzież podtrzymywał stosunki z wieloma rosyjskimi oficerami.

Na wieść o zwycięstwie pod Racławicami na Litwie zażądano powszechnie rozpoczęcia akcji. Płk. Jasiński, ulegając ogólnemu żądaniu, ogłosił w lutym r. 1794 natchniony wiersz-odezwę: Do Narodu. Na wezwanie porwała za broń Żmudź, za Żmudzią poszło Wilno i następnie cała Litwa.

Zaprzedany Katarzynie ciałem i duszą hetman Kossakowski zawisł na szubienicy.

Jasiński został mianowany w stopniu gen.-lejtnanta naczelnym wodzem siły zbrojnej Litwy i w tym charakterze stoczył bitwę dnia 7 maja z Rosjanami pod wsią Polany. Odniósł wprawdzie zwycięstwo, lecz wskutek zachwiania się oddziałów pospolitego ruszenia był zmuszony ze stratą 3 armat cofnąć się z pola.

Na miejsce Jasińskiego Kościuszko przysłał Wielhorskiego, czem generał, acz sam prosił o zwolnienie, był rozżalony. 25 czerwca stoczył jeszcze bitwę z korpusem Zubowa i Bennigsena pod Sołami — tu zginął brat Jasińskiego, Józef — poczem już, zdawszy komendę, wyjechał do Warszawy.

15 lipca powierzył Kościuszko Jasińskiemu komendę dywizji nadnarwiańskiej.

Przyszła klęska maciejowicka, a z nią powszechny upadek ducha i rozprzężenie. Oddziały ciągły pod Warszawę. Jasiński po kilku szczęśliwych potyczkach nad Narwią stanął tu również około 20 października. W stolicy, jak zresztą wszędzie, zastał rozdwojenie w kierownictwie, intrygi, uprzedzenia osobiste, walkę stronnictw i pojedyńczych ludzi. Brakowało przedewszyst-

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

kiem sprężystego, jednolitego dowództwa. Chciał w rozgoryczeniu rzucić kraj i pieszo iść do Francji, gdzie szalała rewolucja; sądził że tam znajdzie teren dla siebie odpowiedni i zrozumienie. Tą myślą podzielił się z Michałem Ogińskim, lecz usłyszał odpowiedź, że lepiej zginąć z bronią w ręku, niżeli opuszczać kraj z myślą o własnem niebezpieczeństwie.

Jasiński prosił o posterunek na Pradze. Otrzymał odcinek od Wisły prawie do Targówka. Na ogólną ilość 13.637 wojska regularnego, miał do dyspozycji 4000 piechoty, około 1000 kawalerji i 23armaty. Rosjanie rozporządzali 22 — 25.000 żołnierzy i 80 armatami.

4 listopada o świcie nieprzyjaciel zaatakował szańce. Na odcinek Jasińskiego uderzyły zastępy gen. de Lassy'ego; za nim szli inni. Krzyżowym ogniem z kartaczownic gen. Jasiński przywitał i odepchnął szturmujące kolumny. Padł ranny de Lassy. Zastąpił go płk. Żerebcow. Nowy atak, jeszcze zacieklejszy...

Ludność Pragi, pomieszana z wojskiem, prze w ucieczce ku Warszawie. Gen. Zajączek daje rozkaz Jasińskiemu do odwrotu. Usłyszał jednak odpowiedź: Hańba z bitwy uchodzić... — Jeśli chcesz umrzeć, zostań tutaj — mówi Zajączek i ustępuje, żegnany okrzykiem: zdrajca.

Kohorty Suworowa wdarły się na Pragę i urządzają rzeź. Tylko na Zwierzyńcu walczy jeszcze Jasiński z 5 i 7 regim. litewskim. Zginęli wszyscy jego oficerowie, obok nich legła pokotem młodzież litewska.

Jasiński, nie tracąc jeszcze nadziei, żąda pomocy. Ale już było zapóźno. Ze wszystkich stron nieprzyjaciel natarł na Zwierzyniec, szturmują kolumny Islenjewa, Buxhöwdena...

Gen. Jasiński padł nawznak z szablą w dłoni.

Do STEFANA BATOREGO.

(wyjątki).

Nie podłość, nie pochlebstwo, lecz hołd winny cnocie,
Wodzić będzie mem piórem w zaczętej robocie.
Polak jestem, od przodków wolną wziąłem duszę,
Myślę, gadam i czuję, jak znam, nie jak muszę.
Znijdź z nieba święta prawdo, niech twoje obrazy
Oświecą pisma mego przysłabe wyrazy.
Niech powiem dzieła męża, co słynął przed światem
Cnotą, sercem, rozumem, radą i bułatem.
O! gdybym mógł wyrazić, rycerzu wspaniały,
Godne ciebie i godne narodu pochwały,
Wyliczyć wszystkie twoje dzieła znamienite
Jak są głęboko w sercach twych wnuków wyryte,
Wyczytałbyś z pociechą w czuciach dusz tysięcznych,
Żeś był wielkim niedarmo, i nie dla niewdzięcznych!
Zdawna znany z ludzkości, poważany w boju,
Żeś Polak mężny w bitwach, cnotliwy w pokoju.
Władzą złączył dwa morza, odgłos jego mocy,
Słynął z wschodu na zachód, z południa w północy.
Tyś był jeden pod słońcem, co dziwem nieznanym
Sam byłeś prawodawcą, sam swoim poddanym.
I sąsiad drżał przed tobą, obcy się dziwował,
Świat uważał, zazdrościł, wielbił i szanował.
Batory był na czele rządowych obrotów
Godny tronu z imienia, cnoty i przymiotów.
Był królem, ale berła, nie miał inszych znaków,
Jak móc robić szczęśliwych i bitnych Polaków.
Garnął się cudzoziemiec w taki kraj szczęśliwy,
Gdzie monarcha roztropny, kochany, cnotliwy.
Gardząc podłe przesądy i gminne mniemania,
Cenił ludzi z wartości, a nie z ich wyznania!

Zamoyski miał po królu pierwszy w kraju sławę,
Pieczęć trzymał w pokoju, na wojnie buławę.
Równie zdatny w obojgu, na obiedwie strony
I biegły był minister i żołnierz uczony.
Kładł w nim ufność Batory, z nim dzielił na poły
Serce, szczęście, zmartwienie, sławę i mozoły.
Oba nawzajem sobie winni swe zaszczyty,
Król, że znał kogo użyć, on, że był użyty.
O królu nieśmiertelny, o wielki Stefanie!
Cóż mogło w owej chwili różnić wasze zdanie?
Co za niechętne bóstwo, za jędza zuchwała
W pośród największych zwycięstw oręż twój
[wstrzymała.
Że podstępnym wybiegiem zdrajców ułudzony,
Raz go słuchać nie chciałeś i byłeś zdradzony?
Ty dziś ojczyzno miła — narodzie kochany,
Nie byłbyś pogardzony, nie byłbyś poddany!

. . . . . .

Twórca Najwyższy świata, Monarcha wspaniały,
Co siedzi w tronie mocy, dobroci i chwały,
Co czas, wieczność i światów okręgi ogrome,
Są przed nim ziarnka prochu, lub chwile znikome:
Spojrzał z górnego nieba okiem opatrzności
Na ten padół zniszczenia, nędzy i próżności.
Nie chciał, aby król wielki po tylu dniach sławy
Splamił resztę żywota przez czyn tak plugawy.
Śmierć zabrała Stefana, którego duch czysty
Poszedł odebrać wieniec chwały wiekuisty.

. . . . . .

DO NARODU.

Wiersz-odezwa, skreślony na wieść o mającym rychło nastąpić wybuchu powstania kościuszkowskiego.

Narodzie, niegdyś wielki, dziś w smutnej kolei,
Wyzuty z siły, bogactw, sławy i nadziei;
Co niegdyś mocą miecza i nauk wyborem
Postronnych byłeś dziwem, pogromem i wzorem!
Dziś pod jarzmem zhańbienia, klęsków i niewoli
Dumnych jesteś igrzyskiem i pastwą swywoli.
Ty, coś orężem obce przemierzał narody,
Patrz, co z tobą zrobiły domowe niezgody!
Jużeś po długim smutku darem oświecenia
Począł wznawiać gmach silny dawnego znaczenia;
I już widział z postrachem twój sąsiad niegodny,
Czem może zostać Polak, gdy wolny i zgodny.
Niestety, jakżeś z twojem pragnieniem się minął —
Błysnąłeś jako gwiazda, jak iskierkaś zginął!
Już więc na tyle nieszczęść byłeś potępiony,
By cię zdradził przyjaciel, brat, król ulubiony.
Czemuż ci los przynajmniej nie ujął tej męki,
Byś legł pod cudzym mieczem, a nie z własnej ręki.
Narodzie! — czas nie ufać w żadne zaręczenia,
W tobie samym jest zakład zguby lub zbawienia.
Nie dbaj na to, żeś w ciężkie kajdany się dostał,
Gdzie lud rzekł: „Chcę być wolnym" — zawsze [wolnym został.

Niechaj ci w myśli stoją przykłady Zachodu,
Co są siły tyranów, a co moc narodu.
Wstań, a sprobuj swej ręki, jeśli jest w niej siła
Władać jeszcze tym mieczem, którym wprzód walczyła.
Poznasz, czegoś znać nie chciał, że na twą obronę
Jest broń, są mężne serca, są rady uczone.
Lecz to wiedz, że nim wyrok powstać ci naznaczy,
Potrzeba wiele zgody, a więcej rozpaczy.
Ten, co włada losami narodów i ludzi,
Jeszcze raz płomień światła dla ciebie obudzi.
Jeśli raz jeszcze stracisz porę korzystania,
Niegodnym będziesz łaski, niegodnym powstania.
Oto już dwa narody, godne siebie dusze,
Łączą serca braterskie na wieczne sojusze.
Wnet dadzą światu poznać przez dzielne zapędy,
Co może światło prawdy, a co złość i błędy.
A ty jeszcze tymczasem pod ustronną władzą
Czekasz aż z miłosierdzia ręki ci podadzą,
I będąc jeszcze w stanie szczątka sił twych użyć,
Wolisz wziąć to z litości, co mógłbyś zasłużyć.
Ojczyzno! kraju drogi, czyliż już dla ciebie
Niema szczęścia na ziemi i litości w niebie?
Czyliż wiecznie zgnębiony pod groźnym toporem
Już Polak nie potrafi też umrzeć z honorem?
Przebóg, czy to sen miły, czyliż już na jawie,
Widzę broń w dłoni polskiej ku wielkiej wyprawie!
Idźcie, mężni młodzieńce, pełni świętej cnoty,
Mścić się naszych ucisków i naszej sromoty.
Idźcie, Ojczyzna żąda, by wasz miecz wygładził
Razem tego, co naszedł i tego, co zdradził.
Próżno was dusza chytra niemocą zastrasza —
Jedno was zgubić może — to jest litość wasza.
Wiedzcie, iż cnota sama, gdy nie jest w swej porze

Równie was zhańbić zdoła, jak zbrodnia w honorze.
Ty, Ojcze wielkiej prawdy, Ojcze twoich dzieci,
Kiedyż nam dzień Twój wielki pierwszy raz zaświeci?
Czas, by już palce Twoje ściśnione ku dłoni
Nas wyrwały z tej hańby, a naród z tej toni;
Niech już Twój święty odgłos od nieba i ziemi
Da nam znać, czem jesteśmy i co potrafiemy.
A ty, co na nas czekasz, ojczyzno strapiona,
Wiedz, że wnet nie masz dzieci, lub jesteś zbawiona.

MOJA PIOSENKA.

Zawsze spokojny, zawsze wesoły,
Nie dbam na smutek, troski, mozoły,
Czy źle, czy dobrze, ja się nie gniewam,
W szczęściu tańcuję, w nieszczęściu śpiewam.
Niech mi się mój los, jak chce obraca,
Smutek, wesołość, pokój, lub praca,
Czy głód, powietrze, pokój, czy wojny,
Jam w szczęściu kontent, w nędzy spokojny.
Niech bieda dojmie, niech głód dogodzi,
Chwila spokoju wszystko nadgrodzi,
Kiedy mam w garści to, czegom żądał,
Już się nie będę nazad oglądał.
Od ubogiego kmiotka do króla,
Każdy na świecie ma swego móla,
Kto wolny, wesół, przy tem poczciwy,
Byle miał rozum — zawsze szczęśliwy.

Chciało się Zosi jagódek
Kupić ich za co nie miała.
Jaś ich miał pełny ogródek,
Ale go prosić nie śmiała.
Wnet sobie sposób znalazła,
Z domu się rano wykradła,
Cicho przez płotek przelazła
Wiśnie Jasiowi objadła.
Poznał się Jasiek na szkodzie,
„Wróble to, mówił, zrobiły,
Odtąd mi w moim ogrodzie
Nie będą ptaszki gościły".
Na drążku, tak jak należy,
Kapelusz pięknie ugładził,
Zawiesił starej odzieży
I stracha w sadzie posadził.
Zośka się strachów nie bała,
Płotek szczęśliwie przebyła,
Z swojej się sztuki rozśmiała
I nową szkódkę zrobiła.
Łatwo się Jasiek domyślił,
Co to za ptaszek tak śmiały,
Nowe sidełka wymyślił.
I dobrze mu się udały.
Na miejsce tyczki udanej,
Cicho pod drzewem sam staje,
W starej odzieży ubrany,
Stracha owego udaje.

Podług swojego zwyczaju
Zosia gałązkę nagina;
„A tuś mi mały hultaju!"
Złapana biedna dziewczyna.
Potem, jak słuszność kazała,
Karał złoczyńcę przy szkodzie.
Zośka z początku krzyczała,
Potem umilkła przy zgodzie.

Stare winko, żonka młoda,
To gust dobry, dobra moda;
Jakie-takie zatrudnienie,
Wolny humor i sumienie.
To rozkoszy znaczne cechy,
Źródło szczęścia i uciechy.
Choćbym miał srebra bałwany,
Albo trzos złotem napchany,
Ani zdrowia, ani sławy,
Nie przedają na postawy.
To rozkoszy znaczne cechy,
Źródło szczęścia i uciechy.
Kto wesoły, choć bez zbiorów,
Obejdzie się bez honorów,
Nędza chodzi za bławatem,
Chłop spokojny śpi pod matem!
To rozkoszy znaczne cechy,
Źródło szczęścia i uciechy!

OSIOŁ.

(Bajka).

Przyszła myśl nowa kupcowi
Zysku szukać na frymarku,
Okrzesał uszy osłowi
I stanął z nim na jarmarku.
Nikt nie poznał tej odmiany,
Ludzie różni się zbiegali,
Żydy nawet i Cygany
Za konia go targowali.
Już do kupna było blisko,
W tem zaryczało oślisko!
Tak to bywa i u ludzi,
Często zwierzchnia postać łudzi;
Aż jak przyjdzie do rozmowy,
Wnet się wyda kto czem z głowy.

CYPRJAN GODEBSKI

pułkownik — urodził się w 1765 r.
poległ pod Raszynem dn. 10.IV 1809 r.

Nie... Prawo być nie może ludzkości uciskiem.
Człek, choć możnych ofiarą lub stał się igrzyskiem,
Chociaż mu gwałt, niestety! Żyć nie da swobodnie
Ma prawo się przynajmniej obruszyć na zbrodnie.
C. Godebski: „Sokrates do swoich przyjaciół".

Cyprjan Godebski urodził się na Polesiu wołyńskiem. Szkoły skończył u pijarów w Dąbrowicy nad Horyniem. Następnie był jakiś czas aktowym viceregentem w swoim powiecie; porzucił jednak to zajęcie i osiadł na wsi, gdzie studjował łacinę i literaturę rzymską. W r. 1794 przerwał studja i, jako ajent organizacyi rewolucyjnych, zajął się przygotowaniami do powstania kościuszkowskiego, a po upadku powstania—agitacją na rzecz powstałych w r. 1797 we Włoszech Legjonów Polskich. Gdy władze rosyjskie wpadły na tropy jego działalności, uciekł z kraju i, drogą na Lwów, udał się do Włoch. W r. 1798 jest już w Rzymie. W tym samym czasie przybył tam również gen. Rymkiewicz; Godebski, wstąpiwszy do legjonów, został mianowany jego adjutantem. Przenoszą się na kwaterę do Mantui. W tem mieście wraz z kapitanem Paszkowskim wydaje „Dekadę Legjonową", gazetę rękopiśmienną dla żołnierzy. W r. 1799 walczył pod Weroną; na polu bitwy awansował na porucznika. W bitwie tej stracił brata i sam został ciężko ranny. Rannego umieścili towarzysze

w szpitalu w Mantui, gdzie przetrwał oblężenie. Po zdobyciu miasta przez wojska nieprzyjacielskie podążył o kulach do swoich. W Lugundzie został przydzielony w stopniu kapitana do legji naddunajskiej gen. Kniaziewicza. W r. 1800 walczył pod Offenbachem, pod Hohstädtem, Filipsburgiem i Hohenlinden. Po zawarciu w r. 1801 pokoju w Lunville odprowadził swój oddział do Toskanji, potem podążył do Paryża, skąd w r. 1803 wrócił do kraju. W latach 1803 — 1806 wydawał w Warszawie wraz z przyjacielem, Ksawerym Kosseckim, czasopismo: „Zabawy przyjemne i pożyteczne". W tym też czasie napisał — oprócz innych — „Wiersz do legjów polskich". Utwór zjednał autorowi duży rozgłos — w r. 1805 został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W r. 1806, na wezwanie gen. Dąbrowskiego, udaje się do Poznania i organizuje pułk piechoty. Po kampanji r. 1807 objął dowództwo twierdzy Modlin. Na tym posterunku zastał go wybuch wojny z Austrją w r. 1809. — Wojska austrjackie w sile 40.000 żołnierzy przekroczyły 14 kwietnia granicę Ks. Warszawskiego pod Nowem Miastem nad Pilicą i posuwały się na Warszawę. Przeciw tej sile wyprowadził ks. Józef Poniatowski 12.000 żołnierzy polskich i 1200 Sasów; w skład armji wchodził również 8 pułk piechoty pod pułkownikiem Godebskim. 19 kwietnia spotkały się obie armje pod Raszynem, blisko Warszawy. „Ufam — mówił przed bitwą do żołnierzy — iż zasłużycie teraz przez waszą odwagę, by numer nasz 8 zmienionym został na pierwszy". Pułk 8 bronił lasku w Falentach. Bitwa trwała od południa do godziny 10 w nocy — lasek przechodził trzykrotnie z rąk do rąk. Pod Godebskim ubito konia. Więc przesiadł na innego. Niebawem potem otrzymał postrzał

w lewą nogę. Nie opuścił jednak szeregu — przeciwnie: na czele zdziesiątkowanego oddziału poszedł do ataku na bagnety. Wróg się cofa... Płk. Godebski zbliska otrzymuje postrzał w pierś. Spadł z konia. Wierni żołnierze, torując drogę bagnetem, na płaszczu unoszą rannego dowódcę z pola bitwy. Gdzieś na uboczu spoczęli na chwilę. Tam pułkownika dosięgła trzecia kula. „Więc i ty mnie także nie mijasz" — szepcze ranny.

Takie były jego ostatnie słowa.

W godzinę potem umarł z upływu krwi na rękach wiernego żołnierza w drodze do Warszawy.

DĄB I DRZEWKA.

Dąb, w czystem polu stojąc, wyniosły,
Gardził drzewkami, co w kupie rosły,
I widząc się być mocnym,
Urągał wiatrom północnym;
Tymczasem nadeszły burze,
Grożąc wzburzeniem naturze
I wszystko ścieląc pomiotem,
Wywróciły dąb z łoskotem.
Drzewka, przez wzajemne wsparcie,
Przetrwały wichrów natarcie.
Łatwiej fortuny cios zniesie srogi,
Komu przyjaciel pozostał drogi.

WIERSZ DO LEGJÓW POLSKICH.

Nox erat et coelo fulgebat luna sereno
Hor.

Kiedy jeden z narodów, w tej płonnej nadziei,
Że wieku żelaznemu wiek zwróci Astrei,
Chciał świata moralnego dawną burzyć postać,
Polak pragnął szczególnie swą własność wydostać
I, płochych z Ikarami nie dzieląc układów,
Żądał tylko odzyskać szczęśliwość naddziadów;
Ufny w dzielnem ramieniu, a bardziej w swej sprawie,
O własnej, nie o świata zamyślał poprawie;
A biorąc samą zemstę w zbytne może kluby,
W ocaleniu swem obcej nie zamierzał zguby;
I rozpacz każe wyrzec, na wieku sromotę,
Dlatego tylko zginął, że zbyt wierzył w cnotę.
O wy! których opiewać przedsięwziąłem czyny,
I przenieść na ojczyste, z cudzych ziem wawrzyny;
Wy! co, jedni po różnych rozsypani stronach,
Szukacie śmierci w obcych już dla nas znamionach;
Drudzy, kiedy nieszczęsne przeznaczeń kowadło
Każe nam broń przerabiać na lemiesz i radło,
Chlubni obywatelstwu wypłaconym długiem,
Kroki wprawne do boju oswajacie z pługiem:
Darujcie, że się ważę smutnemi obrazy
Rozjątrzać w sercach waszych niezgojone razy
I że w rymie, niezdolnym oddać waszych czynów,
Łzy wam niosę, współbracia, na miejscu wawrzynów!
Już głuchej nocy postać okryła narody,
A księżyc świecił miłej nadzieją pogody:
Wy, czując w sercach waszych cnotorodny płomień,
Szliście tam, gdzie nadziei prowadził was promień,

Promień, na który blednie występek i zdrada!
On dla nich strasznym błyskiem, w którym grom
[wypada;
Im wszędy towarzyszą postrach i zgryzoty:
Nadzieja jest udziałem samej tylko cnoty!
„Wszak ją mają, kto rzecze, równie i zbrodniarze?"
Tak jest! — lecz ta z postrachem idzie do nich w parze,
Gdzie się każesz spodziewać, nie wzbudzając trwogi,
Tam ja ciebie poznaję, darze niebios drogi!
Ten to promień, szlachetne zapalając dusze,
Wystawiał dla was niczem i śmierć, i katusze;
Odległość, niedostatek i ostre zakazy,
Nie sprawiły do stałych przedsięwzięć odrazy.
Próżno zaparto bramy, podwojono straże:
Czegoż miłość ojczyzny z chęcią nie dokaże?
Tak, gdy ukryte w ziemnym wulkany przestworze
Ze swojego łożyska wypierają morze,
Próżno one swe bełty ciska pod obłoki,
Napróżno, lądem zwarte, chce rozpostrzeć boki,
Nie mogąc siłą swoją naprzeciw naturze
Ani wylać na lądy, ani zostać wgórze;
Kiedy wiatr coraz bardziej rozdyma je srogi,
Skryte sobie pod ziemią wynajduje drogi
I rozsyła swe nurty na różne manowce;
A gdy błędne po drodze zdybią się krajowce,
Czyniąc otwór swobodny sił swych połączeniem,
Te małe dotąd żyłki stają się strumieniem;
Nakoniec okazałe rzek wziąwszy nazwisko,
Powracają wspaniale w rodzinne łożysko:
Równie i wy obiegli kraj świata daleki,
By wrócić do ojczyzny, jak do morza rzeki.
Zamiar z niebezpieczeństwem kładł każdy na szalę,
I mówił: „albo zginę, lub kraj mój ocalę".

Każdy z was tę przysięgę powtórzył najszczerszą:
Szczęśliwy ten przynajmniej, co uiścił pierwszą.
Ty! pod którego berłem znalazłem schronienie,
I to wolne od trwogi niosę braciom pienie,
Co łącząc godność człeka z blaskiem majestatu,
W monarsze cnót domowych dajesz przykład światu;
Gdy cię radość twych dzieci otacza dokoła,
Nie sądź o mojem czuciu z posępnego czoła,
I daruj, że się stawię przed tobą w żałobie!
Polak jestem! — chcę płakać na mej matki grobie.
Królu! — naszych przeznaczeń ty nie jesteś winą!
Ten tylko broni płakać, kto łez jest przyczyną.
Tkwi mi zawsze ten moment w pamięci nie starty,
Gdy srogi los Polaka wymazywał z karty;
I kiedy on, rzucając dom, ród i dostatki,
Rozpierzchnął się po świecie, jak pszczoły bez matki;
Ja, wśród zagonu łzami zlewając rzewnemi
Pług, idący z oporem w nowych panów ziemi,
I myśląc nad ojczyzny smutnem przeznaczeniem,
Usnąłem, zadumany, pod jaworu cieniem.
Gdy się myśli unoszą po krainach marzeń,
Snując pasmo zwodniczych obrazów i zdarzeń,
Na skrzydłach urojenia niesiony po świecie,
Ujrzałem się na Alpów niebotycznych grzbiecie;
Skąd hesperyjskie pola i Tanaru brzegi
Postrzegłem lechickiemi okryte szeregi.
W ich zbrojnem ciele dusza narodu jaśniała;
Na twarzy była rozpacz, a na czole chwała;
Każdy pyłem okryty marsowego znoju,
Nucąc hymny ojczyste, pałał żądzą boju;
A gdy wśród tętu koni, trąb i kotłów wrzawy
Godzinę walki bożec zapowiadał krwawy,
Zamiast odkazu innej dla siebie spuścizny,

Jeden drugiemu pomstę polecał ojczyzny.
Choć zaś śmierć ich małego nie szczędziła liku,
Szeregi zawsze pełne stawały do szyku:
Zdawało się, że z każdej pobitych mogiły,
Nowe roty mścicielów na plac wychodziły.
Tam ludów różnych mową, ubiorem, postacią,
Napierśnie zdobił napis: „Wolni wszyscy bracią"...
Widziałem, jak się boje rozpoczęły krwawe,
I jak człowiek za własną potykał się sprawę,
Ale w takowej walce spór nie mógł być długi,
Gdzie naprzeciwko wolnym pan wysyłał sługi.
Próżno zbladły fanatyzm z mistycznego tronu
Tłuszcze zwoływał znakiem grzechotki i dzwonu:
Głos wolności zagłuszył poświęcone spiże,
A przed jej chorągwiami uciekały krzyże:
I ten, co swe Polakom winien ocalenie,
Drżał Wiedeń na zdradzonych wybawców zbliżenie;
Sztandar zaś Mahometa, ten wojenny spadek
Naszych przodków, a sąsiad niewdzięczności świadek,
Co go polskie wydarło Muzułmanom ramię,
A Loret ze czcią chował, jako cudu znamię,
Stawiąc na myśl Polakom Sobieskich przykłady,
Wiódł tam wnuków, gdzie mężnie zdobyły go dziady.
Gdy się oko zwodniczym nasyca obrazem,
Zbir srogi mnie go zbawił, przysłany z ukazem.
Obłęd snu tak był dzielny, kiedy mnie przebudził,
Że chciałem tem go straszyć, czemem się sam łudził.
Czytam pismo; — lecz skończyć nie czułem się zdolnym,
Kazano mi przysięgać, że nie będę wolnym.
O ty ulgo nieszczęsnych, darze niebios miły,
Co krzepisz śmiertelników utrudzone siły,
A w naczynia ciał naszych, lejąc trunek boski,
Usypiasz nas na łonie rozkoszy i troski,

Śnie luby! — czemuś, klejąc spłakane powieki,
Nieszczęsnemu zarazem nie zawarł na wieki?
Jak na łożu boleści, gdy zmysły sen złudzi,
Chory z większem się jeszcze udręczeniem budzi,
Tak ja równie ockniony z pięknego marzenia,
Czułem dotkliwiej srogość mego przeznaczenia;
I jak ów zwierz, śmiertelnym pociskiem rażony,
Ciska się, party bólem, w rozmaite strony,
Rozumiejąc, nieszczęsny, że z miejsca odmianą
I srogie jego razem cierpnienia ustaną,
Obiegałem nadbrzeża, doliny i góry,
Chcąc myśl smutną ożywić pięknością natury,
Ale wszystkie jej niegdyś wdzięki i ozdoby
Wdziały przed niewolnikiem postawę żałoby.
Nie zmieni stanu serca, zmieniając przedmioty,
Komu wewnątrz śmiertelne dokuczają groty.
Gdziem tylko wzrok zapuścił, i za każdym krokiem,
Smutny obraz ojczyzny snuł mi się przed okiem;
To znowu sen w łudzącej stawiając postaci,
Chciałem nim cieszyć siebie i moich współbraci,
Lecz oni próżno w Syjon kołacząc skargami,
Mieliż ufać bożkowi, co nas we śnie mami?
Jeden sporym w niewoli postępując krokiem,
Bał się wspomnieć, czem byli Polacy przed rokiem;
Drugi, snów nawet słuchając zostrożna,
Mówił, że za podobne karze podpaść można;
Inny, zwykły brać wszystko pod rachunek ścisły,
Liczył mile po skali do Padu od Wisły,
I gdy cyrklem na karcie miejsc odległość zmierzył,
Wstrząsnął głową i radził, bym we sny nie wierzył.
Jeszcze złoty wóz Feba, w kół ognistych toku,
Nie dostarczał szat nowych czterem córom roku,

Jeszcze w pierwotne brózdy pokrajana niwa,
Nie dała dwukrotnego swemu panu żniwa
I ptak, co był w jesieni ścierń smutną porzucił,
Jeszcze z wiosną na gniazdo ojczyste nie wrócił,
Kiedy odgłos nad Padem zebranych Polaków
Wzywał z niemi się łączyć walecznych rodaków.
Mając miłość ojczyzny i wzór ich na celu,
Szedłem z chlubą, choć w liczbie pośledniejszy z wielu;
I co ten mi wystawiał w zwodniczej postawie,
Gasło przed ich świetnemi czynami na jawie.
Kiedy chmura naokół zionęła pioruny,
Świat jęknął i obadwa wstrząsły się bieguny;
Gdy grom potrójny w Lecha uderzył siedlisko,
Zamieniając gmach pyszny na gruzów zwalisko:
Tak, jak Noe, co niegdyś wśród świata powodzi,
Plemię człeka od zguby unosił na łodzi,
Polak równie wśród losów nieszczęsnych kolei
Chciał się jeszcze ratować na łódce nadziei.
Czemuż do niej nie zabrał jedności i miru?
Nikt nie chciał robić wiosłem, każdy pragnął steru:
Wy ten korab nadziei falami tłuczony
Parli przeciwko wiatrom własnemi ramiony.
Niestety! — on był jeszcze daleko od lądu:
Sternicy się kłócili o nowy stan rządu;
I chcąc dom na nadziei kształcić budowany,
Ten podwyższał sklepienia, ten odmieniał ściany;
A czego jeszcze wspomnieć nie można bez sromu,
Już się nawet o miejsca kłócono w tym domu.
Ani w środkach ratunku jedności nie było,
Ten chciał powstać przez pomoc, drugi własną siłą;
Gdy inny polityczne przedstawiał układy,
Drugi w nich gramatyczne ukazywał wady:

Wy, nie trwoniąc tak drogiej dla ojczyzny pory,
Z nieprzyjacielem w boju toczyliście spory,
Zwracając świata baczność na dzieł świetnych sławę,
Wasz oręż czczą zagłuszył tych Solonów wrzawę.
Czułości! — wstrzymaj twoje niewczesne zapędy!
Już teraz późno przeszłe ukazywać błędy;
Dziś nad grobem ojczyzny, płacząc wszyscy razem,
Darujcie, żem się z smutnym rozciągnął obrazem.
Jest to wadą niektórych, że mają w zwyczaju
Unosić się, gdy mówią o nieszczęściach kraju.
Nakoniec, skryte dla nas przeznaczeń są drogi:
Niech błędy ojców dzieciom służą za przestrogi!
Ten zarzut nie ubliża szacunku ich cnocie:
Różni w środkach, lecz byli zgodnemi w przedmiocie;
Każdy niósł na ratunek sił swoich ostatki,
Gotowy własnem życiem zgon okupić matki;
Na tych tylko niech spadnie hańba i sromota,
Niechaj bojaźń z rozpaczą umysłem ich miota,
Niech im robak wewnętrzny twarde serce toczy,
Co na jej zgon patrzyli spokojnemi oczy!
Ale poco odrodków ojczyzny wspomnienie
Przerywa jej obrońcom poświęcone pienie?
Jak błędne w nocy światła, co łudzą podróżnych,
Tak cień matki was wodził po krainach różnych,
Niosąc z sobą nadziei i braterstwa znamię,
Szliście z ludem walecznym złączyć wasze ramię:
A dzieląc z nim odwagę i trudy i sławę,
Sądziliście, że swoją złączy z waszą sprawę.
Ale czyż dla Polaka tak jest przeznaczono,
Żeby od tych brał ciosy, których był obroną?
Myślałyż nasze dziady pod Wiedniem za Jana,
Że zamiast przyjaciela, dadzą wnukom pana?
Mogliścież i wy myśleć pod Sessą, Weroną,

Że was poszlą pić wodę oceanu słoną?
O jak bolesne miejsca drugiego wspomnienie!
Stawiają mi przed oczy Rymkiewicza cienie.
Czytam ten zarzut w jego surowej postaci:
„Żal niegodnym jest hołdem dla mężnych twych braci".
Pomnę, kiedy w nieszczęsnej pod Leniago stracie
Los mi kazał, prócz innych, płakać śmierci w bracie:
„Łza w boju żołnierzowi, rzecze, nie przystoi,
A wskazując na roty: — „To są bracia twoi".
Ach, przebacz, raz ten jeszcze, drogi wodza cieniu,
Lutni w ręku żołnierza żałosnemu brzmieniu!
Nie mogąc innej braciom wypełnić posługi:
Wdzięczność, w miarę sił swoich, płacić winna długi.
O ty! który, żyć nie chcąc po wolności zgonie,
Zamiast pomścić się onej, miecz topisz w swem łonie,
I cios matce zadajesz, ugadzając w siebie,
Katonie! — ja w tym kroku nie poznaję ciebie:
Cóżeś twoją rozpaczą dla ojczyzny zrobił?
Zamiast bronić jej swobód, tyś jeszcze je dobił;
Zdaje się, że wolności cios gotując srogi,
Dałyć tę myśl przychylne Cezarowi bogi.
Ona nie tak Farsalską zachwiała się stratą,
Ile rozpaczający zaszkodził jej Kato.
Jeśli dość na stoika, że mężnie umiera,
Nie sama wzgarda śmierci robi bohatera.
Gdy czyn Katona z waszym porównywam czynem,
Chlubniej być mi Polakiem, niźli Rzymianinem,
Krew Katona jest tylko klęską dla współbraci:
Wasze rany zbyt drogo nieprzyjaciel płaci.
Ów zgon Rzymu przez swoją pieczętuje bliznę,
Z was każdy swoją z sobą unosi ojczyznę;
A nie mając swej ziemi na jedną już stopę,
Mierzy krokiem zwycięskim zdziwioną Europę,

I ten, którego imię zniknęło na karcie,
Dla jednych postrach zemsty, drugim niesie wsparcie.
Tak, gdy niegdyś Pers dumny wszystkie siły wschodu
Na zagładę greckiego poruszył narodu,
Tworząc dziwy na ziemnym i wodnym przestworzu,
Płynął, gdzie były góry, przechodził po morzu;
A pomstę swoich przodków mając w przedsięwzięciu,
Na jednego Greczyna swych zbroił dziesięciu;
Ateńczyk, chcąc odeprzeć napaśnicze tłumy,
Rzuca miasto, ten przedmiot najezdnika dumy,
Łącząc siłę i rozpacz z miłością ojczyzny,
Idzie walczyć z nachodźcą wśród morskiej płaszczyzny;
I ten, co się na ziemi rozgościł był Greka,
Pan tysiąca okrętów, na barce ucieka.
Z równym i wy ojczyznę rzucili zapałem!
Choć szczęście Aten waszym nie było udziałem,
Przynajmniej wasza chwała nie jest pośledniejsza,
Los przeciwny szacunku ofiary nie zmniejsza.
Co za widok wspaniały uderza me oczy!
Tam, gdzie Erydan nurty lazurowe toczy,
Gdzie Gallów z Germanami Ren dzieli szeroki,
I gdzie Tyber, skrapiając Scypionów zwłoki,
Zazdrosny sławy Rzymu, w swem łonie głębokiem
Ukrywa twórcze dzieła przed najezdcy okiem,
I skąd niesyty niegdyś i sławy i danin,
Jednym berła, a drugim słał pęta Rzymianin,
Który dla swych widoków i wojennych trudów,
Nie znał innej granicy, nad pokorę ludów;
Gdzie potem, na Trajanów i Tytusów tronie,
Siadłszy święty rybołów w troistej koronie,
Ze schodów marmurowych, nakształt majestatu,
Dwa palce, zamiast berła, pokazywał światu;
Gdzie bystry Dunaj, świadek tylu krwawych bojów,

Niesie morzu daninę krajoróżnych zdrojów,
I gdzie Wulkan z swej paszczy czarną lawą ziewa,
Wszędzie sztandar zwycięski Sarmatów powiewa;
A wśród ojczystej mowy, stroju, obyczaju,
Zda mi się, że na łonie mego jestem kraju,
I nie prędzej to słodkie omamienie ginie,
Aż, gdy widok mój po obcej zapuszczę krainie.
Liczbą zbrojnych przychodniów mieszkaniec zdziwiony,
Trwożnem okiem przebiega obce legiony.
Jakie ich przedsięwzięcie, jaki zamysł, bada,
Sam siebie zapytuje i sam odpowiada:
„Może umysł napadów albo zwycięstw chciwy
„Nowych wiedzie Attylów na Auzońskie niwy?"
Nie. — To naród szlachetny, łagodny, spokojny,
Zawsze był mężny w boju, lecz nie szukał wojny.
„Może klima niewdzięczne, chciwość lub potrzeba
„Zagnały tych wędrowców pod te szczęsne nieba,
„Gdzie ziemia co rok płodna, nie znając odłogów,
„Lubym niegdyś pobytem była ojca bogów."
Nie — zamożny i w niwy i stada i trzody,
Ten lud inne odziewał i żywił narody;
Gościnny, dzielił z obcym dostatek krajowcem.
Lubił wspierać przychodniów, sam nie był wędrowcem.
„Może smutne Pergamu rzuciwszy zwaliska,
„Nowi jacy Trojanie szukają siedliska,
„Chcąc na wzór Eneaszów nowem państwem słynąć?"
Nie — Przyszli kraj swój zbawić, lub za niego zginąć.
Ale próżne, niestety! zamiary i znoje.
Jak nie dla siebie znoszą miód pracowne roje,
Jak nie sobie pod jarzmem wół kraje zagony,
Równie kto inny zebrał pracy waszej plony.
Co za smutne uczucie dla Polaka duszy!
Lecz nowy jakiś odgłos uderza me uszy:

Auzończyk, wsparty dzielnem Lechity ramieniem,
Niesie mu hołd wdzięczności swem ponętnem pieniem;
A nie mogąc mu równym odsłużyć wymiarem,
Płaci jego ofiary obietnicy darem.
Brzeg Auzoński za mały na wasze był czyny,
Sława was w odleglejsze wzywała krainy;
Kędy ojce szukały winy odpuszczenia,
Ich dzieci szły na hasło ojczyzny zbawienia;
Tam, okryty laurami na werońskiem polu,
Dzienne rozkazy Polak dawał z Kapitolu;
I gdzie bagna pontyńskie dech zabójczy zioną,
Wszędy widziano ziemię krwią jego zbroczoną;
Walcząc mężnie na polach nowej Partenopy,
Utkwił sztandar sarmacki na krańcach Europy.
Tam, obiegłszy zwycięskim krokiem okolicę,
Zdobił w pamiątki męstwa niewdzięcznych stolicę.
Może kiedyś życzliwsze od swych ojców plemię,
Patrząc na zhołdowane i ludy i ziemie,
Na zwycięskich w swym grodzie znaków skład bogaty,
Wspomni imię z wdzięcznością mężnego Sarmaty.
Lecz tu nie koniec waszych i trudów i chwały,
Nowe was laury, nowe cyprysy czekały;
Wy, na wszystkie przygody mając umysł męski,
Znosiliście zarówno zwycięstwa i klęski;
A krótkie w czasach krwawych trąb wojennych przerwy
Przyjemnym poświęcali zabawom Minerwy.
Ten pracowny spoczynek nie był dla was długi:
Żądano od was nowych ofiar i posługi;
Wkrótce chmury gromowe, rycząc od Tyrolu,
Kazały wam się stawić na marsowem polu.
Tam odwieczne zachodu i północy siły,
Siłom, jeszcze w kolebce będącym, groziły;

A ziemia, co darzyła rozkosznym pobytem,
Wzięła postać krainy, oblanej Kocytem.
Jak kiedy Trójzębego chcąc burzyć dziedzinę,
Wiatrowładny z swych miechów poruszy drużynę,
Pędząc nawet świszczący Eolskiej czeladzi,
Rozwala o co tylko po drodze zawadzi,
Zasmuciwszy rolnika, swą srogość wymierza
W schronią ptaków i pobyt swobodny pasterza,
Gdzie, z posępnym wód szmerem, słabych listków
drżenie
Zapowiada strasznego przychodnia zbliżenie;
I gdy już swoją wściekłość na drzewach wywiera,
Te, łącząc swe ramiona, jedno drugie wspiera:
Tak wy równie z narodem Padu i Sekwany
Dzielili męstwo, klęski i trud naprzemiany,
A słoniąc obraz śmierci wolności obrazem,
Mówił jeden drugiemu: „umierajmy razem".
Może w czasie wędrowiec, zwiedzając te strony,
Kiedy ujrzy na polach stek mogił wzniesiony,
Czyjeby kryły zwłoki, mieszkańca zapyta:
„Tu, szukając ojczyzny, grób znalazł Lechita,
„Tam Francuz, co nam niegdyś prawił o wolności,
„Tu, rzecze, moich ziomków spoczywają kości".
Gdy zaś błędem czy zdradą, czy z losów wyroku
Francuz, trzykroć Germanom ustępując kroku,
Na zgubną straż zostawił szczątki nowej Troi,
Na męcie stęchłych jezior wzniesionej ostoi,
Każdy z was, bieżąc nowym do sławy zawodem,
Walczył z nieprzyjacielem chorobą i głodem;
A kto śmierci uniknął na zabójczej kępie,
Znalazł więzy, w mniemanych wybawców podstępie.
Tak, jak roje swobodne hyblejskich ogrodów,
Gdy je sąsiad napadnie, chciwy cudzych miodów,

Rzucając ulubione swej matki siedlisko,
Puszczają się, jak błędne, na wiatrów igrzysko,
I z swych gajów ojczystych lecą w obce knieje,
Mając za przewodnika rozpacz i nadzieję,
A zdybawszy po drodze wśród swego przechodu,
Chociaż cudzokrajowce, ale tegoż rodu,
Naówczas różnych gajów zjednoczone roje,
Świętym węzłem braterstwa łączą siły swoje;
Jeśli zaś i w tych stronach napastne owady
Rozbiją lotne kłęby wędrowczej gromady,
Cna rzesza znowu w inne zapuszcza się ziemie,
Niosąc, zamiast słodyczy, swoich nieszczęść brzemię,
I w powszechnem cierpieniu, srogi smutek tuli
Nadzieją powrócenia do ojczystej uli;
Ni przeciwność jej stałej nie przerywa pracy:
Tak równym losem wszędy miotani Polacy,
Ci rzucając brzeg Padu, ci ojczyste gniazdo,
Gromadzą się raz jeszcze pod łudzącą gwiazdą;
I gdzie Ren licznych krain użyźnia płaszczyzny,
Idą szukać gościńca do swojej ojczyzny.
Tam dowódca, podobny Marsowi z postaci,
Przykładem swym do męstwa zagrzewał współbraci,
Co nigdy śmiałych kroków trudnością nie mierzył,
Budząc odwagę hasłem, któremu sam wierzył,
I sam nim zawiedziony — próżnej sławy syty,
Przeniósł ziomków szacunek nad obce zaszczyty.
Tam każdy, z swego stopnia, w rycerskim zapale,
Stawił wieczne pamiątki narodowej chwale.
Tam żołnierz, idąc w swoich przełożonych ślady,
Łamał hufce i czerni rozpędzał gromady,
Które chytry Włoch, dusznej ponętą nagrody,
Krwią znaczonym gościńcem na wieczne słał gody.
Tam, czyn godząc obrońców z przeznaczeniem brańców,

Żołnierz, za dnia wzniesionych, bronił w nocy szańców,
Niosąc karabin z rydlem na służbę z wysługą,
Jedną ręką je sypał, a zasłaniał drugą.
Naostatek zwycięzca w nadreńskiej krainie,
Poszedł utkwić swój sztandar tam, gdzie Dunaj płynie,
A przechodząc sąsiednej tej rzeki łożysko,
Uiścił, że nie próżnie jej nosił nazwisko:
Tkwią mi jeszcze w pamięci Hohenlindu błonie,
Gdzie Francuz jego męstwem swe uwieńczył skronie.
Niestety! — jakież dano wam za to podzięki?
Krew się ścina w mych żyłach — pióro pada z ręki;
Boleść zatłumia mowę — nie staje wyrazu!
Ale na co powiększać okropność obrazu?
Szliście na głos braterstwa — lecz o losie srogi!
Ten grób znalazł, ten wróci bez ręki lub nogi,
Oddalony od braci, domu i rodziny,
Nie jeden pije gorycz wpośród słodkiej trzciny;
A drugi, przebiegając okropne pustynie,
Lub cudzy głód nasyca albo własnym ginie.
O hańbo; o ślepoto w ludziach niepojęta!
Ten, który został wolnym, poniósł drugim pęta.
Poniósł — ale słusznego nie uszedł pogromu:
Znalazł: lub zgon za morzem, lub niewolę w domu.
O narodzie niewdzięczny! — takaż twa wypłata,
Byś na rzeź słał przyjaciół, wśród obcego świata,
Nadzieje matek zmieniał na rozpacz i trwogę!
Takąż nam do ojczyzny ukazałeś drogę?
Świadek waszego męstwa, a uczestnik biedy,
Koledzy, przyjaciele, zobaczęż was kiedy?
Będziemyż sobie nasze powiadać przygody?
W przekonaniu wewnętrznem szukając nagrody.
Ach! czemuż dla Polaka losy niełaskawe
Nie dadzą ulżyć braciom, których dzieli sławę?

Jak łódź, miotana burzą po morskiej przestrzeni,
Jak listek, z drzewa spadły, błąka się w jesieni,
Tak z was każdy z rodzinną ziemią rozłączony,
Idzie, nie wiedząc w jakie los go niesie strony,
Albo, walcząc ze śmiercią na morskiej płaszczyźnie,
Ostatnie swe westchnienie przesyła ojczyźnie.
O wy, drogie narodu ogromnego szczątki!
Czyż nie dość ginąć marnie? — trzebaż bez pamiątki?
Niktże waszych dzieł świetnych nie ogłosi światu,
Ni rzuci na mogiły ojczystego kwiatu?
Macież dla nas pić gorycz wszędy rozproszeni,
Albo ginąć, a jeszcze ginąć zapomnieni?
Nie! — Myśl słodka mnie cieszy, że pamięci córa
Dar nam gotuje w płodzie ojczystego pióra,
I że z waszych popiołów (przeczucia me tuszą)
Powstanie polski Maro z Jasińskiego duszą;
On wasze czyny poda do wiecznej pamięci,
A gasząc moje rymy, wspomni dobre chęci.

ANDRZEJ BRODZIŃSKI

ur. d. 26 września 1786 r.
poległ nad Berezyną w czasie wyprawy na Moskwę, w r. 1812.

Mnie, gdy się przyjdzie z tym rozstawać światem,
— Wy za mną—Waszym, zapłaczcie współbratem—
Wszystkie bogactwa przeważy na niebie
Jedna łza wasza na moim pogrzebie.

A. Brodziński: Do Towarzyszów.

Andrzej Brodziński, starszy brat znakomitego poety Kazimierza, urodził się w Lipnicy w Krakowskiem. Mając lat osiem stracił matkę. Ojciec do domu wprowadził macochę; skromna i cicha z początku niewiasta zczasem „stała się postrachem nietylko domu, ale całej wsi i okolicznych sąsiadów". Najchętniej też Andrzej przebywał poza domem. Ukończywszy w Tarnowie gimnazjum, w r. 1804 wyjechał na studja uniwersyteckie do Krakowa; tu się zaprzyjaźnił z W. Reklewskim, takoż jak on sam, gorącym wielbicielem natchnień poetyckich. Po śmierci ojca, z braku środków materjalnych, był zmuszony opuścić mury uniwersyteckie i jąć się pracy zarobkowej; był więc jakiś czas pisarzem u adwokata w Krakowie, następnie sekretarzował staroście Dąbskiemu w Wojniczu. W r. 1807 przeniósł się do

Lwowa, gdzie też ukończył wyższe studja. W tym okresie wydał swoje „Zabawki wierszem i prozą". W r. 1809 zaciągnął się do wojska Księstwa Warszawskiego i został przydzielony do 16 p. p., stacjonującego we Lwowie. Napisał wtedy pełen siły wiersz p. t. „Polak powstający w r. 1808". Stał potem z pułkiem w Krakowie, wkońcu w Warszawie. W r. 1812 wyruszył na Moskwę. W bitwach pod Smoleńskiem i Możajskiem nie brał udziału, gdyż w tym czasie był adjutantem placu w Szkłowie, w pow. mohylowskim. Do pułku dołączył się przy odwrocie wojska z pod Moskwy.

W trzy dni potem poległ nad Berezyną.

POLAK POWSTAJĄCY.

R. 1808

Odstąpcie straże przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe,
Pójdę dzień witać po nocy,
Obudzę śpiącą mą sławę.
Mój orzeł do góry leci,
O drogi orle mój biały!
Już lat dwanaście twe dzieci
Żniw pod twem skrzydłem nie miały.

Lecz jakże ta chmura krwawa,
Którą wskrzeszony ty prujesz?
Ciężka znać twoja przeprawa,
Dzieci na pomoc zwołujesz.
Odstąpcie straże przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe,
Pójdę dzień witać po nocy,
Obudzę śpiącą mą sławę.

Pójdę, choćbyście kazali
Wiatrom z południa dąć srodze,
Moc onych z nóg mię nie zwali;
Pójdę ku północnej drodze.

Rącze powodzie przebędę,
Ku sprzecznej wiodące stronie,
Wrogom na karkach osiądę,
I mego orła obronię.
Odstąpcie straże przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe,

Pójdę dzień witać po nocy,
Obudzę śpiącą mą sławę.

Tysiąc strzał do Matki łona,
Patrzcie! wrogi wymierzyły;
Powstańmy! niechaj nie kona,
Wtedy gdy wstaje z mogiły.

Tysiąc strzał niechaj rzucą,
My ją zasłonim piersiami,
W proch nas przemożni obrócą,
Lecz matka stanie nad nami.
Odstąpcie straże przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe,
Pójdę dzień witać po nocy,
Obudzę śpiącą sławę.

Żyj, matko, niech nasze pyły!
Będą u wiatrów szukane,
Będą je łzami wilżyły,
Nasze dziewice kochane.

A duch w weselnej postaci,
Chodząc w Empirze przez gaje,
Doniesie cieniom swych braci,
Że Polska z grobu powstaje.
Odstąpcie straże przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe,
Pójdę dzień witać po nocy,
Obudzę śpiącą mą sławę.

POŻEGNANIE Z KOCHANKĄ.

R. 1808.

Czyliż Ojczyzny nie kochasz o luba?
Że mi iść bronisz piersi stawiać za nią,
I czyliż nie znasz jak wielka stąd chluba,
I jak jest słodkie na placu skonanie?

Alboż tak dufasz męstwu memu mało?
Że się pociskom nie zdołam odwinąć,
Że bić nie zdolę nieprzyjaciół śmiało,
Lub ich zwyciężyć, lub z honorem zginąć.

Wrócęli, wrócę zwycięzcą, a Tobie,
Nie miłoż będzie oglądać mię w chwale?
A gdy nie wrócę, wiedz, żem poległ w grobie,
Lecz pomnij na to, żem poległ wspaniale.

Żalże Ci będzie, żeś mą lubą była,
Gdy rzekną: poległ dla Ojczyzny sławy,
Lub czy się ze mnie nie będziesz pyszniła
Na głos: twój luby był bojownik żwawy?

Jeszczem na względy nie zasłużył twoje,
Czegoż kosztowne twe nie warte wdzięki?
Pójdę na wojnę, ty mi przywdziej zbroję,
A wnet pokażę, żem twojej wart ręki.

Bądź zdrowa luba; daj mi chustkę twoją,
Nią otrę czoło z marsowego potu,
Pod nią się prędko rany moje zgoją —
Będę do Ciebie pisował z namiotu.

BĘBNIĄ DO BOJU, JUŻ LISTU NIEMA JAK PRZESŁAĆ.

Lecz cóżto? Bębnią! dalej do broni!
Komuż list oddam w tak ciężkiej wrzawie?
Któż mi go teraz zawiezie do niej?
Już jej się widzę w słowie nie stawię.

Sprzeczności sroga! toż dla niej w pole
Nie pójdę? Nieba, cóż mam obierać?
Leć ze mną kary! bojować wolę,
Pójdę zwyciężyć, albo umierać.

Daruj mi, daruj, kochanko miła,
Okażmy miłość Ojczyźnie wprzódy,
Bo jużby nasza świętą nie była,
Gdyby czyniła tamtej przeszkody.

Oto ptak leci w te strony widzę,
Czemuż nie czekasz, abym cię użył?
Czem ptaku z ludźmi nie jesteś w lidze?
Byś za posłańca kochankom służył.

DO TOWARZYSZÓW.

Cóżto, smutniście, towarzysze drodzy?
I ja nie bogacz i wyście ubodzy,
Wolę jednako we współduszy z wami,
Niż z stokrotnemi, a bez was, skarbami.
Śpiewajmy sobie, nie troszczmy się o to,
Czy mamy albo czy mieć będziem złoto,
Dawno albowiem wiadomo nam o tem,
Że więcej szczera przyjaźń jest, niż złotem.
My zatem, inni tego słuchać nie chcą,
Nad wszystko złota dostatki ich łechcą,
Darmo Poeci na nich zewsząd krzyczą:
Nie ci szczęśliwi, co skarby dziedziczą.
Myślą, że skarb im ten jeszcze potrzebny
Będzie po śmierci na obchód pogrzebny,
Ale bez cnoty za grosz zależały,
Możnaż niebieskiej dokupić się chwały?
Mnie, gdy się przyjdzie z tym rozstawać światem,
— Wy za mną, waszym zapłaczcie współbratem —
Wszystkie bogactwa przeważy na niebie
Jednak łza wasza na moim pogrzebie.

DUMA NAD BAŃKĄ NA WODZIE.

Słabyś, o ludzki Narodzie,
Ach, poznaj siebie człowiecze,
Jesteś jak bańka na wodzie!
Tak do mnie prawda raz rzecze.

Szedłem do wody w tej dobie,
Ujrzałem bańkę i znikła,
Ach prawda! równiśmy sobie!
Sroga mnie rozpacz przenikła.

Lecz w cóż się zmieniła ona?
Z wody jest, wodą się stanie,
Rzekłem, z nią teraz złączona,
Płynie jak rzeka przez gaje.

A ona: czegóż się smucisz?
Skąd taka rozpacz, skąd trwoga?
Tyś z Boga i ty się wrócisz
Także po zgonie do Boga.

Patrz, płynie do oceanu;
Tak nigdy i ty nie zginiesz,
W bezpiecznej łodzi przy Panu
Morzem wieczności popłyniesz.

Słodka miłość, to prawda, lecz pomnijcie młodzi,
Że nadto słodyczy szkodzi,
I że tym, którzy wiele użyli słodyczy,
Dają lekarstwa z goryczy.

WINCENTY REKLEWSKI

podpułkownik.
Urodzony w r. 1786.
Umarł w czasie wyprawy na Moskwę w r. 1812.

Płynie chwila jako woda,
Z życiem lube myśli płyną,
I nadzieja i uroda
Jako kwiat samotny miną.
W. Reklewski: Sielanka.

Wincenty Reklewski urodził się we wsi Obręcznej — według innych źródeł w Boleszynie, w pow. opatowskim. Do szkoły podwydziałowej uczęszczał w Słupi Nowej, w rodzinnym powiecie. W r. 1804 wstąpił na uniwersytet w Krakowie, gdzie poznał się i zaprzyjaźnił z Andrzejem Brodzińskim. Dwaj młodzi przyjaciele często „na polach łobzowskich, spijając piwo z grzankami, weselili się i rozmyślali o swych prostych sielankach". Reklewski nauk uniwersyteckich nie ukończył, lecz osiadł na wsi i gospodarzył; niedługo jednak— gdy powstało Księstwo Warszawskie „porzucił on pług i książki, a wziął się do oręża": w r. 1806 w stopniu podporucznika wstąpił do artylerji. W r. 1809 bił się pod Raszynem. W bitwie pod Sandomierzem t. r. odwa-

gą i męstwem wysłużył sobie złoty krzyż i stopień kapitana. Najszczęśliwszą w życiu chwilę przeżywał, gdy po wypędzeniu Austrjaków wkraczał na czele swojej kompanji do oswobodzonego Krakowa. W Krakowie stał z pułkiem do r. 1811; wówczas to drukiem ogłosił swoje utwory poetyckie p. t. „Pienia wiejskie". W r. 1811 został przeniesiony do Modlina, z przydziałem do korpusu inżynierów. Jako poddyrektor położył duże zasługi przy umocnieniu tej twierdzy. Gdy nadszedł r. 1812, Reklewski pociągnął z Napoleonem na Moskwę. Pod Smoleńskiem zdobył szlify podpułkownika. Niedługo je nosił: w pochodzie na Możajsk rozchorował się ciężko, a będąc już bez przytomności, z pod Rożestwa, koło Kaługi, został odstawiony do lazaretu wojskowego w spalonej Moskwie, gdzie po kilku dniach życie zakończył.

SIELANKA.

Szumi woda w cichym lesie,
Śpieszy Filis do świątyni,
Liljowy wianek niesie
Święcić czystości bogini.

„Bądź Djano uwielbiona,
Bogom ten śmiertelnik luby,
Kto ci wśród czystego łona
Dochował śluby.

Wiecznie kwitną twoje kwiaty,
Przy tobie zawsze swoboda,
Nie dozna żalu i straty
Pasterka młoda".

Tak śpiewając, las przebiega,
Z jej się pieśnią echo kłóci,
Doszło zdradne aż do brzega,
Gdzie się młody Filon smuci.

Śpieszy, nucąc, w skorym biegu,
Za nią echa kłócą gaje,
Las minęła i u brzegu
Nad strumieniem chwilę staje.

Utopiła oczy w wodzie,
A na brzegu niedeptanym
Przygląda się swej urodzie,
Białym piersiom zadyszanym.

Zadumana długo stoi,
Zadumana w wodzie płonie,
Lubych myśli płyną zwoje,
Za myślami serce w łonie.

„Płynie chwila jako woda,
Z życiem lube myśli płyną
I nadzieja i uroda,
Jako kwiat samotny miną".

Takie zdala słyszy śpiewy
I poznaje głos Filona,
Coraz bliżej szumią krzewy,
Już go widzi dostrzeżona.

Daremnie się ukryć sili,
Ukryć się kochanka oku,
Odgłos trwogi... w jednej chwili
Już ją trzyma przy swym boku.

Nadaremne szamotanie,
I tajona luba zdrada,
Nieostrożna, gdy się wzbrania,
Z brzegu wianek w wody spada.

Na wianuszku Amor płynie,
Już go woda precz uniosła,
A w oczy szydząc dziewczynie,
Łukiem robi zamiast wiosła.

Pomnij o mnie,
Celu mego kochania,
O którego szczęsne losy
Posyłam w górne niebiosy
Tkliwe wzdychania;
Pomnij o mnie,

Pomnij o mnie,
Kiedy w przyjaznym gronie
Inna poda kwiaty tobie,
Mnie wtedy przypomnij sobie
Na twojem łonie;
Pomnij o mnie!

Pomnij o mnie,
Gdy zechce przeznaczenie,
Abym w odległej ustroni
Lała na pierś, miasto woni,
Łzawe strumienie;
Pomnij o mnie.

Pomnij o mnie,
Kiedy mnie już nie będzie.
Ach! w ostatnie może chwile
Usta szepną: nawet w mogile,
W umarłych rzędzie,
Pomnij o mnie.

Jechali przez wieś ułani po wojnie,
Chorągiewkami wiewał wiatr spokojnie,
Ku nim wieśniaków z chat wybiegły tłumy,
Kiedy podolskie wyciągali (śpiewali) dumy.
Matki — łzy w oczach — synów oglądały,
Których w młodości powaliły strzały.
Smutna się ku nim zbliżyła Halina
I temi słowy mówić im zaczyna.
„Dziarscy bojanie, a gdzie konia macie,
Który po moim został u was bracie?
Nosił go, nosił daleko po świecie,
A z pól raszyńskich nie uniósł go przecie.
O, nie dziwcie się, że go jedna płaczę...
Niech wam powiedzą tutejsi oracze,
Że ojciec umarł i matka już kona,
W grobie nieszczęsna kochanka złożona.
Pochowałam ją ongi w czarnym lesie:
Wiedziałam dobrze, że się tam przeniesie
Cienie braterskie z powojennej niwy;
Zwiastowały go straszące powiewy...
I wypędził was o północnej dobie,
Wzdychał zdyszany na kochanki grobie.
I broń jęczała na smutnym kamieniu,
Rzucając ogień po okropnym cieniu".
Umilkła, żenąc, gdzie jest matka chora,
Krówkę, co z paszy wróciła z wieczora.
Ułani ze wsi ku lasom jechali:
Widać chorągwie i łyskanie stali.

SONET.

Nie znałem wtedy miłości,
I znać jej nie trzeba było;
Z ciemnej wybiegło skrytości
I okrutnie mię raniło,
Dziecię, niestety, okrutne;
Wstydziło się swego dzieła,
Płakało i było smutne.
Kiedy mię strzałka dojęła,
Czuję jej jad utajony,
Goreję i wzdycham skrycie,
Zatrute mam całe życie;
Łzy ronię na lutni struny,
Przedmiotu mego cierpienia,
Abym zapomniał imienia.

JÓZEF ŁAPSIŃSKI.

ur. ok. r. 1810.
Poległ w bitwie pod Grochowem d. 25 lutego, 1831 r.

Łagodnie przeświecała mej młodości zorza...
J. Łapsiński: Widok z Tyńca.

Józef Łapsiński urodził się w Krakowie. Kształcił się w liceum św. Anny w rodzinnem mieście. Już jako student pisywał wiersze — jeden z utworów poświęcił Sebastjanowi Girtlerowi, rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, w dniu jego imienin.

Poezje swoje ogłaszał w różnych pismach polskich; w r. 1829 zebrał je i wydał pod wspólnym tytułem: Poezje. W zbiorku przeważały sonety — tę bowiem formę upodobał sobie poeta — niektóre dobre i ładne.

Po wybuchu powstania listopadowego wyjechał do Warszawy i zaciągnął się w szeregi wojska narodowego. Wyruszył w pole. W bitwie pod Grochowem kula urwała mu głowę.

Według innej wersji, poeta po bitwie pod Grochowem wychodził z innemi ochotnikami na brzeg Wisły w Warszawie i na własną rękę urządzał polowanie na kozaków, uwijających się po przeciwnej stronie rzeki. Tu „jeden z Dońców odpowiedział wystrzałem z janczarki i na miejscu trupem położył dzielnego krakowianina".

WIDOK PO ZACHODZIE SŁOŃCA.

Tam sterczą, jak olbrzymy, ponure obłoki,
A czasami im turban jasna wstęga stroi
I świeci nakształt z złota splatanych zawoi
— To błyskawica ognia rozlewa potoki!

Na zachodzie goreją granitu opoki?
— To blask pada na szczyty z słonecznych podwoi.
Ustała dzienna spieka — chłodem świat się poi
I wdziewa płaszcz utkany z wieczornej pomroki.

Już na niebios błękicie błysło gwiazd tysiące,
Czasem owad wędrowny milczenie przerywa,
Księżyc rzuca zukosa promienie mdlejące.

Z melancholijną piosnką słowik się odzywa —
A strumień szeleszczący śród kwiatów na łące
Trwoży umysł wspomnieniem, że życie upływa!

WIDOK Z TYŃCA.

Ze skały — z starych murów — z krużganków kościoła
Jawi się okolica wdziękiem czarująca:
Potok o stert granitu zimną pierś roztrąca,
A po dolinach kwiatów widać stada - sioła.

Rozlegają się śpiewy wieśniacze dokoła,
Śród nich usypia szczęściem myśl szczęście marząca,
Lub spocznie, gdzie pancerzem lodu się iskrząca
Góra Tatrów na niebo o nieczułość woła.

Słowiańskich rzek królowo wiążąca te lądy,
Dziś wzdęta niepogodą mętne toczysz prądy,
A jutro cicha — czysta popłyniesz do morza!

Łagodnie prześwieciła mej młodości zorza,
Słońce lat starszych żądze namiętne ocuci,
Wieczór chłodny nadejdzie — a ranek nie wróci!

BIELANY NA WIOSNĘ.

Brzmi odgłos rannych modlitw w posępnym klasztorze,
Lśnią się jaskrwawym świtem rozkwitnięte drzewa.
Wszędzie sztandar rozkoszy i życia powiewa,
Wonnych balsamów ranku rozlało się morze.

Dyjamentem w tle rosy połyskują zorze,
Król żyjącej muzyki swej kochance śpiewa,
Raz wznosi się głos tkliwy, znów słabnie, omdlewa
I niknie w eterowym daleko przestworze.

Rzekłby kto, że w edeńskim zabłądził ogrodzie,
Cały dywan trawników w kwiaty haftowany,
Czysty szafir w czyściejszej odbija się wodzie.

Tam chatki, tu trzód stada bujają o chłodzie,
Dalej szumią doliny, łąki, złote łany —
Perło konchy tych krain, witam was, Bielany!

Widziałem w szponach czasu marzące kolumny
O złotych wiekach dawnej chwały i potęgi;
Genjusz zniszczeń pisał im wyrok do księgi,
A anioł wieści śpiewał, echem dziejów dumny.

Tak smutno, wszedłszy między cyprysy i trumny,
Gdy zachmurzą się oba niebieskie półkręgi,
A ty dojrzysz w dumaniu cichem czarnej wstęgi,
Lub doleci cię westchnień i płaczu głos tłumny.

Ze ścian opustoszałych Monarchy siedliska,
Śród których się zbawienia obijały słowa,
Nigdzie dziś srebrne orła skrzydło nie połyska!

Lecz pamięć wiecznie w ustach kmiotków się
[przechowa:
Oni stępionym pługiem, gdzie mogiła bliska,
Ze łzami potrącają ruiny Łobzowa!

POMNIK KOŚCIUSZKI.

Powstał kolos pamiątek w krainie Sarmatów,
Jak maszt słowiańskiej łodzi rzuconej śród świata;
Z chmur złoconych jutrzenką ranna jego szata,
W południe go osłania baldachim z bławatów.

Natrząsa się z śnieżystych olbrzymów-Karpatów,
Bo sława walczy z niemi tysiąc wieków lata!...
A choć już mrok otoczy i siostrę i brata,
On jeszcze pływa czołem w potokach szkarłatów.

Tam, kędy u stóp jego majowe nadbrzeże,
Czy miasto czarodziejskie w Wandalu głębini?
— To się kąpią Wawelu i baszty i wieże!

A ten głos rozstrzelony po niebios pustyni?
— To pustelnik, strzegący ubogiej świątyni,
Odmawia za obrońców wolności pacierze!

PIESKOWA SKAŁA.

Wołałem, a głos w skałach rozległ się sto razy
I umilknął — myśl znikła w piękności natłoku;
A wzrok, płynąc daleko z nurtami potoku,
Utonął w czarodziejskie omamień obrazy.

Chcesz się ocucić znowu i zebrać wyrazy?
Wtem nowy cel zdumienia pojawi się oku:
Szczyty gmachu Szafrańców we mglistym obłoku!..
Sambyś rzekł, iż szatany dźwigały nań głazy!

Dalej sterczą w dwa rzędy granitowe mury,
Po wiszarach się chwieją czarnych lasów chmury,
A nad lasami błyszczy okrąg lazurowy;

Na straży dolin stoi kolos Herkulowy,
Nachylony jak olbrzym nieczuły - ponury —
Zazdroszcząc głośniej źródeł z kwiatami rozmowy.

Pośród zniszczałych ozdób szkielet gmachu stoi,
Przyśpiewuje mu puszczyk pieśń pogrzebu z wieży,
A przeszłość łzawem okiem, w żałobnej odzieży
Wyziera szczelinami wypartych podwoi.

Bluszcz, pożółkły upałem, nagie ściany stroi,
Strojone zbroicami walecznych rycerzy;
W kaplicy staropolskich nie słychać pacierzy;
Tylko przez święte okna wpada szelest zdroi.

Raz wędrowiec przy lubym promyku księżyca
Dumał o zgasłej chwale nad tą rozwaliną,
A nadzieja mu blade rozjaśniała lica.

Dumał — jak nam zdradziecko chwile szczęścia płyną!
— Pomagała dumaniu nadobna dziewica —
I płakała nad swoją wygasłą rodziną.

RAJNOLD SUCHODOLSKI

ppor.
Ur. 1804 r.
Umarł z ran d. 8 września 1831 r.

Na granicy wolnej ziemi
Pochowajcie mnie w żałobie,
Żebym walczyć z wrogi memi
Nie zapomniał w zimnym grobie.
R. Suchodolski: Skon wodza Kleftów.

Rajnold Suchodolski, brat malarza Januarego, urodził się na Litwie, prawdopodobnie w Grodnie. Do gimnazjum uczęszczał w l. 1818 — 1824 w Świsłoczy. Był następnie urzędnikiem w Ministerjum Finansów Królestwa Polskiego za Lubeckiego. W Warszawie należał do towarzyszów i przyjaciół Konstantego Gaszyńskiego, poety i redaktora „Pamiętnika dla płci pięknej"; w tem też piśmie ogłaszał swoje utwory poetyckie. Wierszem p. t. „Skon wodza Kleftów" zjednał sobie rozgłos i sympatję ogółu. Jego piosnki były w dobie powstania listopadowego wielce popularne, niektóre z nich, j. np. „Dalej bracia do bułata" i „Patrz Kościuszko na nas z nieba" są znane i śpiewane dzisiaj jeszcze.

Na początku powstania listopadowego służył w gwardji narodowej, w czerwcu 1831 r. został mianowany ppor. 5 pułku strzel. pieszych. Brał udział we wszystkich walkach z Rosjanami. W czasie wyprawy Skrzyneckiego na gwardję był ranny w bitwie pod Rudką. Dnia 6 września, w pierwszym dniu walki o Warszawę, zasłaniając piersiami swego dowódcę, Florjana Dąbrowskiego, gdzieś za ogrodem Ungra „oburącz karabinową maczugą tylu przynajmniej natłukł Moskali, ile poniósł ran". Wynieśli go z placu boju i złożyli w szkole aplikacyjnej, na te krwawe dni zamienionej w szpital wojskowy. Tam go nazajutrz doszła wieść o kapitulacji Warszawy. Gdy Moskale „przy triumfalnym ryku trąb zwycięskich" wkraczali do stolicy, Suchodolski zerwał pod kołdrą bandaże. Łoże poety spłynęło krwią.

Wraz z krwią serdeczną uszło go życie.

SKON WODZA KLEFTÓW.

Pieśń nowogrecka.

Moi wierni towarzysze
I młodości, i mej broni,
Śmierć już czuję, zdala słyszę,
Jak niszczącą kosą dzwoni.

Weźcie miecz mój doświadczony,
Którym jeszcze wrogom grożę,
I ścinajcie gaj zielony,
I z gałązek ścielcie łoże.

Na niem skończę me nadzieje,
I w dłoń świętą spowiednika,
Nieugięty duch przeleję
I ostatnią myśl grzesznika.

Na granicy wolnej ziemi
Pochowajcie mię w żałobie,
Żebym walczyć z wrogi memi
Nie zapomniał w zimnym grobie.

Tylko zróbcie go wysokim,
Żebym, stojąc, mógł zabijać,
Tylko zróbcie go szerokim,
Żebym mieczem mógł wywijać.

A gdy najdą góry nasze
Obce ludy, obce konie,
Trupim wzrokiem ich odstraszę,
Błyskiem miecza was obronię.

DALEJ BRACIA DO BUŁATA...

Śpiew rewolucyjny.

Dalej bracia do bułata,
Wszak nam dzisiaj tylko żyć!
Pokażemy, że Sarmata
Umie jeszcze wolnym być.
Pokażemy, że Sarmata
Umie jeszcze wolnym być.

Długo spała Polska święta,
Długo Biały Orzeł spał;
Lecz się ocknął i pamięta,
Że on kiedyś wolność miał.
Lecz się ocknął i pamięta,
Że on kiedyś wolność miał.

Śmiałem skrzydłem on poleci
Przez szczęk szabel i kul grad,
Za nim, za nim polskie dzieci,
Tylko w zgodzie za nim wślad.
Za nim, za nim polskie dzieci,
Tylko w zgodzie za nim wślad.

Będziem rąbać, będziem siekać,
Jak mi miły Bóg i kraj!
Dalej bracia, a nie zwlekać,
Z naszej Polski zrobim raj!
Dalej bracia, a nie zwlekać,
Z naszej Polski zrobim raj.

Wiwat Gwardja Narodowa,
Wojsko Polskie, tobie cześć!
Bądź gotowa, bądź gotowa,
Za Ojczyznę życie nieść!
Bądź gotowa, bądź gotowa
Za Ojczyznę życie nieść!

POLONEZ.

(Na nutę poloneza Kościuszki).

I.

Patrz Kościuszko na nas z nieba,
Jak w krwi wrogów będziem brodzić,
Twego miecza nam potrzeba,
By Ojczyznę oswobodzić!

Wolność droga w białej szacie,
Złotem skrzydłem wgórę leci,
Na jej czole, patrzaj bracie,
Jak swobody gwiazdka świeci!

Oto jest wolności
Śpiew, śpiew, śpiew!
My za nią przelejem
Krew, krew, krew!

II.

Kto powiedział, że Moskale,
Są to bracia nas, Lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem *Karmelitów.*

Kto nie uczuł w gnuśnym bycie
Naszych kajdan, praw zniewagi,
To jak zdrajcy wydrę życie,
Na niemszczonych kościach *Pragi.*

Oto jest wolności
Śpiew, śpiew, śpiew!

My za nią przelejem
Krew, krew, krew!

III.

Z naszym duchem i orężem
Polak ziemię oswobodzi,
Zdrajca pierzchnie, my zwyciężem
Bo Chłopicki nam przewodzi!

Tylko razem, tylko w zgodzie,
A powstańców będziem wzorem
Wszak dyktator przy Narodzie,
Cały Naród z dyktatorem!

Oto jest wolności
Śpiew, śpiew, śpiew!
My za nią przelejem
Krew, krew, krew!

MARSZ.

Na cześć obrońców Ojczyzny.
(Nuta marsza ks. Józefa Poniatowskiego).

I.

Krew nam polska w żyłach krąży,
Ognia w sercu nikt nie zgasi,
Akademik, podchorąży,
Oto są wybawcy nasi!
Przed arsenałem
I pod niecnym Belwederem,
Nieśliście życie z zapałem
Każdy z was był bohaterem.

II.

Kto potrafił nam kajdany
Skruszyć wpośród mieczów szczęku,
Ten za naród nasz kochany
Legnie w boju z bronią w ręku.
Polska w kir odziana
Wstała z długiego uśpienia!
Śpieszmy na zgubę tyrana,
Łączyć ramię do ramienia.

III.

Poniesiemy Orły nasze
Bratać je z lubą Pogonią,
Śmierć pobieży przez pałasze,
Piersi drogi kraj zasłonią!
Chłopicki na czele!
A nad mieczem naszym Bóg!

Dalej wolni przyjaciele,
Pierzchnąć musi podły wróg.

IV.

A jak wrócim do Warszawy
Z naszym Orłem przy Pogoni,
Wtenczas Polska wieńcem sławy
Skroń młodzieńczą nam osłoni.
Zadrżały tyrany —
Zadziwiony stoi świat,
Wiwat dyktator kochany!
Niech żyje młodzieży kwiat!

Sonet.

Jak mi błogo na duszy!... Zbiegajcie się tłumnie
Zazdrościć takiej doli i takiej godzinie,
Kiedy smutek, wąż zjadły, me serce obwinie
I ostre żądło obróci ku mnie.

Ach! wtenczas naokoło tak zimno jak w trumnie.
Tęsknota rzuca wściekłe, podziemne jaskinie,
Czołga się u nóg moich podobna gadzinie
I zaziera mi w oczy i pogląda dumnie.

Zwalczyła przeciwnika, co się z niej urągał,
Gdy mu każdy poranek zaświtał weselem
I pod stopą szczęśliwą rósł nadziei kwiat.

A teraz — czyż do szczęścia dłoniebym wyciągnął,
Gdy z dalekim nie mogę dzielić przyjacielem,
Kiedy tylko w wspomnieniu — cały luby świat.

Sonet.

O jak miło rozrzucać dawnych wspomnień kwiaty,
Czytać w nich własne dzieje zasępionem okiem,
Łzą je zraszać, ogrzewać mych westchnień natłokiem
I wierzyć, żem był kiedyś szczęśliwy przed laty.

Gdzież szukać tego miasta, gdym w niewinne szaty
Ujrzał strojną nadzieję z czarownym urokiem?
Lub tej nocy burzliwej, gdym piekła wyrokiem,
Żegnał ją raz ostatni u wrót mojej chaty?

Świeciła ona niegdyś tak mi w oczy jasno,
Że serce moje wrzało, paliła się dusza,
Jak zorza, kiedy blaskiem porannym rozleje.

A dziś — stłumione ognie w moich piersiach gasną,
Już ich żadna iskierka tajemnie nie wzruszy.
Gdzież miłość? gdzie me szczęście? ach gdzież są
[nadzieje?

Sonet.

Jest kwiat, co, gdy się złota jutrzenka obudzi,
Smutny kielich zamyka, suche liście zwija
I słońce go przepala i skwar go dobija,
I piersi jego żaden wietrzyk nie ostudzi.

Jest serce, co namiętność nie łatwo je złudzi —
Tysiące serc potrąca i wszystkie omija,
Bo już każde zagryzła nieczułości żmija,
A to serce czuć umie, choć unika ludzi.

Słabe podniósł ramiona przepalony kwiatek,
Znalazł go cichy księżyc, rozwinął kielichy,
Życie wrócił i rosą oblał go obficie.

I serce dogoniwszy uczucia ostatek,
Znalazło towarzysza, co spokojny, cichy,
Radością się podziela i łzy dzieli skrycie.

MAURYCY GOSŁAWSKI

podporucznik
ur. dnia 5 października 1802 r.
zmarł w więzieniu w Stanisławowie
dnia 17 listopada 1834 r.

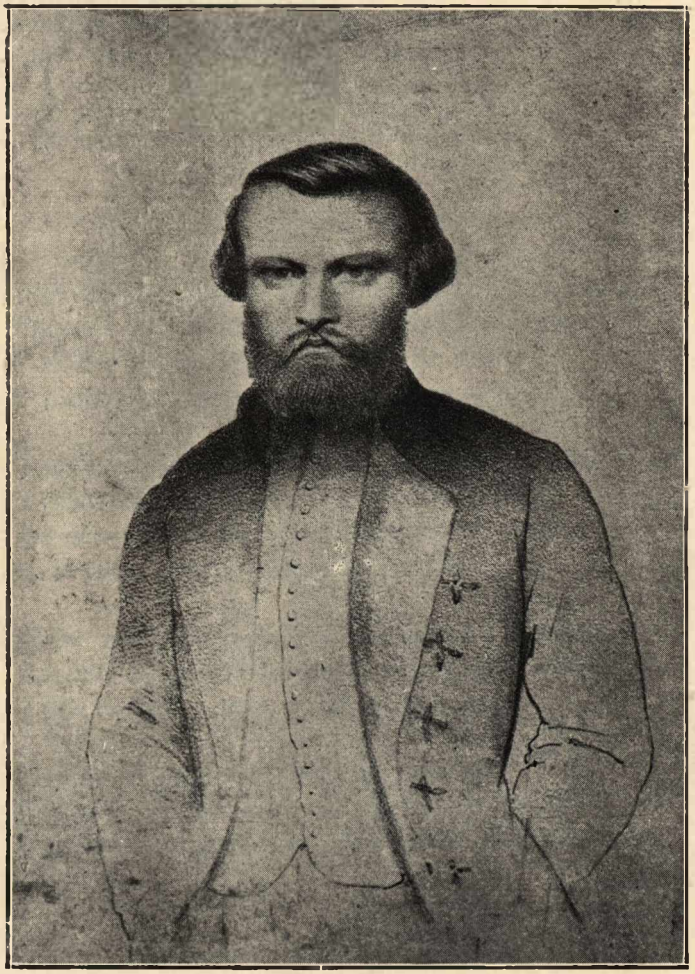

Hej, ktoś Polak, staniesz śmiało,
Jak dawniej bywało,
Biały Orzeł na sztandarze
A przygrywa działo.
M. Gosławski: Mazur Podolski.

Maurycy Gosławski urodził się w miasteczku Frampolu, w pow. zamojskim, w zajeździe żydowskim, gdzie się zatrzymała jego matka dla wypoczynku. W tym czasie ojciec Maurycego obejmował posadę rządcy dóbr Branickiej, w Nihinie, pow. kamienieckim — w tej też miejscowości spędził poeta pierwsze lata życia. Gdy podrósł, oddano go do szkoły powiatowej w Kamieńcu— przebywał tu w latach 1815 — 21 — następnie kształcił się w liceum krzemienieckiem, które ukończył około r. 1824. Po powrocie na rodzinne Podole był nauczycielem prywatnym; pisał również poezje: z tego czasu pochodzą pierwsze znane nam utwory, m. in. poemat „Podole".

W r. 1827, chcąc zdobyć w świecie pewniejszą pozycję, przybył do Warszawy. Narazie znalazł zajęcie w kancelarji w. ks. Konstantego; postarał się też o to, że go zaproszono na obiady czwartkowe do Winc. Krasińskiego; o czem tak pisał: „Znajomych mam tu huk, a same senatory, wojewody i radcy stanu, i referendarze, i błazny, i rozumni, poczciwi, i niecnoty"... W rok

po przyjeździe wydał pierwszy tomik poezyj, a wkrótce potem wyjechał na Podole; lecz i tam nie bawił długo: gdy wybuchła wojna turecko-rosyjska, wstąpił do wojska rosyjskiego. Służył początkowo w intendenturze, potem w sztabie gen. Dybicza i w tym charakterze odbył kampanję 1828 — 29 r.

Po wybuchu powstania listopadowego gen. Dybicz został naznaczony do Polski. Gosławski w drodze zachorował; gdy wrócił do zdrowia, zabrał powierzone sobie papiery i raporty wojskowe dużej wagi, przeznaczone dla Dybicza, i z niemi przez Podole pojechał do Warszawy. W stolicy wstąpił do wojska narodowego i otrzymał przydział do legjonu ułanów podolskich. W stopniu podporucznika służąc, należał do obrońców Zamościa. Przyszedł dzień kapitulacji twierdzy. Skompromitowani wobec Rosji, wbrew warunkom umowy, mieli być wydani w ręce władz rosyjskich; do tych, jako dezerter, należał również Gosławski. Stało się jednak inaczej: gen. Kajsarow, ulegając prośbom swoich adjutantów, a byłych kolegów Gosławskiego z wojny tureckiej, wydał b. dezerterowi paszport do Galicji na nazwisko Maurycego Jasińskiego i, dla szybszej jazdy, bryczkę z trzema końmi oraz 200 dukatów gotówką. Pieniędzy Gosławski nie przyjął, ale przyjął paszport i konie. Znalazł się też wkrótce zagranicą. Bawił nasamprzód we Lwowie, potem osiadł w cyrkule czortkowskim. Z tych lat pochodzą m. in. utwory: „Sęp Sybiru", „Odstępca" i „Banko" — w tym ostatnim opisał poeta dzieje 1830 — 31 r.

W r. 1833 brał Gosławski udział w wyprawie Zaliwskiego na Podole rosyjskie w celu wywołania powsta-

nia. Wyprawa się nie udała. Za uczestnikami wyprawy policja austrjacka rozpoczęła pościg. Gosławskiego aresztowano na weselu w Jagielnicy, w pow. czortkowskim, i osadzono w więzieniu. Siedział nasamprzód w Zaleszczykach, następnie w Stanisławowie.

W tem też więzieniu umarł na tyfus dnia 17 listopada r. 1834.

DUMKA.

Gdyby orłem być!
Lot sokoli mieć!
Lotem orlim lub sokolim
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć.

Droga ziemia ta,
Myśl ją moja zna!
Tam największe szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza!

Tambym noc i dzień,
Jak zaklęty cień,
Krążył nad nią jak wspomnienie,
Pierś orzeźwiał, czerpał tchnienie
Z tamtych lubych tchnień!

Gdyby gwiazdką być!
I w obłokach tkwić;
Jasnem okiem w noc majową
Nad kochanki mojej głową,
Do poranka ćmić!

Albo z poza mgły
Zsyłać słodkie sny,
Jak w jeziora tle przejrzystem,
Odbijać się światłem czystem,
W kropelce jej łzy!

Takbym noc i dzień!
Jak zaklęty cień,
Niewidzialnem patrząc okiem,
Zachwycał się jej widokiem,
Boże! w gwiazdkę zmień!

Próżno się tych dni
Obraz w duszy śni;
Zapłacz luba gorzkim płaczem
Nad kochankiem, nad tułaczem,
Co był miłym ci!

Potępieni my!
Wspomnień serce drży;
Orły lecą, gwiazdy cieką,
Kraj w okowach, ty daleko
A wokoło łzy.

MAZUR PODOLSKI.

Lazła niegdyś z pleców skóra,
Darł ją ruski pazur,
Jednak Polak szedł mazura
Hej! niemasz jak mazur!

Dzisiaj, bracia, pierzchły chmury,
Innych trzeba tańców,
Posłuchajcie, jak Mazury
Grzmią śród pragskich szańców!

Hej, ktoś Polak, staniesz w parze,
Jak dawniej bywało,
Biały orzeł na sztandarze,
A przygrywa działo!

Wszak nie obce ci te dźwięki,
Ktoś swobody synem —
Zna je echo z pod Dubienki,
Pomni pod Raszynem.

Tam wesoło, tam nad Wisłą
Kruszą się kajdany,
Tam zbawienia słońce błysło,
Dalej i my w tany.

Czemże gorsza nasza niwa,
Niż wiślańskie wody?
Jedna Matka nieszczęśliwa,
Jednakie nam rody.

Toż Bóg i za nami stanie,
Wszak ta ziemia nasza,
Dalej bracia Podolanie!
Dalej do pałasza!

Nie rzucim go, nie odbiegniem,
Pokąd dźwignąć zdolni,
Dalej! albo w gruzach legniem,
Albo będziem wolni!

Na Podolu, w grudniu 1830 roku.

CHORĄGIEWKA.

Powernusia jak ne zhubyt
Łycha hodyna.
Pieśń gminna podolska.

Widzisz, dziewczę, chorągiewkę,
Co przy mojej lancy drży?
Zaśpiewam ci o niej śpiewkę:
Ona piękna tak, jak ty.
Jak dziewiczą kosą tęczy
Wietrzyka nią igra lot.
Wieszże kogo ona wieńczy?
Martwe drzewce, stalny grot.
Nie wie biedna, że grot luby,
Co w objęciu u niej śpi,
Jest syn śmierci i zaguby,
Potępienia chciwy krwi.
Wierny dłoni, co nim włada,
Jedną tylko cnotę zna:
Pokazaną pierś dopada
Przeszyć serce, co w niej drga.
A czyja pierś, on nie pyta,
Jedno ojciec mu, czy wróg,
Rozkazano i przeszyta,
A o reszcie sądzi Bóg.
Lecz im częstsza krew go zleje
Rdza wypali na nim ślad,
Stępi ostrze, pierś mu przeje,
Jak choroby tajny jad.
I nie lekko będzie ranie,
Którą w upominku da.
Wiecznie wtedy w niej zostanie
I jad jego i rdza ta.

A ta chorągiewka młoda,
Towarzyszka jego dni,
Jaśniejąca, jak pogoda,
Co przy boku jego lśni.

Żywe krasy rychło zmieni,
Przyjaciela dzieląc ból,
I zżółknie jak liść w jesieni,
Obcy tułacz pośród pól.

Wieszże dziewczę, co z tej śpiewki
Możesz sobie nadal wnieść?
Twój los, jest los chorągiewki,
A grot moich losów treść.

Na pierś stalną nieraz głowę,
Nieraz serce złożysz twe,
Nieraz łzy twe kryształowe
Na niszczącą padną rdzę.

I pierś stalna twojej mowie,
Mowie twych najsłodszych snów
Tchem współczucia nie odpowie,
Nie zrozumie twoich słów.

Nie odgadnie, nie uprzedzi
Tkliwą myślą myśli twej,
Okiem oku odpowiedzi,
Sercem sercu nie da jej.

Lub choć zgadnie, nie patrz na nią,
I w nią nie patrz, jako w wir—
Pierś żołnierza jest otchłanią,
Którą tajny kryje kir.

Mróz ją mrozi! czy żar pali,
Czy niszczące trawią rdzy,
Winna milczeć, jak ze stali,
I dla oka nie da łzy.

Jeden głos jest, co go słucha,
Jeden powinności głos,
A na resztę zimna, głucha,
Równo zniesie i da cios.

Raz jeszcze tej chorągiewce
Przypatrz się; to dola twa —
A ten, dziewczę, grot i drzewce,
To przyjaciel twój, to ja.

Nie płacz luba, bywaj zdrowa!
Łzy na cięższe zostaw dni.
Co Bóg sądzi — bądź gotowa,
Może wrócę, może ni.

Mówił ułan do dziewczęcia,
Na morderczy idąc bój,
Mówił i ujął w objęcia
Ten skarb, ten świat cały swój.

I z oczu łzą gorzką, rzewną
Spływał serca ciężki żal,
Płakał gorzko — czuł zapewno,
A jednak ta pierś, jak stal.

Rzucił dziewczę — koń jak strzała,
Poniósł go jak wichru lot,
Tylko wierna powiewała
Chorągiewka ponad grot.

Rok przeminął — dziewczę płacze,
O nim nikt nie umie rzec.
Poległ gdzieś, lub dni tułacze
W obcej ziemi musi wlec.

I po czterech świata końcach
Czterem wiatrom w tropy leć,
Jeżeli o polskich obrońcach
Pragniesz, dziewczę, wieści mieć.

Tam ci powie o nim może
Grób, nieznanej ziemi syn,
Dzikie Afryki bezdroże,
Lub z sybirskich która min.
Bo Bóg dobry — i w nagrodę
Za tyle łez krwi i strat,
Za Ojczyznę, za swobodę
Dał tułaczom wzamian świat.

1832

EDWARD DEMBOWSKI

urodzony dnia 31 maja 1822 roku
zginął w Podgórzu dnia 27.II 1846 r.

EDOUARD DEMBOWSKI avec la procession massacré par les autrichiens
le 26 Février 1846 à Podgórze (Faubourg de Cracovie)
EDWARD DEMBOWSKI z procesyą napadnięty od austryaków
dnia 26 Lutego 1846 na Podgórzu w Krakowie

W sobie winien i musi szukać człowiek tej sprężyny polotu, tego skrzydła potęgi, co go wzniesie na szczyt doskonałości.

E. Dembowski: Myśl, jako uznanie prawdy.

Edward Dembowski, syn kasztelana Leona, urodził się w Warszawie. Nauki pobierał w domu—w Klementowicach, w Lubelskiem i w Warszawie pod kierunkiem wybitnych profesorów. W dziewiętnastym roku życia ukończył już studja w zakresie programu nauk gimnazjalnych i uniwersyteckich. Dla uzupełnienia wykształcenia, trochę też dla wybicia mu z głowy myśli o żeniaczce, wysłał go ojciec zagranicę — zwiedził więc Śląsk, Saksonję, prowincję Nadreńską, Tyrol i Włochy północne. Po powrocie, nie bacząc na niezadowolenie ojca—miał wtedy lat dziewiętnaście—ożenił się z daleką swoją kuzynką, Anielą Chłędowską.

W domu rodziców żony wszedł Dembowski w bliskie stosunki z ludźmi o przekonaniach demokratycznych i rewolucyjnych. Należał do koła „entuzjastek" i „entuzjastów" warszawskich, a w r. 1842 założył wspólnie z Hipolitem Skimborowiczem postępowy „Przegląd Naukowy", w którym w przeciągu roku ogłosił mnóstwo artykułów i rozpraw filozoficznych, estetycznych, lite-

rackich i krytycznych. Pisał też wiersze i tłumaczył autorów obcych.

Jesienią r. 1843, w obawie przed aresztowaniem za udział w spisku politycznym, wyjechał do Poznania; majątek jego uległ jednak konfiskacie. W Poznaniu był jednym z najczynniejszych członków Towarzystwa Demokratycznego. Działał głównie wśród młodzieży. Idee demokratyczne i rewolucyjne szerzył również w prasie; w tej dziedzinie nie miał sobie równego. „Tygodnik Literacki", „Dziennik Domowy", „Rok", pisma poznańskie, były terenem jego wystąpień publicystycznych. Głosił wspólną własność, gdyż — jak twierdził — „wolność tam tylko być może, gdzie niema własności."

Te hasła spowodowały, że rząd pruski zabronił Dembowskiemu pobytu w granicach państwa. Wyjechał więc do Galicji; tu jako emisarjusz Centralnego Komitetu zajął się tworzeniem komitetów powstańczych prowincjonalnych i agitacją na rzecz powstania, którego wybuch we wszystkich trzech zaborach Centralizacja Tow. Demokratycznego wyznaczyła na dzień 20 lutego 1846 r. Dembowski stał się najżarliwszym rzecznikiem walki zbrojnej. O walce marzył i myślą tą żył. W przebraniu za chłopa, za żebraka, często za damę docierał do najzapadlejszych kątów w kraju. W ubiorze żyda-handlarza roznosił po domach proklamacje. Sam działał za stu. I był, mimo wyznaczonej nagrody w sumie tysiąca zł., nieuchwytny.

Plany Centralizacji zostały obrócone wniwecz: władze powstańcze wpadły do rąk pruskich, Kraków, przyszłą siedzibę Rządu Narodowego, zajął 3000 oddział wojska austrjackiego. Wobec tych wypadków

Centralizacja wydała uchwałę, odwołującą wybuch powstania; na nieszczęście uchwała nie wszędzie nadeszła na czas, w Krakowie zaś, głównie za sprawą E. Dembowskiego, nie była wykonana. W nocy z 20 na 21 lutego wybuchło w Krakowie powstanie.

Oficjalnie Dembowski był sekretarzem dyktatora Tyssowskiego, w rzeczywistości zaś dyktator ulegał we wszystkiem Dembowskiemu. W „Dzienniku Rządowym" wzbronione zostało używanie tytułów; zamiast jaśnie wielmożny, książę, hrabia, miał człowiek zwać człowieka — bracie, ty. Klub rewolucyjny, założony w Krakowie przez Dembowskiego, głosił zagładę szlachcie polskiej...

Tymczasem w cyrkule tarnowskim chłopi rozpoczęli krwawą rzeź. Około 2000 szlachty padło z ich rąk.

Gdy o tem wieść nadeszła do Krakowa, dyktator Tyssowski w pomoc bezbronnym wysłał oddział, złożony ze stu kilkudziesięciu ochotników. Pod Gdowem, nad Rabą, przyszło do bitwy — Austrjacy w połączeniu z chłopstwem pokonali powstańców.

Rzeź chłopska zbliżała się pod mury Krakowa.

W dniu 27 lutego przeciw rozbestwionemu chłopstwu wyruszyła z Krakowa procesja z Przenajświętszym Sakramentem. Na czele z krzyżem w ręku, w białej sukmanie, kroczył Dembowski. Z powodu spóźnionej pory procesja nawróciła z drogi; idąc, na Podgórzu natknęli się na oddział wojska austrjackiego. Żołnierze dali do bezbronnych ognia. Rozpierzchli się ludzie na wszystkie strony — tylko Dembowski, mając przy sobie kilku ludzi zbrojnych, usiłował przedrzeć się do śródmieścia, gdzie byli powstańcy. Został jednak otoczony i po krót-

kiej walce rozbrojony. Bezbronnego powiedli żołnierze do oddziału, stojącego w rezerwie. W drodze wyrwał z rąk jednego z żołnierzy karabin i przy jego pomocy chciał odzyskać wolność.

Nie zdołał jednak — padł strzał i powalił go na ziemię.

Rozbestwione żołdactwo dobiło leżącego bagnetami.

ŚMIERĆ ŻEGLARZA POD WENECJĄ.

(Obraz).

I.

Z radosnem sercem w łódź rączą żywota,
Niepomni burzy — śmiałośmy wsiadali;
Dziś, gdy nas z światem nie wiąże nić złota,
Dziś, kiedy fala, tocząc się po fali
W szumiący bałwan, swe roztacza burze,
Ster łamie i śmierć wskazuje woddali,
A grom ognisty w czarnej błysnął w chmurze —
Zdwojony w morzu podwójnie się pali —
Dziś smutek serce tęsknym żalem ściska;
Pragniemy ziemi — a choć nas jest bliska,
Spoczniemy u skał podstawy spienionej
I w wód przestrzeni zginiemy zielonej —
Bo nam nadziei promyk już nie błyska;
A choćby błysnął — dla łodzi zniszczonej,
Strzaskanej burzą! cóż tam po nadziei!
Znękani, słabi, płyniemy w zawiei,
Lecz nie spoczniemy u rodzin ogniska!

II.

Hej, majtcy, prędzej! — do wiosła! do wiosła!
Gdzież żalu rozpacz nas słabych uniosła!
Czyż już nie wiemy jaka moc gondoli,
Co i wśród burzy sunie się powoli,
A i bez wiatrów może rączo płynąć?
Wiosłujmy szybko! — możemy nie zginąć.

III.

Zawyła burza — gondolą pomiata
A majtków dręczą i bojaźń, i słota,

Straszliwy piorun bije po piorunie,
Łódka po szczycie się bałwanów sunie,
I sunie rączo, zwraca się i chyli —
O, gdybyśmy! gdyby u lądu byli!
Wenecja! — patrzajcie! — jeden majtek woła,
I radość, rozkosz jaśni wszystkich czoła —
Wenecja już blisko, blisko ukochana!
A łódka ku niej dąży burzą pomiatana —
Hej, patrzcie! Widzę szczyty naszych wieży!
To ku nim łódka nasza raźniej bieży!
To Marka wieża! *piazzetta dogana!...*
I *canale grande!...*
Ha! łódka strzaskana!
Grom w nią uderza! — skała dno wybija!
Napróżno na nas patrzy Wenecyja,
Napróżno całą piękność w morzu dwoi,
Niema nadziei — łódź już w wody łonie!
Każdy z bałwanem walczy chwile — i zatonie!
Ja żyję, wy giniecie, towarzysze moi!
Ja płynę — i choć mnie rzuca bałwan po bałwanie,
Ja nie drżę jeszcze. Ha! to deski kawał...
Pochwycę!—nie... nie... zginę!—niechaj me skonanie
Nauką innym będzie! —
Nauką? dla czego?
Bo świat innym dla mnie, niż się zrazu zdawał,
Bo zmroził me nadzieje! — bom płynął na morze.
By krwawe zgasić w tym wielkim przestworze
Pragnienie serca — żar życia mojego!
Bom z burzą krwawą zawsze walczył stale!
To straszny przykład i cierpka nauka!
I komuż ją zostawię? — już mnie chłoną fale.

URYWKI, MYŚLI.

Świat zimnem okiem spoziera na prawdę — prawda ściga go wszędzie, przemocą chce mu się objawić i dać poznać, lecz zimnym zbyt i samolubnym jest — ten kościotrup — który słusznie skamieniałą bryłą nazwać można. Dlatego wiedza, rzucona bezpośrednio w powszechność, odepchnięta zostanie; skrócona osnowa wiedzy znudzi głodnych powiastek czytelników, a chciwych Nauki nie zadowoli. Cóż jednak począć!— działać trzeba, i choć świat nie chce, narzućmy mu esencję — myśli filozoficznych.

Wiedza i świat. „Przegląd Nauk." 1842.

. . . . . .

U nas to wielkiem jest nieszczęściem, że umysły szlachetne nawet, często w ostateczności przechodzą, przez co tracą zalety swoje. Naśladownictwo jest zgubnem w piśmiennictwie, lecz owóż — powstało u nas mniemanie, że znać obce płody i wyobrażenia, przejmować je w tem, co dobrego mają, już jest naśladownictwem i z wielkiej chęci oryginalności wielu u nas stało się oryginałami: bo co się nie w naszej mowie utworzy, tego ani znać, ani o tem słyszeć nie chcą.

O różnych dążeniach w pism. naszem, tamże.

. . . . . .

Wychowanie! Co za olbrzymie słowo! jak różnie pojmowane! Jak mało od ogółu pojęte i przemyślane, a jednak ważne! Jak ściśle z cnotą związane i prawie od niej nieoddzielne!...

Wychowanie jest podstawą żywota społecznego, jako takie więc jest jednym z najważniejszych przedmio-

tów myślenia ludzkiego; żywot społeczny, potęga myślenia i twórczość rodzaju ludzkiego od wychowania ludów zależą — a dzieje, filozofja, umnictwo, na niem polegają. Stąd wszelka filozofja, chcąca się w układ zebrać, chcąca wejść w serce ogółu, jako patent zalecający ją, musi okazać światu do czego też pragnie, aby ludzie sposobili się, i jak chcą wieść ich kształcenie.

Rzuty o wychowaniu — tamże.

. . . . . .

Namiętność jest to *egzaltacja*, jest to *najwyższe uniesienie, najwyższy zapał*, jest to źródło i rodzicielka wielkich czynów, poświęceń, olbrzymich myśli, dlatego namiętność jest szczególną postacią *Twórczości*, jest kategorją myślową twórczości, mówiąc terminologją filozoficzną; jest, powtarzamy, aby jaśniej myśl swoją oddać: jednem z oznaczeń Twórczości, formą bliżej oznaczoną (udeterminowaną) pojawienia twórczości.....

. . . . . .

Nie mieszajmy Namiętności z Żądzą.

Namiętność, uważana pod względem umniczym, tamże.

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI

adjutant Lelewela-Borelowskiego
urodzony dnia 12 kwietnia 1834 r.
poległ w potyczce pod Józefowem
dnia 24 kwietnia 1863 roku.

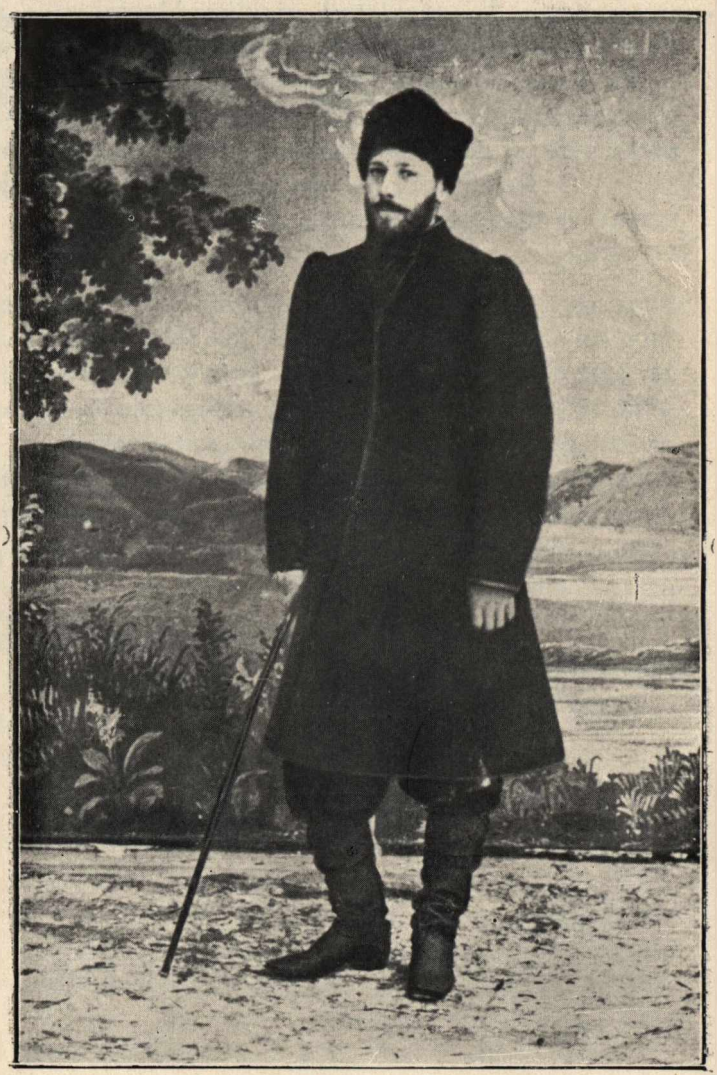

Leć, gdzie płomienie palą się wieczyste,
Gdzie jedna chwila cudowna natchnienia
Rozwidnia wieków oceany mgliste —
Tam niech się dusza wznosi, rozpromienia;
Tam ty gorącem steruj serca biciem,
Albo się przepal—i skonaj wraz z życiem!

M. Romanowski: Do mej młodości.

Mieczysław Romanowski urodził się na Pokuciu, niedaleko Kołomyi, we wsi Żukowie. Nauki początkowe odbywał pod kierownictwem nauczyciela prywatnego w domu rodzicielskim. Do gimnazjum uczęszczał w Stanisławowie. Mając lat czternaście, podążył z kilku kolegami na pomoc bijącym się o wolność w r. 1848 Węgrom; z drogi jednak, tuż z nad granicy, został zwrócony. W tym okresie napisał swój pierwszy wiersz: „Modlitwa Polaka na wiosnę".

Egzamin dojrzałości złożył w r. 1853 we Lwowie i w tym samym roku zapisał się na wydział prawny Uniwersytetu Lwowskiego. W czasie studjów uniwersyteckich zaprzyjaźnił się z Mieczysławem Pawlikowskim, późniejszym publicystą, i in. wybitnymi ludźmi, bywał gościem u sławnego historyka, Szajnochy. Poza studjami oddawał się pracy twórczej; napisał i wydał: „Chorąży" i „Chart watażki" (1854), „Śpiewak z Oazy" (1855) „Łużeccy" (1856).

W r. 1857 ukończył studja uniwersyteckie. Dzięki poparciu znajomych dostał się do zakładu Ossolińskich w charakterze skryptora. Jakby w przeczuciu mających nastąpić wypadków, które miały go porwać i rzucić na stos ofiarny, napisał w tym czasie w pamiętniku: „Przekonany jestem, że każda rodzina musi dać w pewnym przeciągu czasu kilka ofiar na ołtarz społeczny. Z rodziny Romanowskich, o ile wiem, dawno takiej ofiary nie było; może mnie wybrał los na taką ofiarę; jeśli tak, niech się spełni jego wola. Ci szkodzą, co się cofają, ci co padają, kładą się jako podwaliny przyszłej budowy".

W r. 1859, na prośby rodziców, porzucił Ossolineum i osiadł na roli. „Gospodarstwo — pisze — rola, gnój, ogon woli i kozi, ach, są to rzeczy bardzo piękne, czułe — i szczęśliwy ten, kto tam z upodobaniem zaglądać może". Romanowski zaglądał tam bez upodobania; nic też dziwnego, że już w r. 1860 jest zpowrotem we Lwowie na posadzie, której się był zrzekł. A ile starań trzeba było żeby ją ponownie zdobyć! W tym roku odesłał wydawcy swój najlepszy utwór: „Dziewczę z Sącza".

Nad Polską zbierała się burza. We Lwowie pojawili się pierwsi ochotnicy - powstańcy. Poeta pisze: „Wiele przez nasz Lwów przeciąga *ptactwa bożego;* znać już niedaleko czas gromów, piorunów i burz". Śpieszy się więc, przygotowuje do druku w Lipsku ulotne swoje wiersze — ostatnią książkę. By się nie spóźnić... Wreszcie nadszedł r. 1863. Pod datą 1 lutego poeta pisze: — „Idziemy z wiarą w Boga, w naszą broń i w dobrą sprawę..."

I poszedł. Bił się między Łukowem a Zamchem, wsią, którą uczcił niegdyś Jan Kochanowski. Był adjutantem

Lelewela-Borelowskiego. Oddział, w którym pełnił rycerską służbę, stoczył 24 kwietnia w lasach pod Józefowem, w pow. puławskim, nieszczęśliwą walkę z Rosjanami. Romanowski walczył do ostatniej chwili. Broniąc się, powalił bagnetem pięciu Moskali. Aż padł sam z przestrzeloną skronią. Zwycięzcy, mszcząc się, skłuli poległego bagnetami. Sto i kilka ran naliczono w jego ciele.

ORŁY, SOKOŁY!

Orły, sokoły!
Dajcie mi skrzydła!
Gruz i popioły —
Ziemia mi zbrzydła.

Jabym chciał w górze
Pohulać z wami —
I tam na chmurze
Żyć piorunami.

Tu mi jak w trumnie
Świat niewesoły,
Spuście się ku mnie,
Orły, sokoły.

Choć duszę weźcie
Na wasze loty
I ją zanieście
W marzeń kraj złoty.

Na niebios progu
Między gwiazdami
Jabym tam Bogu
Modlił się z wami.

A tu żałobą
Pokryte doły:
Weźcie mnie z sobą.
Orły! sokoły!

1856.

MODLITWA.

Podaj, oh! podaj czarę mi ową,
Którą ci, Panie, w noc ogrójcową
Anioł podawał w światłości!
Tam był jad bólu — i mnie ból pali —
Żółć — i mnie ludzie żółć podawali,
Ale ja pragnę miłości..,

Bo z nią, jak piorun niebios twych, błysnę,
Z nią, jako promyk w noc dusz się wcisnę; —
Z nią, jako gołąb ów biały
Lecąc, na śpiących w skrzydła uderzę,
Obudzę — potem na jasne leże
Rój duchów zawiodę cały.

15 listopada 1857 r.

DO MEJ MŁODOŚCI.

Czemuś tak smutna, ty, młodości moja?
Czemu wesoły dzień od ciebie stroni?
Zda się, że z cierni tkana dola twoja
Radosnej chwili wtóra nie dogoni.
Nim jeden kwiatek uszczknie się po drodze,
Ileż to kolców skrytych utkwi w nodze.

Całą jam piersią wciągał świata tchnienie,
Wszystko dziecinna oplatała wiara;
Wznosiłem serce, wzniecałem płomienie
I cudnie wonna płonęła ofiara.
Lecz szybko czas ten zleciał na zegarze,
W piersi ból został — a trucizna w czarze.

Młodości moja! wyrwij ty się ptakiem
Z tych krain bólu, nim wiosna przeminie!
O! serce, tobie życiem nie żyć takiem,
Ni z myślą płakać, że róż kilka ginie:
Tędy — z żelaza kuta droga twoja. —
Idź! bo cię przeklnę, ty, młodości moja!

Leć, gdzie płomienie palą się wieczyste,
Gdzie jedna chwila cudowna natchnienia
Rozwidnia wieków oceany mgliste —
Tam niech się dusza wznosi, rozpromienia;
Tam ty gorącem steruj serca biciem,
Albo się przepal — i skonaj wraz z życiem!

20 marca 1857 r.

Nam pęka serce, nam się krwawi łono,
Gdy otoczeni tą rzeszą spodloną
Głos czysty mamy podnosić:
Już z nas niejeden zrażon podłym wrzaskiem
Szedł, pogardzając złością i oklaskiem,
O rychłą śmierć Boga prosić.

Kto dzisiaj plonu spodziewa się z roli,
Nieraz go jeszcze serce tak zaboli,
Zwątpienie zaćmi powieki.
Od Nazaretu, po świata przestworze,
W bólach i mękach nieśli słowo Boże
Wysłańcy Pana — trzy wieki!

Do lotu ptaków wybrana drużyno!
Lata przeminą — głosy nie przeminą,
Ni szlak nasz złoty do słońca!
Szkielety nasze niby drogowskazy
Ślad im oznaczą do cudnej oazy,
Gdzie panią — Miłość bez końca.

22 marca 1857

I.

A kiedy jeszcze świat był młody,
Żyły uroczym snem narody,
I nie pytano się za miedzą:
„A kto? a jacy to tam siedzą?"
I nie szukano krańców świata —
I byłby lud tak prześnił lata.

II.

Bo byle z drzew owoców trochę,
Byle na zagon lekką sochę,
Byle łuczywa na ognisko,
A zdrój przejrzysty płynął blisko;
Już człowiek między swojem stadem
Żył i bez pieśni życiem radem.

III.

Ale rzekł Stwórca: „Niech się budzi" —
I miecz zabłysnął w rękach ludzi,
A kogo dotknął, z snu powstawał
Za chatę, lub za ziemi kawał...
I na głos wołał: „Ja tu stoję!
Wara od tego, hej! to moje".

IV.

I krew polała się obficie —
I obudzone ludów życie.

Wlot naprężyli łuki strzelcy,
Bohaterowie wstali wielcy,
A świat się zatrząsł w onej dobie,
Gdy dowiedzieli się o sobie.

V.

I szła po ziemi dumna sława
I poszły zbrodnie, poszły prawa;
A pośród mieczów wstały berła,
Na dyademie błysła perła,
W oczach błyszczały tej dwie siostry —
A wszystko miecz obudził ostry.

VI.

Już na narody szły narody;
Powstały z twardych ciosów grody.
Na gruzach grodów mędrcy stali
I krwawe czyny spisywali.
A zaś pieśniarze przy bardonie
Śpiewali pieśń o sławnym zgonie.

VII.

I obudziła pieśń mścicieli —
I poszli z mieczem — poszli — cięli —
A którym ciasno, tych przez morza
Wiodła po skarby nocna zorza.
I pośród krwi i brzęku złota
Stanęła w ciszy biała cnota

VIII.

A z niej duch wyszedł: poświęcenie —
Blask słońca—w pieśni, w dzieje, w cienie!
I wstała miłość — pani wielka, —
Jasna narodów zbawicielka:
Ta powie ludom, kto im bratni
I miecz podniesie raz ostatni.

1 listopada 1859.

* * *

Idzie ku nam, idzie Pan już w chwale,
Utęsknione serce Go przeczuwa,
Drży przyroda, niebo się zasuwa,
Lilja chowa kwiat we wód kryształe,
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale!

Wstańcie smutkiem do mogił przykuci!
Coście niemi? co was lęk przechodzi?
Idzie Ojciec, ziemia się odrodzi,
Zmartwychwstania dreszcz ze snu ją cuci
Wstańcie smutkiem do mogił przykuci.

Biada zbrodniom! już je anioł waży
Zawieszoną na niebiosach wagą;
Przy nim drugi stoi z szablą nagą,
A gniew boży płonie mu na twarzy;
Biada zbrodniom! już je anioł waży.

On tę szablę ognistą połamie
Na tysiące — i z góry ją rzuci;
Błogo temu, co się dotąd smuci!
Jako szermierz ma zbawienia znamię,
Już rycerskie jutro wzniesie ramię.

Jutro burza, jutro rykną gromy!
Pan je wszystkim nad głową zapali,
Pan zbrodniarza oczom niewidomy
Jutro z prochem zrówna jego domy,
Piorunami z tronu go powali.

Chwała Panu, idzie ku nam w chwale,
Utęsknione serce go przeczuwa,
Drży przyroda, niebo się zasuwa;
Anioł spuścił nadół zbrodni szalę,
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale.

1862.

SPOTKANIE.

Czem jesteś śmierci? snem ty, czy nicestwem?
Rok w rok w twe ręce kłonią się miljony,
Noc tajemnicza nad twojem królestwem,
Tam idą, z tamtej nikt nie wraca strony,
Nikt jednej wieści nie poda o tobie;
Lud myśli, żeś ty snem znużonych w grobie.

Czemkolwiek jesteś, zawsze ręką twoją
Przynosisz pokój dla znękanej głowy.
Jużeś oddawna towarzyszką moją,
W bólu dziwnemi cieszącą mię słowy:
Czasem się jawisz piękna, zadumana,
Iż, patrząc, myślę, żeś aniołem Pana,

Razem cię widział jak dziewicę grecką,
Idącą ku mnie z ciszą i powagą,
Los mi był wtedy serce zwiódł zdradziecko
I wbił w nie rozpacz — życia prawdę nagą;
Tyś przyszła — z świętem słowem pocieszenia,
A kiedym powstał — rzekłaś: — „Do widzenia".

Z czemże dziś? co mi niesiesz, zadumana?
Znów smutnem męstwem przychodzisz mię zbroić;
O senna! jeśliś posłanniczką Pana,
To wiesz, czem wrzące serce uspokoić.
Jeśli chcesz? zgaś je — znasz jego cierpienia...
Ty idziesz — i znów smutno — „Do widzenia".

O, do widzenia na polach!... Stój chwilę!
Prawdaż w twem słowie? mnogoż dni ubieży?

Gorące serce złud doznało tyle,
Że nawet, śmierci! tobie już nie wierzy;
A tak wierzyło niegdyś w dziwy jasne,
Gdy ziemię w blaski ubierało krasne.

Idź, a pamiętaj. Lecz jeśli w proch runie
Wszystko — i jeśli przyszłość znowu skłamie,
Wtedy przyjdź do mnie w grobowym całunie
Naga i podaj znużonemu ramię,
Bym poszedł z tobą pod cmentarne drzewa
Z pieśnią jak łabędź, co konając śpiewa.

Bo co mi tu trwać? czy żebym się skarżył?
Posępne skargi nucić jam za dumny:
Kto raz się orłem pod błękitem ważył,
Ten z góry może wpaść tylko do trumny,
Temu nie wolno z gadem siąść przy stole
I pić — i czarą koić wielkie bóle.

Nie! ty mię weźmiesz stąd! — duch roztęskniony —
Pójdę za tobą szybko od niewoli,
A ty mnie prowadź, w jakie zechcesz strony,
Ku posępniejszej czy ku lepszej doli,
I wszystko przyjmę i nie będę skarżył,
Szczęśliw, żem orłem do końca się ważył.

Jeśli utonę z tobą wśród promieni
Z tęsknotą moją, co jako mgła ranna,
Wstająca z naszych jezior i strumieni,
Wstanie i Bogu zmieni w płacz hosanna,
Jeśli aniołów i świętych śpiewanie
Przemieni nagle w srebrne łzy i łkanie,

Wonczas rozkaże Bóg, niech mię wygonią —
Smutnego ducha — z niebios, gdzie brzmi chwała,
I nad ojczystą utkwić każe błonią,
Nad ziemią, w której żałość we mnie wrzała.
Skłonię się Bogu za wyrok — duch lotny —
I nad ojczyzną pójdę tkwić samotny.

Tam będę uczył płaczu — chmurki białe,
Śpiewaków pieśni — tęsknych szumów boru,
Aż się roztęsknią pokolenia całe
I będzie rzadki śmiech — nakształt upioru;
To wonczas, syci tej barwy grobowej,
Moi powstaną i porwą okowy.

JERZY ŻUŁAWSKI

ppor. Leg. Pol.
ur. się dnia 14 lipca 1874 r.
zmarł w szpitalu polowym w Dębicy
dnia 8 sierpnia 1915 r.

...najwyższą mądrością i jedynem prawdziwem szczęściem na ziemi jest mieć w sobie taką potęgę stwarzania złudzeń, iżby ich żadna rzeczywistość, choćby najbrutalniejsza, zniweczyć nie mogła.

J. Żuławski: Jak Don Quixot pogodził Hamleta z Don Juanem.

Jerzy Żuławski urodził się w Lipowcu, pod Dębicą, w pow. ropczyckim, skąd rodzice jego w pół roku po przyjściu na świat Jerzego przenieśli się do własnej posiadłości — Młynnego — w pow. limanowskim; tu też spędził poeta pierwsze lata życia. Gdy miał lat osiem, rozpoczął naukę w szkole w Limanowej, uczęszczał następnie do gimnazjum w Bochni, zaś od klasy piątej do szkoły realnej w Krakowie. W osiemnastym roku życia uzyskał świadectwo dojrzałości.

Na studja wyższe wyjechał do Szwajcarji. Słuchał najpierw wykładów na politechnice w Zurychu, następnie zapisał się na wydział filozoficzny w uniwersytecie w Bernie. W tym czasie otrzymał drugą nagrodę na konkursie „Czasu" w Krakowie za nowelę „Pax" i wydał pierwszy tom swoich poezyj p. t. „Na strunach duszy". W 23 roku życia uzyskał w Bernie stopień doktora filozofji za rozprawę o Spinozie. Mając dyplom w kieszeni, wrócił do kraju i poświęcił się zawodowi nauczycielskie-

mu — był jakiś czas profesorem gimnazjalnym w Jaśle, następnie w Krakowie. Pisał jednocześnie i ogłaszał poezje oryginalne i tłumaczenia, pisał opowiadania prozą, powieści i utwory dla sceny. Sztuka p. t. „Eros i Psyche" była swego czasu rewelacją artystyczną i obiegła wszystkie sceny polskie.

W r. 1909 osiadł na stałe w Zakopanem. Stąd urządzał częste wycieczki po kraju i zagranicę, stąd też, gdy wybuchła wielka wojna, wyruszył na służbę w Legjonach Polskich. Z tego okresu pochodzi wiersz Żuławskiego p. t. „Testament". Pod koniec roku 1914 otrzymał nominację na podporucznika. Pełnił służbę w Komendzie Legjonów Polskich.

W r. 1915 zapadł na froncie na tyfus. Chorego przewieźli przyjaciele do szpitala polowego w Dębicy, gdzie umarł dnia 8 sierpnia r. 1915.

Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legjonami przemierzył świat,
szukając drogi przez krew i blizny
do naszej wolnej Ojczyzny.

Synkowie moi, da nam to Bóg,
że spadną wreszcie kajdany z nóg
i nim wy męskich dojdziecie sił,
jawą się stanie, co dziadek śnił:
szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
łan naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, lecz gdyby Pan
nie dał wzejść zorzy z krwi naszych ran,
to jeszcze w waszej piersi jest krew
na nowy świętej wolności siew:
i wy pójdziecie, pomni spuścizny
na bój dla naszej Ojczyzny!

Rozrzutną dłonią, z przepychem nababa
siejąca skarby — dziecię marnotrawne,
świetne, jak one króle Romy dawne:
jak paw, co w tęczach się własnych podoba.

ogon stubarwny i swe skrzydła oba
rozwijasz, lustro czyniąc słońcu jawne,
by blaski z niego szły na ciebie sławne
i jasność większa, kraśniejsza ozdoba —

i tak królujesz śród bogactw bez miary,
w gwiazdy ubrana i w lutniane czary —
a świat ci zda się jeno złotą gadką

i dźwięków morzem, o ty polska mowo!
tu sługo moja i moja królowo,
moja kochanko i siostro, i matko!

1848.

Leciał z zachodu rumak złotogrzywy
przez zamki, sioła i miasta, i niwy;
w ogniach i błyskach, słońcach i piorunach,
w dymu obłokach i pożarów łunach
leciał i rżał; —
z pod kopyt iskry strzelały mu duże,
trzęsienie ziemi szło za nim i burze,
i wichrów szał —
i krwawa światła wstającego zorza
nad lądy ciemne, nad zastygłe morza,
nad czoła skał,
nowy wieszcząca starej ziemi wschód —
a w zorzy okrzyk: za wolność i lud!

A gdzie koń zagrzmiał w miesięczne podkowy,
w proch się królewskie pochylały głowy,
trzęsły się turmy, burgi i więzienia,
pękały lochów odwieczne sklepienia
w nawale burz,
rwały się więzy, łańcuchy i pęta —
wiosna wolności szła po ziemi święta
w koronie z róż:
w grzmotach i gromach, w burzy i orkanie,
w ziemi trzęsieniu, w błysków huraganie
i w ryku mórz
jawił się wieku upragniony płód —
wschodziło słońce! — za wolność i lud!

Nad grodów zgliszcza, nad zwalone turmy
brzmiały straszliwe archanielskie surmy,

a dźwięk ich każdy był jak miecz i płomień,
żagiew rozruchów i taran rozgromień,
i święta dzwon;
ospałych budził do życia i czynu,
skroń niewolników wieńczył w liść wawrzynu
na bój, na skon —
i grzmiał po świecie wielki i szeroki
w chmury — i wyżej — nad dymne obłoki
przed gwiezdny tron,
skąd Stwórca krwawy błogosławił trud,
słysząc dział modły — za wolność i lud!

O przebacz że nam, Wiekuisty Panie,
że choć nam zsyłasz wolności zaranie,
my, bohaterów krwią tacy rozrzutni,
zgasnąć mu dajem i znów idziem smutni
w jarzma i cień,
że spać się kładziem na ich świeżym grobie
w godzinę świtu i o rannej dobie
bez snów i drżeń;
że znów martwe i głuche te błonia,
któreś tętentem wstrząsnął Twego konia —
że kona dzień,
co z za rozbitych lśnił przemocy wrót,
w świetnym okrzyku — za wolność i lud!

SONET IX.

Z cyklu „Warszawa".

O! Jerozolimo,
smutnych naszych przodków opłakana łzami,
krwią męczenników naszych zmyta! Dziś cię plami
rezygnacja niewoli, co jest ciężką zimą

wieków ziarnu ludzkiemu: ale z wiosną, z wiosną,
gdy światu pękających lodów huk obwieści
Zmartwychwstanie — zakwitniesz ty, grodzie boleści,
jako sąd, co się szatą przystraja radosną!

Bo nie wierzę, by siejba to być miała marna,
co w twą rolę rzucała boleściwe ziarna:
męczenników krwią ziemia pod twym brukiem żyzna

i są wichry w ulicach, co mówią: Ojczyzna!
i jest krzywdy siew żywy, chociaż utajony,
który, wschodząc, rozsadza skaliste zagony!

Zapóźnione i śmieszne ducha Donkiszoty! —
Jak rycerze krzyżowi w kraj ciągniemy wschodni,
prawe sługi świętości a mściciele zbrodni:
płaszcz nasz biały, miecz ostry, a spis naszych groty

w rannem słońcu się palą blaskami pochodni —
czoło dumne, a w orlich skrzydłach hełm nasz złoty,
ramię silne, a serce męskiej pełne cnoty:
wrogów tylko nie mamy, co są walki godni!

Saraceńskich nam szabel błyskawica w oczy
nie zaświeci, ni błędny rycerz wyzwie w szranki
za słuszność, imię Marji, albo cześć kochanki —

jeno zgraja owczarzy drogę gdzieś zaskoczy
i do boju przymusi; co — choć niemniej krwawy —
bohaterom ginącym rzuca śmiech, miast sławy.

ZWIDZIAŁO MI SIĘ...

Zwidziały mi się mej młodości sny,
czarowne sny:
w skwar południowy gdzieś błądzące mgły,
gorące mgły —
i na jaśminach rozkwitnionych łzy,
ros wonne łzy...

Ach! zwidział mi się mej młodości raj,
snów moich raj:
przez czarodziejski rozśpiewany gaj,
złocisty gaj —
lecący słodki upojenia maj,
rozkoszny maj...

Przywidział mi się dreszcz młodzieńczych sił,
przebujnych sił,
co szedł nurtami wszystkich moich żył,
czerwonych żył
i w każdem tętnie płonął, grał i bił,
jak dzwon tak bił.

Dawna, na oczach jaśniejąca dal,
słoneczna dal,
biały szczyt ducha nad świeżością hal,
nad runią hal
i bieg w zawody tam, gdzie święty Gral.
gdzie świeci Gral...

Przyjaciół, druhów, braci miłych krąg,
serdeczny krąg,

drżenie związanych razem bratnich rąk
i esrc, i rąk,
szept pocałunków, ust gorących żar
i oczu żar
odurzająca włosów woń — i gwar
słów cichych gwar...

Zwidziało mi się! Dawno okwitł bez,
jaśmin i bez,
a wiatr mi szumi gorzkich pełen łez,
tak pełen łez:
„Dis, qu'as-tu fait, toi pleurant sans cesse
de ta jeunesse?..."

STANISŁAW DŁUGOSZ
(JERZY TETERA)

podporucznik I brygady Leg. Pol.
urodzony 1892 r.
poległ dnia 6 sierpnia 1915 roku
pod Kamionką w ziemi lubelskiej
pochowany w Warszawie.

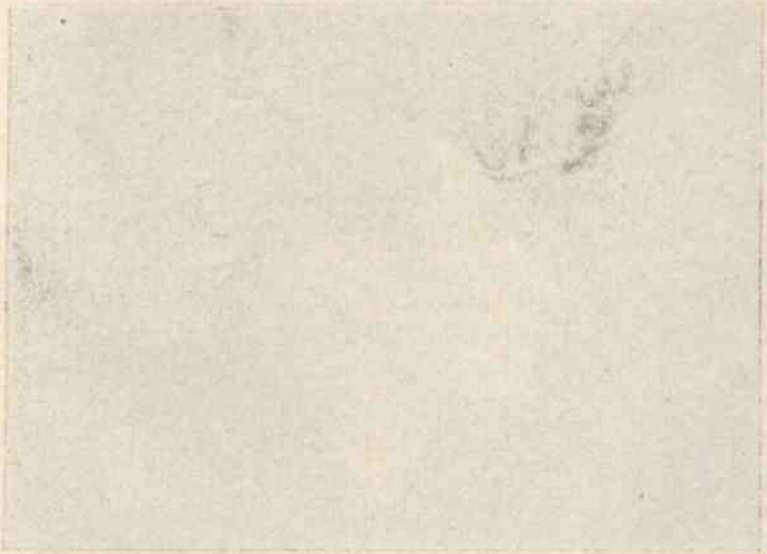

Chciałbym zebrać wszystkie polskie ciernie,
wszystkie wiary, dochowane wiernie,
wszystkie nasze wiary romantyczne
i usypać z nich kopce graniczne...
St. Długosz: „Nad Wisłą".

Kształcił się w gimn. Chrzanowskiego w Warszawie. Będąc uczniem wyższych klas, należał do kierowników tajnych związków uczącej się młodzieży, których celem było samokształcenie i pogłębianie uczuć narodowych. Oskarżony o organizowanie młodzieży i zwołanie zjazdu uczniów szkół średnich, został w r. 1910 aresztowany i osadzony w więzieniu. W więzieniu siedział cztery miesiące. Tegoż roku po zwolnieniu wstąpił na wydział prawny w Uniwersytecie Jagiellońskim. Rzucił się w wir życia społecznego: jest członkiem-założycielem Drużyn Strzeleckich w Krakowie, przewodniczy w stowarzyszeniu młodzieży uniwersyteckiej „Znicz", należy do redakcji „Zarzewia", pracuje w Tow. Szkoły Ludowej. Równocześnie uczy się, opracowuje i wydaje—mając lat 24 — źródłową monografję historyczno-wojskową: „Czachowski". Wybuch wojny światowej zastał Długosza w Warszawie. Nie zwlekając, „jako emisarjusz pełnomocny", wyjechał w Radomskie i Kieleckie w celu zorganizowania poczty polskiej i nawiązania kontaktu z Krakowem. W Miechowie zaciągnął się jako szeregowiec do piechoty legjonowej, a później został przydzielony w randze oficera do lotnego oddziału wywiadow-

czego przy Sztabie Głównym (I bryg. Leg. Pol.). Upływa mu życie żołnierskie na wywiadach, patrolach, utarczkach i czasem inspekcjach nocnych wart. Przezwał się, zwyczajem strzelckim, Jerzym Teterą. Pod koniec roku 1914 rozchorował się—leczył się w Morawskiej Ostrawie, potem w Jabłonkowie na Śląsku. Ze służby w oddziale wywiadowczym nie był zadowolony; to też gdy wyzdrowiał, „by mieć powietrze" chciał się przenieść do kawalerji. Z braku jednak koni w oddziale Beliny otrzymał przydział do piechoty: jest dowódcą plutonu w bataljonie Grudzińskiego, w pułku, którym dowodził Neugebauer. Na czele tego oddziału przemierza z I brygadą Polskę. „My — pisze w pamiętniku pod datą 29.I.1915 r. — w piaskach kieleckich i leśnych wykrotach węgierskich wskrzesiliśmy pieśń o Wolnej Polsce — Pieśń bosych bohaterów leśnych, białego Belwederu i zimnego ranka we mgle pod Samosierą".—Walka pozycyjna nad Nidą, Łowczówek, inspekcje, patrole, utarczki. Potem ofensywa 1915 r. Bitwy. Odwrót Rosjan. Pod datą: Okopy pod Jastkowem, 1.V.1915, pisze: ...„Trzaska po pniach kula, brzęczy gniewliwie — to śmierć. Miałem dziś zdarzenie dziwne: siedzę w okopie z przymkniętemi oczami... coś uderza mnie w piersi—to już—myślę, i chwytam gorącą kulę, która się już stacza i praży mnie w ręce. Zachowałem —W cztery dni później na pozycji Ożarów—Kamieniec—Biadaczka, w ziemi lubelskiej, rozeszła się wiadomość o wypędzeniu Moskali z Warszawy. Radość. Podporucznik Tetera mówi: „O, teraz nie chciałbym zginąć". Zginął jednak nazajutrz, dn. 6 sierpnia 1915 r., idąc do ataku na Kamionkę. Towarzysze pochowali go pod krzyżem w polu na rozstajnych drogach; w rok później zwłoki jego zostały przewiezione do rodzinnej Warszawy.

Spełniłeś swoje — odejdź wdal,
w zmroczoną dal, bez słońca.
Orałeś ciężko... pójdzie żal,
popłynie łza gorąca.

A odchodź cicho, cicho tak,
by kroków nikt nie słyszał,
aby ostatni szmer twych stóp
wiatr, polny tułacz, ściszał.

Ominiesz śpiący, mroczny bór,
co cię w swych cieniach chronił:
będzie podziemny żegnał chór
i płacz cię będzie gonił.

Ominiesz bezmiar płaskich pól,
a gdy go będziesz mijał,
wszystek przeżyty w życiu ból
w mgłach ci się będzie zwijał.

O tem, że już odchodzisz stąd,
niechaj nikt w świecie nie wie — —
— I wciąż się będzie jątrzyć trąd,
a w płomień tlić zarzewie.

W podziemiach huczeć będzie młot,
a ziemią rynsztok płynąć!
Tułacze stada w górny lot
iść będą — aby ginąć!

1912.

Naprzód! Śmierć patrzy nam w oczy,
sztandar się krwawi nad głową.
Naprzód! Jak w taniec ochoczy
idziem w kurzawę bojową.

Po zorzę idziemy nową —
— Naprzód; cel — pal! Do ataku!
Sztandar się krwawi nad głową —
Umierać nam przy tym znaku!

Krwią swoją żyźnić nam ziemię
ojczystą, królewski ptaku,
zrzucim niewoli Twej brzemię —
— Naprzód! Cel — pal! Do ataku!

Walą się o ziem rycerze —
Naprzód, choć pustka dokoła;
śmierć swe ofiary zabierze —
my — naprzód! Do góry czoła!

Nieliczna garstka topnieje,
wróg ręką sztandaru sięga...
— Hej, nie wiesz co Moc, co Potęga —
Naprzód!! woddali już dnieje.

Warszawa, 1909.

NA DAWNĄ NUTĘ.

(„Hej strzelcy wraz").

My, nowych dni, za Polskę nowi woje,
w bitewny zgiełk pójdziemy niby w tan —
z zakrzepłych łez błyszczące na nas zbroje,
wolności brzask, to nasz jedyny pan.

Jak fale mórz, rozkołysane w biegu,
idziemy wciąż, nie dbając, co to ból —
i żaden z nas nie pierzchnie ze szeregu,
choć będziem stać śród gradu wrażych kul.

Kołysze wiatr nasz sztandar krwawo-biały,
pod nim nam lec, lub przejść wolności próg —
nasz srebrny ptak powiedzie nas do chwały,
nie zmoże lęk, ani przemocy wróg.

Już dnieje hen i blask się krawy pali —
to zorza zórz zapala swoje skry — —
ujmijmy w dłoń oręże swe ze stali,
precz z piersi żal, a z oczu żalu łzy.

Więc dalej w bój, czekają szyki wraże,
rozłogów dal, niechaj pokryje krew —
a póki pierś oddycha w krwi oparze,
o nieba strop, jak dzwon niech bije śpiew!

Warszawa, 1909.

Mgły się ciężkie kładą
na rozmiękłe pola —
po zoranej roli
idzie płacz — niedola.

Mówią mgły: „Nie szlochaj
za tem, co w snach tylko
w księżycowe noce
żyło jedną chwilką!"...

Hej, wy mleczne drogi,
księżycowe noce,
kwietnych łąk zapachy,
szumy rzecznej łachy,

pierwsze drgnienia serca,
pierwsze bóle, smutki — — —
— — — Śpiesz się, — czasu mało —
— a gościniec krótki!...

1912

Chciałem miotać złote ziarna
w czarnej ziemi rodny schron,
by wydała dal cmentarna
bujny plon.

Chciałem zbierać zbożne plony
w porankowy, złoty czas —
nieść w nadzieją rozdzwoniony
młody las.

We mgłach gubią się zagony —
jesień — chłodne krople ros —
zbierać zbożne złote plony
nie dał los!...

Zawiercie, 1912.

I.

...A ja pójdę z rannym świtem w pole
między zboża — w chabry i kąkole

z moją dolą — niedolą tułaczą...
Słuchać będę, jak wiatry wdal płaczą,

jak się skarżą pozłociste zboża,
jak podziemne głucho huczą morza,

nim wychyną na świat i zaleją
pleśń przemocy wód swoich zawieją.

Będę słuchał, jak w południa skwarze
zapomniane gadają cmentarze

— o purpurze królewskiej i złocie
i o skrzydeł niewstrzymanych locie;

— o przetargu szubrawym i zysku
i o hucznym, wielkim weselisku,

tańcowanym na świeżej mogile
w krwi męczeńskiej i kurzawy pyle.

II.

...A ja pójdę w zachodzie przez ściernie
i posieje polny, krwawy głóg

na rozstajach wszystkich polskich dróg
— A dochowam świętej wiary wiernie!..

Niechaj Wiosną kwitnie purpurowo
i wyznacza kwiatem Polski próg —
...A ja pójdę z mą dolą surową
i zasieję polski, krwawy głóg...

Wieruszów, 1912.

Wypatrywać źrenicą bolesną,
czy z pomroki głębokiej nie wskrzesną,
czy się z gwiezdnych szlaków nie wyłonią
rozpędzoną husarską pogonią,
czy nie runą z tętentem przez błonie
ich bojowe rozbiegane konie...

Goić stare — zastarzałe rany,
zasiać ugór nigdy nie orany —
w ciemnym borze szlak wyrąbać prosty,
nad przepaścią porozpinać mosty —
— — na świat wynieść z grobów wydobyty
płaszcz przejasnej Rzeczypospolitej!

Zbroić ramię osłabłe — niech sięga
po sceptr, który się zowie potęga —
niechaj zbrojne uderza uparcie,
wiecznie stoi pod bronią na warcie —
—— a gdy mrok rozedrą błyskawice,
niech wyznacza dla Polski granice!

Milanówek, 3.IX.1913.

„TRZEBA UMRZEĆ GODNIE"...

1813 — 1913.

Z pod obcego zwołały cię znaku
chorągiewne poszumy pod broń — —
przelewałeś krew na obcym szlaku,
przelewałeś krew za cudzą sprawę,
kiedy oczy od wysiłku krwawe,
kiedy Serce, ginące w topieli,
powołało cię pod polską broń.

I stanąłeś kurzawą okryty
u wrogami obstawionych granic — —

A dalekie zwędrowałeś drogi,
jako człowiek, co idzie od słońca
tam, gdzie ciemność rozpościera przędze...
Wszystkie świetne błyski miałeś za nic
i wybrałeś miast róż wonnych — głogi,
miast szkarłatu — szarą, polską nędzę...

Uchodziły resztki dawnych sił,
zapalały się dachy nad głową...
Poniósł książę na szaniec stracony
w mnogich bitew rozżarzany pył
przechowane na dnie serca słowo,
od zaguby swój skarb ocalony —
swoją wierność nieugiętą, twardą,
swoją młodą niezachwianą wiarę;
poniósł w służbę na rozłogi szare,
z podniesioną idąc głową — hardo.
— — Spanoszyła się obca potęga — —
Otoczyły go nieufne tłumy —

a On w sercu bolesnem przysięga
strzec ostatniej, niewydartej dumy
aż się w mrokach piorunem ukaże,
aż spopieli wszystką nędzę w truchło!
— Patrzy książę z rozpaczą ogłuchłą
na hańbiącej, ciężkiej razy pletni...
— —

Niechaj bije w nocną ciszę grom —
niech oświetla wylęknione tłumy —
aż się w marmur dusza wyszlachetni,
aż się pocznie dźwigać z posad dom!
— — —

Na mogile tańczą modne tańce — —
Książę Józef w rozbawionem kole,
ale patrzą wdal oczy sokole,
ale widzą w mgłach ukryte szańce,
ale widzą polskie bataljony...

Książę Józef tańczy rozbawiony,
tuli rozkosz do piersi miłośnie — —
ale marzy jesienią — o wiośnie
i o jasnym, złotym Świcie marzy
rycerz, wiernie stojący na straży...
Szepcą blade usta zaciśnięte
jedno imię umęczone — święte.
— —

Zaszczytami go darzą mocarze —
a on staje przy Wodzu - Cezarze
i przyrzeka mu służby swe wiernie — —

...Niech się tylko ziści jasny sen,
niechaj spłoną okrwawione ciernie...

I prowadzi pod Raszynem w bój
karne hufce polskiego żołnierza.
Swą bolesną, skrytą tajemnicę
żołnierskiemu bagnetowi zwierza —
chce wykrzesać nim promienny świt — —

Niech oślepią nedzę błyskawice,
niech wypalą targowicki wstyd — —
— — —

— I prowadzi na dalekie śniegi
zapatrzone w Cezara szeregi.
— —

— Gaśnie gwiazda wielkiego Cezara,
rozsypuje się w popioły wiara — —
— — więc przychodzą szepty gadzinowe —
mówią: — „Pochyl, mości książę, głowę
przed nowego majestatu siłą,
odstąp sprawy na zawsze straconej..."

Dźwiga książę honor niesplamiony...

Idzie książę, jako żołnierz prosty,
który spalił poza sobą mosty,
który wszystkie ciernie polskich dróg
zamknął w swoje umęczone serce...
Już mu tylko jeden próg
do przebycia w życiu pozostaje — —

W bólu, w strasznych zwątpień zawierusze
wyszlachetnił w sobie wielką duszę...

Słucha książę powieści o wstydzie
i w śmierć swoją nieuchronną idzie —
ale idzie bez jęku — radośnie,
jakby zoczył za mgłami przedwiośnie...
— —

Mówi książę: „Trzeba umrzeć godnie..."
Jeszcze płoną oczy jak pochodnie — —
jeszcze płoną przez chwilę — i gasną — —
— —

...Będzie w Polsce od tej duszy jasno.

Kraków, 1913.

BOHATEROM.

1863.

Bez rozgwaru gromkich słów i pieśni
szedł na pole przed półwiekiem huf —
— Hej, wy bosi bohaterzy leśni,
niewolnicy o wolności snów!

Wychodziliście z domu w noc ciemną,
w oczy cięła wichura, a śnieg
w białych płatach wam szeptał daremno
że na pola gzłem śmiertelnym legł!

Wy śpiewaliście hymny o wiośnie
w dymie ognisk i w pobrzęku kos —
A w śmierć szliście dumnie i bezgłośnie
zapatrzeni w swój męczeński los.

Kraków, 1913.

OSTATNI PRZYMROZEK.

Na rolę zrytą rowami
osypał się późny śnieg.
Wiatr przyszedł, chłód. Zamarzły
rozlewy dalekich rzek.

Szeleści każde źdźbło
strzechy, zerwanej z domu,
jakby przez cichy szept
chciało się skarżyć komu.

Na drodze, zmarzłej od świtu,
zagony twardych grud,
a przecie tuż, tuż za progiem
pełni się wiosny cud.

Wiem przecie, że to ostatni
ściął grzązkie bagna mróz,
że już się wiją pąki
na cienkich gałęziach brzóz.

Niech się powarzy tylko
ten chłodny, żałobny wiew,
przed czasem, przed złotym czasem,
tych kwiatów, tych pąków, tych drzew.

Sobowice, okopy, 1915.

JAN ŁYSEK

por. 2 p. p. Leg. Pol.
urodził się w 1886 r.
poległ pod Polską Górą
na Wołyniu
dnia 5 listopada 1915 r.

Co się tak w strachu trzęsie głupi liść?
Prawda! Chce go porwać wiatr...
Acha! ja też miałem dokądś iść,
Dałem słowo...

J. Łysek: Śpiący rycerze.

Jan Łysek urodził się w malowniczej wiosce górskiej, Jaworzynce, pod Jabłonkowem na Śląsku. Kształcił się w polskiem seminarjum nauczycielskiem w Cieszynie, które ukończył w r. 1908. Był następnie nauczycielem ludowym w Datyniach, potem w Suchej, a w ostatnich trzech latach przed wielką wojną w szkole T. S. L. w Jaworzu na Śląsku. Działacz społeczny i pionier odrodzenia polskiego na Śląsku, dbały wielce o rozwój szkolnictwa, o interesy i oświatę ludu, z którego sam się wywodził. Samorodny talent literacki — napisał cały cykl wierszy, bajek i opowiadań z życia górali śląskich, niektóre w dialekcie.

Gdy wybuchła wielka wojna, stanął w szeregach, tworzących się na Śląsku Leg. Pol. Wyruszył na front jako dowódca kompanji śląskiej; 2 lutego r. 1915 był raniony pod Maksymowcem.

Niedługo bawił poza frontem — po trzech tygodniach wrócił do oddziału i brał udział we wszystkich walkach II brygady w Karpatach, na Bukowinie, na Wołyniu.

Poległ dnia 5 listopada 1915 r. pod Polską Górą. W r. 1929 spoczął na cmentarzu w Cieszynie.

* * *

Miłości w słowach nie zmieszczę,
choćbym był mistrzem słowa;
słabe są słowa wieszcze,
słaba jest krasna mowa.

Urosłem na chłopskim zrębie,
na skraju jedlin szumiących;
słuchałem śpiewów na dębie,
jakby mą duszę czarujących.

Widziałem zaranne zorze,
słoneczko, jak łódź płynące,
na niebios krwawe morze
promieniem wiosłujące.

Leśne widziałem dębiny
nad mglistą przestrzeń wzniesione
i zimne nasze zamgliny
nad kwietnią łąką uśpione.

Chodziłem dzieckiem pomiędzy ludem,
grała mi przyroda cała;
nasiąkło serce przyrody cudem,
a z tego Miłość powstała.

Akt II — scena w lesie nocą przy ognisku. Opowiada *Jan*, gospodarz; słuchają go wiecownicy — lud śląski.

JAN:

Bracia, chłopi kochani! Nie będą już zdobić
hali podgórskiej owiec naszych stada.
Nie pójdziesz—nie bój się—rzędziołu narobić
w swój las. Własnej nie poznasz koliby.
Kosę zawieś na klinku, pług przewróć do góry,
bo nie na swojej ziemi orałbyś już skiby.
Zgodnemi wszyscy pytamy się chóry,
czy też jest jaka na tę klęskę rada.
Jeden narzeka: O, biada mi, biada!
Drugiemu rozpacz twarde dłonie ściska.
A ja wam mówię, że jest chwila bliska.
co ziemia naszą będzie, jak długa, szeroka,
że nie potrzeba łzą zalewać oka,
tylko poczekać, ścisnąć trochę zęby...
Oto — gdym z Józkiem rąbał te sosny i dęby,
przyszedł ci do nas jakiś dziwny człowiek,
którego słowa były, jak kamienie.
Sama mu mądrość patrzyła z pod powiek,
jak święte było każde rąk skinienie.
Ten ci zwiastował wieść bardzo radosną.
Słuchajcie, bracia, bowiem serca rosną.
kiedy się słyszy takową nowinę.
„Na wiece — mówi — troszeczkę zawcześnie,
ale śpi wojsko, które kiedyś wskrześnie".
(wśród ludu gwar)

Myślę ja z Józkiem i mało nie zginę,
bo prawda, bracia, ja się przyznam szczerze,
że zapomniałem spytać owego człowieka,
gdzie, w której stronie śpią owi rycerze,
bliska to droga, czyli też daleka,
skała to jaka góry, czy też kopiec.
Ale—widno w tem wszystkiem święty Boży palec.
Nie wiem, skąd przyniósł książkę mój brat,
chłopiec.
Czytam:

LEGENDA.

był kiedyś wielki król — zuchwalec,
młodzieniec kraśny, z wojowniczem licem·
Bolesław Chrobry.
Pono naszych włości,
Praojców naszych — Pan ten był dziedzicem.
Za jego czasów u nas ludzie prości
dobrobyt mieli, jako nigdy potem.
Jak to tam wszystko opływało złotem,
jak się mieniło w świetle tego słońca,
co nad krajem świeciło od końca do końca
i dobrem ciepłem łany kmieci grzało!
A zboże — bracia! — wtedy takie stało,
w krainie Bolesława, jako las wysokie.
Anibyś — bracie! — nie ogarnął okiem
onego łanu, kiedy ponad zboża
wiater przywionął. Jako fale morza
wzdymały się ku niebu złote fale kłosów
Takiem bogactwem darzył Bóg niebiosów
onego Króla i lud jego cały.
Takiem weselem czasy te jaśniały,
że dziś już o tem nie śni się nikomu.
Cesarz niemiecki przyszedł raz w gościnę

do Bolesława wspaniałego domu.
Król nasz wieczerzał z rycerstwem pospołu
przy jednej ławie — z szczerozłotej misy;
Cesarz wysoko zasiadł był do stołu,
a jego pany po kątach, jak lisy.
O, zacny to był król! Dobry w czas spokojny,
Ale srogi podobno wrogom w chwilach wojny.
Był najazd na granicę.
Król wąsa pociągnął,
przywdział zbroice i na ścianę sięgnął
po miecz. Już rogi huczą w strony świata,
po wszystkich opolach z wiatrem wieść ta lata,
co tchu ją chwyta w usta młodzież zbrojna:
„Za Ciebie Królu! Za kraj! Wojna! Wojna!"
Król własną piersią w szeregach rycerzy
własnych poddanych od wroga ochronił.
A wiecie bracia! — człowiek nie uwierzy —
że naszej ziemi szczególnie on bronił.

(gwar)

Cicho więc bracia! Będę mówił dalej.
Kiedy król Chrobry kończył żywot w chwale,
przeczuł w swej duszy, że szczęśliwe chwile
kiedyś po wiekach dla narodu zgasną.
Prochów więc swoich nie złożył w mogile;
rycerzy zebrał, rozkazał: „Niech zasną!
Wszyscy rycerze przy królewskim boku
hen się położą w pobliżach obłoku,
w grocie żelaznej, w cieniu na sen cichy.
Różne tu czasy przejdą po tej ziemi.
Przejdą wspaniale mężowie ze stali
i hufce wojska. Ziemia ta wielkiemi
bojami wsławi się. A my będziem spali

w grocie żelaznej. A każdy czyn chwały
uderzy echem o zmurszałe skały
i będzie nam śpiewać do snu pieśni o tem,
jak syny ziemią gospodarzą.
Potem
nastaną czasy bolesnego płaczu.
Ziemia zapłacze, wojska zginą, czarne kruki
na płotach kiedyś złowrogo zakraczą.
Wówczas się zbudzim. Nieszczęśliwe wnuki
polecim mieczem zasłonić przed klęską.
Stoczymy bitwę okropną, zwycięską
i znów się położym w cieniu na sen cichy".
Zamilkły rogi, a próżne kielichy
schowano kędyś na pamiątkę w szafach.
Ale król stary, śpiący w skalnych rafach.
czuwa i czuwa. To śni, to się budzi.
Z brzękiem żelastwa zastęp zbrojnych ludzi
podnosi głowy, oczekując słowa.
Ale królewska znów opada głowa,
marzeń spokojnych snując dalszą przędzę. —
Królu kochany! czy znasz naszą nędzę?
Królu kochany! widzisz serca nasze?
W piersiach nas pali rozjątrzona rana —
Już czarne kruki siadły na poddaszu,
w którego cieniu przeszłość ukochana
spływała w pieśni o dniach Twojej chwały.
Łany zbożowe już opustoszały,
jeno tam teraz czernią się jałowce.
Z żałosnym bekiem zeszły z hali owce.
a juhas stary z osiwiałym bacą
skryli się w skały leśne i tam płaczą.
Wszystko się topi i ginie w rozpaczy,
krzyżem straszliwym los nam dolę znaczy.

A przecież wnuki jesteśmy — kość z kości
tych, co tam z Tobą śpią w żelaznej grocie.
Wnuki rycerzy poległych w przeszłości,
których mogiły wróg zatapia w błocie
i depce hardo kopytami koni.
Któż nas w tej ciężkiej godzinie obroni,
jeżeli nie Ty. Wstań już mocny królu!
Nie śpijże dłużej — królu — w ciemnej studni!
Niechaj podkowa rumaka zadudni
od skał tatrzańskich jako echo burzy,
a połysk miecza niech ciemność rozchmurzy,
i niech na nowo od końca do końca
nad naszą ziemią świeci promień słońca.
W Twoją my, królu, wierzymy gwiazdę!
Obroń nas, królu, przed obcym najazdem.
(Gwar, który zmienia się w groźny, gwałtowny krzyk).

WŁODZIMIERZ KONIECZNY

por. I bryg. Leg. Pol.
ur. dnia 26 lutego 1886 r.
poległ w walkach o Polską Górę
dnia 5 lipca 1916 r.

Młodości!

. . . . . .

O zaginiesz ty na fali
Jak łódź strzaskana gromem
Wśród burzy, co rwie lądy
Niebo ogniem pali,
Szydzi, drwi i wali
Odwiecznych ruchów rządy!

W. Konieczny: Pieśń.

Włodzimierz Konieczny urodził się w Jarosławiu, w Małopolsce. Do szkoły normalnej i do pierwszych trzech klas gimnazjalnych uczęszczał w Tarnowie. Czwartą klasę ukończył w IV gimnazjum—dziś J. Długosza — we Lwowie. W tem też mieście zapisał się następnie do akademji handlowej, skąd po roku przeniósł się do szkoły rzeźbiarskiej w Zakopanem, z Zakopanego zaś, po dwóch latach studjów, do Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie. Dalsze studja rzeźbiarskie odbywał we Włoszech i w Paryżu — w tym okresie napisał nieliczne swoje utwory poetyckie, ogłoszone w krakowskiej „Krytyce".

W r. 1914 zaciągnął się do 1 pułku legionów i wyruszył w pole dnia 8 sierpnia. Swoją służbę rycerską pełnił na początku w 2 kompanji II bataljonu, pod dowództwem Kordjana Zamorskiego. Brał udział we wszystkich walkach I brygady. Potem dowodził kompanją —

w 1 pułku, gdzie inteligenci stanowili przynajmniej 75% stanu ogólnego — wielki to zaszczyt i wyróżnienie. Wojnę uważał za dalszy ciąg swojej umiłowanej sztuki. Bawiąc na urlopie, ze śmiechem opowiadał przyjaciołom, że nie imają się go bagnety, a omijają kule.

W dniu 5 lipca 1916 r., w czasie jednej z ostatnich bitew, broniąc odcinka, poległ gdzieś w rowie strzeleckim przy Polskiej Górze. Zakłuli go bagnetami żołnierze rosyjscy.

Po bitwie Rosjanie wrzucili ciało por. Koniecznego w nieznanem miejscu do wspólnej mogiły.

W BOJACH SIĘ RODZI DUCH.

W bojach się rodzi duch
I w bojach wschodzi w świat.
Pod stopą cierni puch,
Usta całuje kwiat,
A dłonie błądzące w niebiosach.

Ten kto na rannych rosach
Zaśni,
Rannej nie obaczy gwiazdy.
Jaki rycerz marzy o baśni
Bez boju?
Zabije go wichr śmiertelnej jazdy.
Kto wichr miłuje, nie zazna pokoju,
Tam stąpi,
Gdzie niebo orłami się chmurzy,
Budownik dziełu krwi swej nie poskąpi,
Granicom, i nie umknie burzy.
Nie zwierzy
Wygnaniec drogę zwycięstwu zabieży,
Zwycięży
I uśmiech błękitom powróci.
Okręt strzaskany w głębinach polęże
I zginie,
A okręt nowy pieśń nową zanuci.
Przez klęski i trwogi duch twardy zasłynie,
Zasłucha
Zwycięstw i pójdzie po klęski.
Chociaż nad czołem zapadnie noc głucha,
Rozświeci,

Rozbłyśnie,
Roztęczy,
W złocistej wyskoczy obręczy
Jak iskra grom!
I w bojach wschodzi w świat,
Gwiazdom nadaje ruch
I błogosławi świat
Na boje, zwycięstwa i klęski.

Paryż.

NIKE SAMOTRACKA.

Fragment z dramatu.

I rzekła mi jasna Pani:
Jestem Samotracka Pani.
Twa siostra i tobie w dani
Serdeczny gniew niosę,
Serce i śpiew, i zew, i wojnę.

Rzuciłam zagony spokojne,
Ranną z traw wypiłam rosę,
Skąpałam się w blasku słońca
I słońcu radośnie śmiejąca
Zerwany wiatr wmaiłam w włosy,
Żagle porwałam i stąpiłam w wichry:
Idę!
Zbudziłam odmęt fal,
Niech burza łódź kołysze!
Zburzyłam niebios strop i dal,
Niech ogniem bój zadysze!
Sięgłam w głąb i wzwyż i wszerz
Niech lśni i błyska świat,
Niech drwi i szczęka, rży i lęka
I z trwóg ze śmiechem parska świat!

Gdy w jasnym szale przeminę turnie
I minę grody i przeminę lasy
I nieba, i chmury, i góry,
O, jakiż Bóg zaśmieje się do mnie?
O, jakiż łan nie krzyknie ku mnie!
Hah — hah!
Śmieję się z trwóg,
Serdecznych trwóg,

Niebiosy w uśmiechy rozpyle,
Niech krzyknie z radości Bóg,
Co na turniach pasie motyle.

O, stój! bo jestem tysiąc dzid!
O, leć! bo orły przegonię!
Czuj! bom zmierzch i świt!
Świeć! bom w żywie jest i w zgonie!
A znasz tę pieśń wielką, niespodzianą?
Zakrzyknę ci ją w noc nieznaną.
A znasz ty utkwione w pierś groty?
Pierś ci przeszyje miecz jasny i złoty.
A spadłże na cię gniew wielki, gniew święty?
Wraz cię porzucę pod kopyt tętenty!
Pędź!
Gnaj!
Przez pola! przez głusze!
W tęczowej zawierusze
Wzleć i błyśnij i zjaśnij:
Powstań, spójrz i zgaśnij.
W popiołach iskry zbudź i zwaśnij.
Aż ogni kwiat wytryśnie z głąb,
Sięgnie w błękit
I błękit spopieli!

Radośni anieli nad czołem,
U skrzydeł stoję pieśni wichrów:
Grom!
Wichrami grom!
Łam się męko! łam!
Trwogo, łam!
Rozsieję w pola podarte pancerze,
W serdeczność męki nastąpię i zdepcę.

Zaprzysiężone roztargam przymierze,
Śmiechem odpowiem trumnie i kolebie.
Co się łamiesz — łam się!

Idź!
Idź zemstą,
lecz idź grzbietem turni!
Idź gniewem,
lecz wichry spłomieniaj!
Idź bojem,
w boje sny przemieniaj!
Snami nie zbywaj mocarzy,
Bo naślą na cię chorągwie korsarzy,
Bo stąpią na pierś i łodzią cię przejdą
Lub przejdziesz wichry, lub wichry cię przejdą,
Lub zmierzchniesz świtom,
Albo błyśniesz nocy,
Albo chorągwią rozwitą będziesz,
Lub będziesz pyłem zbłąkanym z północy.
Jaśni prorocy twojej zguby strzegą,
Lancami w twarz godzą;
Niech w bojach silni się rodzą!
Stniej! Na silne rwij się męże!
Niechaj oręże padają,
Niech łamią się męże i lance i groty!
Piej!
A pieśń twa —
tysiące dzid na piersi.
Pieśń twa —
szału krzyk w północy.
Pieśń twa —
radość słoneczna się złoci.

Śmiej się, śmiej!
Łam!
Lub złam się!

To mi rzekła Samotracka Pani,
Schyliła się i bratu w dani
Na ustach usta złożyła,
Rzuciła skrzydła w pierś
I poszła z wichrem.

Louvre. 1909.

Stanisławowi Witkiewiczowi.

Młodości!
Buntu rodzicu —
Radości i słońca dziecię —
Nie znajdę dla ciebie granic.

W płomiennej grzywie stu koni,
Podkutych srebrem księżyców,
Z wichrem gwiaździstych tumanów,
Straceńców szał, straceńców wódz!
Pęd! zew! lot!

Czy się blaskiem nie ozłoci
Korona niebios kwitnąca?
W wezbranej płynie powodzi
Kaskada świateł, bijąca
W zawarte dźwirze niebiosów!
W hymnie rozwartych głosów,
Gdzie stąpi, spłomieni;
Gdzie pójdzie, zarumieni
Świat zorzą tęczową.

O, zginiesz ty na fali
Jak łódź, strzaskana gromem
Wśród burzy, co rwie lądy,
Niebo ogniem pali,
Szydzi, drwi i wali
Odwiecznych ruchów rządy!
O, zginiesz i wstaniesz na nowo,

Jak piorun zabłyśniesz tęczowo,
Jak tęcza zakwitniesz nad burzą,
Jak burza uśmiechniesz się różom,
Jak bajka zacichniesz nad łanem,
Noc prześnisz w zbożach i nad ranem
Obudzisz śpiące w zagonach skowronki
Wzlecisz nad pola i nad łąki:
Błogosławisz —
Sławisz dzwonki, chabry, turnie,
Ptaszy lot, pędzący chmurnie,
Gwiazdy, gwiazd pustynię ciemną,
Błogosławisz nową pieśń strzemienną:
Na koń!
Tam!
Gdzie nikogo szał nie powiódł!
Tam, gdzie mostów nikt nie zwiedzie!
Gdzie z namysłu pieśń nie wstanie!
Tam, w gwałcącym huraganie,
W burzy, w wojnie, w zemście, w bitwie
Na złamanych modlitw brzegach,
Na sztandarów zwartych trupach
Z rozwiniętem skrzydłem staniem!

Ja młodość!
jak smrek się w otchłań nieba pnący
I w orłów chórze ścigający gwiazdy,
Sto razy polegnę i sto zmartwychwstanę,
Sto zwycięstw jestem i stu klęsk trumnica:
Kędy nie sięgnę, ściśniętą prawicą
Jak kamień cisnę w lśniącą niebios szybę
Mój duch!
I zadrwię z dźwięku komecianych strzępów!
Szaleństwam brat!

Uśmiechu nie spędzisz mi z lica.
Straceńców brat!
Z własnego trupa wystrzelę drabiną
I pójdę!
I przejdę!
Przegonię przez wszystkie granice
Tam stanę, kędy nikt nie stanie;
Tam spojrzę, kędy nikt nie spojrzy;
Tam wzlecę w modlitewnym tonie,
Wybuchnę weselem i radość ogłoszę:
O, słońce, rodzicu mój!
O, słońce, moja matko!

Paryż, 1909.

JÓZEF MĄCZKA

chorąży Leg. Pol.
umarł na cholerę w Ekaterynodarze dnia 15 września 1917 r.

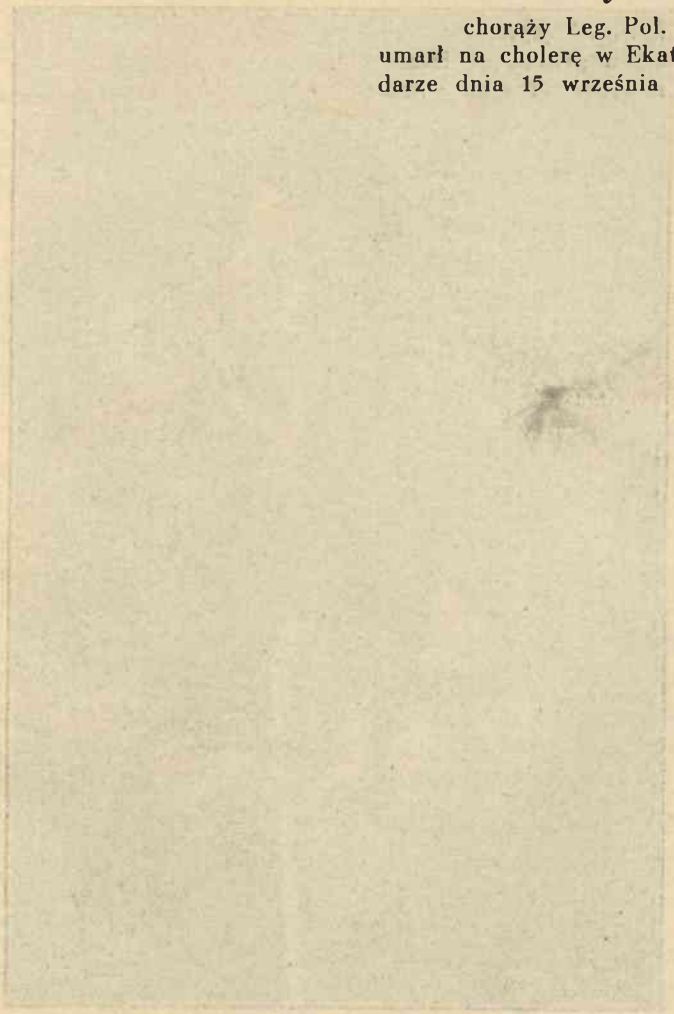

Zaś którzy wyszli z pośród Was
i krew oddali swą serdeczną,
niech będą wartą Wam słoneczną
po wszystek czas—po wszystek czas—
I niechaj granic polskiej ziemi
duchami strzegą płomiennemi...!

J. Mączka: Krwawy spadek.

Józef Mączka urodził się w Zaleszczykach, w Małopolsce. Do szkoły normalnej uczęszczał w Oleszycach, w pow. cieszanowskim, studja średnie odbywał w gimnazjum we Lwowie, w Sanoku i Rzeszowie. Będąc jeszcze uczniem, tłumaczył autorów obcych na polski i pisał wiersze oryginalne. W r. 1906 uzyskał w Rzeszowie świadectwo dojrzałości, poczem zapisał się na politechnikę we Lwowie. Studja wyższe ukończył we właściwym terminie. Napisał w tym okresie i ogłosił w czasopismach sporą wiązkę wierszy oryginalnych, niektóre z nich weszły do zbiorku z r. 1917; jednak do najlepszych jego utworów zaliczają się poezje, powstałe w czasie wojny: są tu istne perły, jak np. Nasze roty, Złote ognie, Kiedyś, Krwawy spadek i in.

Od r. 1912 należał do Związku Strzeleckiego.

Gdy wybuchła wielka wojna, wstąpił do legjonów. Służył najpierw w piechocie, następnie w II szwadronie 2 pułku ułanów. Brał udział w bitwie pod Mo-

łotkowem i Korolówką. Na początku r. 1915 został przydzielony do Komendy Leg. Pol. i jesienią tegoż roku otrzymał nominację na chorążego.

Przyszło przesilenie r. 1917. 2 pułk ułanów został internowany w Synowodzku — chor. Mączka zdołał jednak uciec. W przebraniu za kolejarza przedostał się do oddziałów polskich na Ukrainę. W pamiętnej bitwie pod Kaniowem prowadził szwadron do szarży i był zabrany do niewoli; lecz i tym razem udało mu się uciec z rąk niemieckich. Z wielu innymi legjonistami chciał się przedrzeć przez morze bolszewickie do Francji, gdzie się formowało wojsko polskie; zdołał jednak dotrzeć zaledwie do Ekaterynodaru — w drodze zapadł na cholerę i umarł w tem mieście w szpitalu na rękach przyjaciela

Pochowany w Paszkówce koło Ekaterynodaru.

KIEDYŚ.

Kiedyś... po latach — gdy ścichną te fale,
które nas w wirów porwały odmęty,
kiedy opadnie huragan krwi wzdęty
i łzy obeschną, i zmilkną już żale —

Ze czcią ujmiecie pogięte pałasze
i zawiesicie na ścianach wysoko,
i łza serdeczna zabłyśnie wam w oku,
gdy wam powiadać będą dzieje nasze...

I będzie pełen znów każdy zakątek
polskich relikwij i polskich pamiątek
I znowu ogniem zapłoną wam lice
w te narodowe żałosne rocznice —

i w niebo pieśni popłynie orędzie —
kiedyś — po latach, gdy nas tu nie będzie!...

Felsö-Visso. na Węgrzech. 20-I-1915 r.

CHRZEST.

(Mości p. Plutonowemu, na pamiątkę jazdy pod Korolówką).

W krwawym bitwy majestacie
brałeś dzisiaj chrzest ogniowy —
a był ogień piorunowy,
bitwa w całej grozy szacie...
Przez obłędne śmierci szlaki
szedłeś w ogień i wichurę —
a nad tobą jasne ptaki,
jasne ptaki ogniopióre,
pękających rakiet świsty,
niby gończe śmierci listy!

Czy wiedzieli kto zacz goni
i z jakiemi zleceniami?
Wszak — ci bili szrapnelami
z czterech armat — do dwu koni!
Aleś rwał, nie dbając na nic,
taki dumny dziś na koniu,
niby jasny kasztelanic —
niby dziedzic na swem błoniu!

I kłaniały ci się kule,
i szumiały niby zboże —
wiatr za tobą wołał czule:
„Szczęść ci Boże! szczęść ci Boże"!
— — — — —
W krwawym ognia majestacie
brałeś dzisiaj chrzest ogniowy...
Grackoś się nam spisał bracie,
Mości Panie Plutonowy!

Bortniki. dnia 6 marca 1915 r.

NA STARĄ NUTĘ...

Hej — dziś w mieście wre zabawa,
pary mkną mazura —
przyszła, przyszła wiosna krwawa,
jest tu naszych chmura!

Znów tak górnie, jak przed laty
młodych krew ponosi —
polski ułan zuchowaty
Krzysię w taniec prosi!

Dziewczę tłumi serca bicie
pląsać wciąż gotowe —
usta śmieją się w zachwycie,
usta koralowe...

A wtem w oczu jej bławatach
znagła blask ściemnieje:
tam za Nidą — tam w Karpatach
krew się bratnia leje!

Lube dziewczę nie smuć czoła —
niech tańczą ułany —
jutro trąbka nas zawoła
na śmiertelne tany!

Śmiej się dzisiaj — tańcz ogniście —
szalej hołubcami!
Jutro ujrzysz nas na „liście" —
zalejesz się łzami...

Piotrków, w czerwcu 1915 r.

Nam nie szumią nad głową sztandary,
ni proporce na wichrze rozwiane —
chyba czasem zaszumi bór stary,
chyba wichry na polach zbłąkane
triumfalne nam wieją fanfary!

Nam nie grają trębacze surmowi,
ani kotły nam biją zwycięstwo...
na ugorach —— wśród sinych pustkowi —
śmierć jest cicha i ciche jest męstwo —
i grób cichy — u mszystych wezgłowi...

Ani jasne nam w słońcu lśnią groty,
ani mundur zabłyśnie jaskrawie...
Idziesz — szara kolumna piechoty —
wędrujące w odlotach żórawie...

Jeno sen jest cudny, sen złoty,
sen Wolności — co marzy się sławie!

Jabłonka Borowa, w październiku 1915 r.

CIENIOM POLEGŁYCH.

(Nieznanym grobom na falach topieli).

Czekałaś ty ich — o ziemio — w tęsknocie
łąk nieobeszłych i lasów, i wód,
że przyjdą w krwawej ran swoich spiekocie
spełnić ostatni — życiotwórczy cud!

Czekałaś ty ich przez wieki o ziemio
w ponurym smutku twych jezior i błot —
że krew swą młodą w twych kwiatach rozplemią
i orlich skrzydeł przypomną ci lot! —

Czekałaś długo... i byłaś spragniona
ich białych kości, rzucanych na wał...
iżeś jest słaba — i nieutwierdzona
ni gór zaporą, ni granitem skał! —

I położyli swe ciała na głębie
kresowych jezior — i legli jak głaz,
stawiąc kamiennem męstwem zrąb na zrębie
fundament mocy ofiarnej — bez skaz!

I są, jak słupy graniczne z kamienia,
z bezcennych kruszców wbijanych do dna —
na których przyszłe wieków pokolenia
stawią gród Mocy — przeciw wrotom Zła!

Zwłok ich nie płaczą kurhany, ni groby —
spokojnym blaskiem słoneczna toń lśni,
bowiem na szlaku ich niemasz żałoby,
jeno jest triumf zmartwychwstałych dni!!!

Kulancze, dnia 18-X-1915 r.

PRZYSIĘGA.

Przysięgłem Tobie na cześć...
na honor — i na imię —
na honor... polskich żołnierzy!
We krwi i harmat dymie
Życie mi trzeba nieść,
i umrzeć, jako należy,
za Twoje Imię!

Przysięgłem Tobie na Królów Koronę
i na łachmany zhańbionych nędzarzy,
co szli ku Tobie w szkarłatach swej krwi,
że jako oni, do skończenia dni,
bronić Cię będą — cokolwiek się zdarzy..

Na matkę moją i na ojców cienie,
i na łez onych dziewczęcych bezmiary,
że mnie nie złamią, ni łzy, ni wspomnienie,
gdy przyjdzie krwawej dopełnić ofiary...
A iż nie spocznę na żywot bezpieczny,
przysięgłem Tobie... na spoczynek wieczny!
I oto idę na śmierć — i na życie!

Przysięgłem Tobie na anielski huf —
gwiazdy na niebie i słońce w błękicie..
Przysięgłem Tobie na duszę i Boga —
O ukochanie najczystsze mych snów,
Ojczyzno Droga!!!

Bogumin, w listopadzie 1915 r.

(Wyjątki).

...Zima nadeszła — i śnieżne zawieje
wieszały białe po stokach całuny...
Od sinych Karpat wiatr mroźny powieje
i w drzew napięte uderza wciąż struny —
Las się nam kłania wiechami białemi
i puchy miękkie rozściela po ziemi...

— A potem mrozów chwyciły nas kleszcze,
iż marzły warty w odległym parowie...
Śmiertelnych chłodów szły po ludziach dreszcze
i białych grobów urosło wnet mrowie —
sosnowym krzyżem mogiłki znaczone,
twarzami — w tamtą zaklętą wciąż stronę!

O góro, góro! Stawałaś nad nami
w snach — do białego podobna upiora!
Straż przed onemi sprawując bramami,
za które dusza ulatuje skora...
Byłaś nam strzygą upiorną — i zmorą!...
w snach wyobraźnię nawiedzając chorą!...

...A drogą szły precz z amunicją juki,
iż bój trwał wieczny w Zielonej okopach...
ciągły tam łomot słyszałeś i stuki
ciał, spadających po oślizgłych słupach —
koni i wozów druzgotanych jęki —
żeś zwracał oczy — od krwawej tej męki!

Powrotnym szlakiem szły rannych transporty,
których śmierć w białe nie przyjęła wrota...
Znał wróg nasz opór i — „sieryje czorty"
zwały nas Mochy — więc to nie dziwota,
że wóz szpitalny wciąż skrzypi na drodze, —
że tam — bez jęku — człowiek cierpi srodze!

Nieraz w noc ciemną — na leśnem pustkowiu,
gdy wiatr nad wozem wydziwia swe harce —
przy wilczych ślepiów dalekiej latarce
ranny krzyż dojrzy — w mogiłki wezgłowiu...
więc siną ręką znak radosny czyni:
„bądź pozdrowiony... bracie... na pustyni"!

I śmielej w niebo spogląda znów potem —
i śle modlitwę przez szklane źrenice
za tych, co padli tam wspólnym pokotem
przy „kulomiotów" dalekiej muzyce —
za Polskę — siebie — za żywych w obozie —
i lżej mu — zdala — umierać na mrozie...

Na szczycie góry krzyż stoi wyniosły —
Golgoty naszej korona cierniowa...
Ręce żołnierzy nabożnie go wzniosły...
bagnetem ryte wyczytasz tam słowa.
...„Szliśmy przez góry, przez rzeki i wały
do Ciebie Polsko i dla Twojej chwały"!

I jest symbolem ten krzyż — świętej sprawy,
co weszła z nami w te góry i lasy —
szczytowym znakiem wielkiej czynów nawy,
czynów — co ponad przestrzenie i czasy,
przez sine morza — i przez Alp krawędzie
żywiły Polskę — i niosły ją wszędzie!...

...Pomniku — wyższy nad piramid czoła!...
...tak zadumany nad nami wysoko...
Tyś patrzał na nas — jak stróża Anioła
orędownicze — opiekuńcze oko —
Ty będziesz świadczyć o nas — w przyszłe wieki —
pielgrzymko synów naszych w czas daleki!

. . . . . .

Pod krzyżem stoi warta... Czasem w nocy,
gdy gwiazdy wzejdą na niebieskiej błoni —
żołnierz — ów tułacz bezdomny, sierocy,
pomarzy chwilkę oparty na broni —
w dalekich grzbietów wpatrzony widziadła,
na których tęskność księżyca usiadła...

Jakieś mu dawne zwidują się mary
w srebrnych konturach... tatrzańskie li szczyty?
...chat kalenice... czy gród jakiś stary —
Lwów... kiedyś — wrogom na zawsze odbity...
Marjackie wieże?

— — — — — — — — — —

Piotrków, 21 maja 1916 r.

A kiedy czarne piekieł moce
zdradziecki z tobą wiodą bój,
kiedy cię stłoczy zwątpień rój —
za bary z duchem się szamoce —

ty nie kryj w dłoniach bladej skroni
ani się w męce prochem ściel...
Ale karabin ściśnij w dłoni —
na okop wyjdź — i bierz na cel! —

Z nad bagien ciężka mgła powstaje...
w majakach błądzi chory duch —
hej — wyjdź z wedetą na rozstaje,
cały się zmień we wzrok i słuch! —

O nie dopuszczaj zwątpień w łono,
ani w rozpaczy ręce wiąż —
ale na patrol wyjdź szaloną —
pod druty czołgać się jak wąż! —

Cóż! — zamieć krwawa rządzi światem...
chciałżebyś w sercu spokój mieć? —
W noc ciemną z ręcznym pójdź granatem —
łuną wybuchów trupio świeć! —

Serceć się w krwawym skarży bolu,
iżeś zagubił drogi kres? —
pohulaj z śmiercią na przedpolu —
wnet ci obeschną oczy z łez! —

A jeśli wszystko jeszcze mało,
rozpogódź, bracie, dumną skroń —
to jedno jeszcze ci zostało:
Polakiem umrzeć — dzierżąc broń! —

A wiedz, że z szarych twoich kości,
rzuconych w polu — byle gdzie —
stawion jest pomost ku Wolności,
którą w przedśmiertnym marzysz śnie!..

Legjonowo, w styczniu 1916 r.

A to jest krwawy spadek Wasz
i krwią pisane ku Wam słowa:
Trzymajcie ziemi onej straż,
gdy przyjdzie zamieć piorunowa...
Nie dajcie szarpać ziemi łona,
gdy krwią dziś świeżą poświęcona!...

Zaś którzy wyszli z pośród Was
i krew oddali swą serdeczną,
niech będą wartą Wam słoneczną
po wszystek czas — po wszystek czas —
I niechaj granic polskiej ziemi
duchami strzegą płomiennemi!...

Legjonowo, w lutym 1916 r.

1. pułku piechoty legjonów.

Zaszumiał bór stary i zamilkł — jak mowa —
Słuchają wkrąg świerki — brodacze...
Przed chatą — w zagajach leśnego ostrowa —
Stanęła okołem muzyka pułkowa,
a czterej pośrodku trębacze...

Wzrok hardy ku chmurom odrzucą zuchwale —
wraz surmy na udach oparli...
I stoją tak świetni w słonecznym upale,
jak dawne heroldy we słońcu i chwale —
w sen dumnych posągów zamarli...

Aż razem do góry uniósłszy puzony,
ze spiżów dobyli moc ducha!...
A w chacie — tam w głębi — myślami schylony,
Wzrok tęskny w dalekie kierując gdzieś strony,
Brygadjer, Brygadjer ich słucha...

(Motyw fanfary).

I.

Hej! — surmy wzwyż!
niech w lasów głąb
mocarny bije krzyk!
Niech dźwięczny spiż
rozgłosem trąb
nasz hardy sławi szyk!
To my — to my — kadrowy pierwszy huf —
z zamarłych snów do życia wstali w krwi!!!

II.

Kordonów słup
strącilim w loch,
Wolności przednia straż!
Przez krew, przez proch
po sławy łup
gościniec w słońcu nasz!
To my — to my — z kieleckich szarych dróg
na ziemi próg miotali Czynu skry!!!

III.

Za nami kurz
ogniowych burz —
bagnetów krwawy tan!...
gdzie Lasek dni
Anielin w krwi
i złoty Konar łan!
W purpurze ran weselny krok
w strzeleckiej piersi takt...
zasłalim trakt tysiącem zwłok —
tysiącem krwawych zwłok!!!

. . . . . .

Tu surmy ku ziemi opuszczą trębacze —
oparli je z mocą u kolan...
A pogłos spiżowy wśród borów kołacze,
i echem zawodzi — i echem gdzieś płacze —
wracając od lasów — od polan...

I skarży się ziemi, iż zliczył kurhany
rozsiane w dalekiej krainie...

Zaszumiał bór stary ciemnemi konary
i drzewa się wokół pochylą jak łany —
Szczytami żałobny szum płynie...

Umilkli trębacze... i myśl ich zmącona
we mglistej gdzieś ginie oddali...
A razem do góry podniósłszy ramiona,
pieśń Mocy i Chwały wezbraną wród łona,
fanfarę zwycięstwa zagrali:

IV.

Hej — szlakiem pól
przez krew — przez ból —
za nami — z nami w lot!..
gdzie Złoty Róg
z powietrznych dróg
zwycięski wiedzie miot!...
w radosny szał
ginących ciał
wśród młodych życia kras —
na nowe dni
wśród bryzgów krwi,
o Wodzu — prowadź nas!

W bagnetów tan
przez zbożny łan,
przez kwieciem strojny las —
na siew — na plon —
na wczesny skon,
o Wodzu — prowadź nas!

Na słońca brzask
wśród Sławy łask

w purpurze krwawych ran —
na bój — na lot
na krwawy miot
o Wodzu — prowadź nas!...

. . . . . .

Zamilkną trębacze — i surmy mosiężne
wraz każdy ku udom nakłoni...
Głos leci — polata — przez echa okrężne —
i woła — i budzi wkrąg hufce orężne
„do broni — powstańcie do broni!..."

A w leśnej stanicy — myślami schylony
wódz — mocy orężnej — i ducha —
wzrok jasny w słoneczne kierując gdzieś strony,
w głąb tajnych przeznaczeń wsłuchany, wpatrzony,
Brygadjer — Brygadjer ich słucha...

Więc las się pokłoni — i szumieć poczyna —
w poszumach przed chatą się chyli...
snać pojął — że oto jest chwila jedyna,
że dana jest Mocy i Chwały godzina,
i wielkość przydana tej chwili!...

Legjonowo, w czerwcu 1916 r.

ROZKAZ.

Żołnierze!

Przyzwijcie wszystkie nadzieje!
Przyzwijcie wszystkie wiary,
i święćcie niemi miecze!...
O to się piszą dzieje:
Nad Polską dymią pożary —
w pożarach Wolność dnieje!...
Krew, krew, co z ran wyciecze,
dopełni dzisiaj miary!...

Bagnetem piszcie kartę,
krwią — dziełem waszych rąk...
To pismo niezatarte
w gromowej dziejów burzy
Bóg gromem swym powtórzy —
pioruny biją wkrąg!

Żołnierze! — Dzieci Bellony!
w śmiertelne boje idący,
srożcie się jako lwi!
Nad Polską sztandar spłoniony,
zwycięski, triumfujący:
Chorągiew Waszej krwi!

Legjonowo, w czerwcu 1916 r.

DO PAMIĘTNIKA CHORĄŻYNY.

W. G.

Kiedy powróci mój pan chorąży
z dalekiej wojny w domowe progi...
gdy na nos orli binokle włoży,
by wzrok w te karty utopić srogi,
może mijając tu rym po rymie,
w końcu i moje napotka imię...

Przeczyta, wspomni — jakoweś mary...
niby dalekie armat odgłosy...
Kapral... żołnierskie śpiewki... pogwary...
wspomni... poduma... pogładzi włosy —
i — by łzę ukryć, schyli się nisko,
dodając: „niezłe było chłopisko"!

A kapral wtedy w dalekim grobie,
ręce na „baczność" mając po sobie,
rzecze mogilnych tonem odmętów:
„Panie chorąży — bez komplementów!!"

(w polu — marzec 1915 rok).

Lecą, lecą ognie złote,
lecą po niebie,
na uciechę — na pieszczotę
dla ciebie to, żołnierzyku, lecą —
dla ciebie!
Masz, chłopczyku, gwiazdkę z nieba—
czegoż więcej ci potrzeba?!...

Lecą, lecą gwiazdy złote
w ognistym snopie —
klęknij sobie żołnierzyku,
klęknij w okopie!...
i paciorek tobie grzecznie
zmówić trzeba! —

Bo gdzie spadną gwiazdki złote,
wnet ukoisz ból, tęsknotę,
pójdziesz do nieba, chłopczyku —
pójdziesz do nieba.

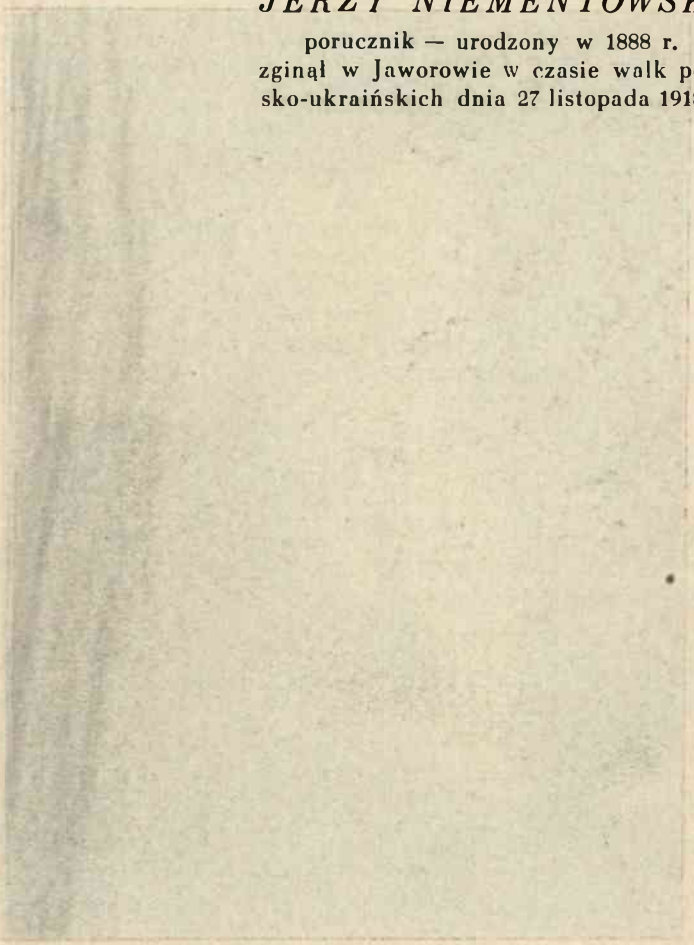

JERZY NIEMENTOWSKI

porucznik — urodzony w 1888 r.
zginął w Jaworowie w czasie walk polsko-ukraińskich dnia 27 listopada 1918 r

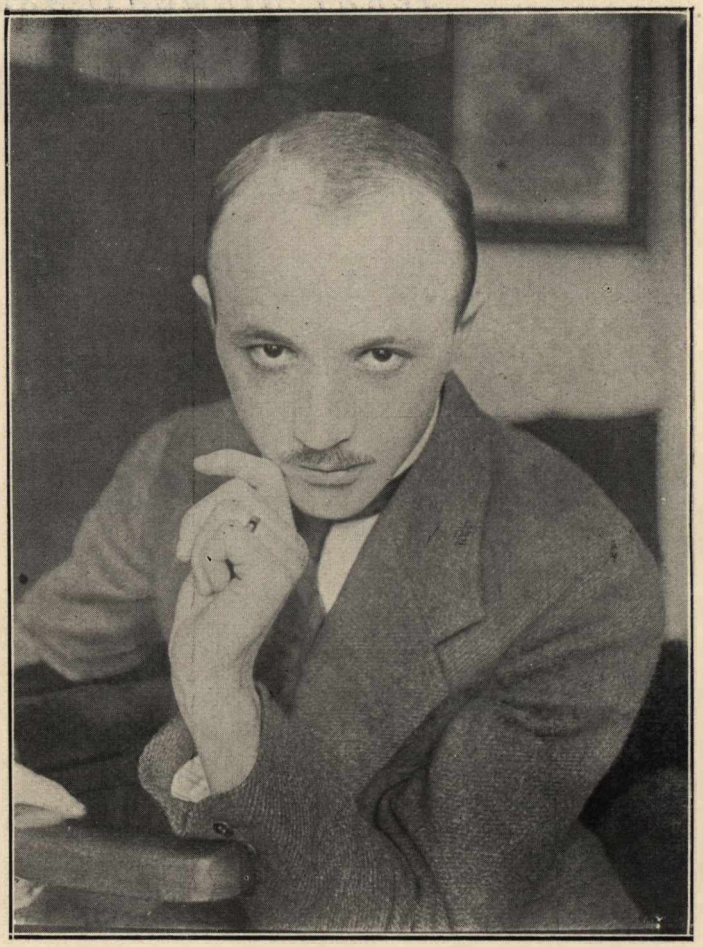

„Było to... Dzieci dwoje za rączęta
Wziąwszy się, wyszły z domu wczas, przed świtem...
Tam wdali ziścić się ma bajka święta,
Która w serduszkach gra im cudnym mitem...
Przez łąki w rosach lecą, jak ptaszęta,
Naprzeciw słońcu... Z siódmym górskim szczytem
Spełni się wszystko" — Tutaj bajkę skracam.
Nie idźcie dzieci! Ja — stamtąd — powracam...

J. Niementowski: List.

Jerzy Niementowski urodził się w Solcu, w pow. drohobyckim, w Małopolsce. Po ukończeniu gimnazjum wyjechał do Krakowa, gdzie się zapisał do Akademji Sztuk Pięknych. Służbę jednoroczną w wojsku austrjackiem odbył w Wiedniu. Artysta malarz i poeta-marzyciel — wiersze swoje ogłaszał przed wojną w krakowskiej „Krytyce". Do druku przygotował tom poezyj p. t. „Mieszkańcy błękitu"; lecz nie zdążył go wydać — w czasie walk polsko - ukraińskich został zamordowany przez Rusinów w Jaworowie, „jakkolwiek był synem ubóstwianej przez siebie Matki-Rusinki", poetki ruskiej, znanej pod pseudonimem Ulany Krawczenko.

Piszę i boję się, że mi w tym liście
Wypadnie z Tobą rozstać się na długo.
Jest czas, gdy strąca wiatr z drzew blade liście,
Jest taki bezsłoneczny dzień; szarugą
Przygnane czarne ptaki z pól, okiście
Bezlistnych drzew obsiędą czarną smugą
I swe pogrzebne krzyki, płacze mnisze,
Podzwonne jakieś straszne szlą wdal, w ciszę.

Jest taki dzień, gdy sine niebo blednie;
W ten czas samotne błądzą polem dusze,
Coś gna je z domu precz w ten dzień, bezwiednie
Z bezbrzeżną swą tęsknotą, w jakiejś skrusze
Błądząc, szukają liści, które we dnie
Opadły z drzew strząśnione w zawierusze,
Podnoszą blady liść do bladej twarzy —
Całują, pieszczą... Znam ja tych grabarzy.

Są takie dni, są noce czarne, głuche,
Kiedy z kasztanów, z brzóz mych, z lip, z czereśni
Zlatują liście blade, zwiędłe, kruche,
Nie opłakane nikim. — Och, bez pieśni
W mogilny dół, w jesienną zawieruchę,
Bez łkań, bez żalu. — A wszakże się nie śni
Tam nowej wiosny, słońca ni błękitu —
Tak bezpowrotnie—w przepaść—w dół—ze szczytu.

Ta myśl mnie jedna dzisiaj obłąkała,
Niedługo przyjdzie dzień i zejdę z świata,
Żeby choć ziemia rosą łez płakała

Na mym pogrzebie, we mnie tracąc brata,
Żeby, jak ja liść każdy, — mnie żegnała.
W smutku mi schodzą moje młode lata,
Na pogrzeb idę, lub z pogrzebu wracam,
Co dnia coś tracąc, w smutku się wzbogacam.

Sny moje grzebię, młode, cudnie śnione,
Sny moje, których mi nie spełnia życie.
Słoneczne sny me — wiem — śmierci sądzone,
Śmierci wieczystej — jeszcze w swym niebycie,
Sny moje, sny-bajki, raje utracone,
Sny te o słońcu, o szczęściu i szczycie,
Grzebię je codzień... każdy w swej mogile...
Już cmentarz cały... Sny, tyle was — tyle...

Niechby choć ziemia, gdy ja spocznę w grobie,
Kiedy odejdę, smutną była po mnie
I słońce złote niech będzie w żałobie
Za kirem chmur, za mgłą, blade ogromnie.
I kwiaty z żalu niech więdną na globie,
I niebo niechaj płacze nieprzytomnie.
Na grobie wdowa po mnie, brzoza biała
Niechby warkocze długie rozczesała.

Bo ukochałem wszystko wkrąg, co kwitnie,
Co się rozrasta bujnie i dojrzewa.
Wszystko, co żyje pięknie, górnie, szczytnie,
Co wonie sączy, rosą płacze, śpiewa,
Co wgórę strzela, jako kłosy żytnie,
Co się w tęczowej krasy przyodziewa,
Co jest słoneczne, dziwne, roześmiane,
Wszystko co takie moje i kochane.

Bo ukochałem ziemię kwietną majem,
Gdy się przepychem kwiecia pyszni, stroi;
Bo ukochałem ją z szumnym ruczajem,
Z krzyżem, co wśród rozłogów czarny stoi,
Z słowiczą pieśnią płynącą wdal jarem,
Z sierpem księżyca, ...Wszystko moje, moi!
Siostry me, bracia, córki moje, syny!
Ludzie — konwalje — czeremchy — jaśminy —

Bo ukochałem łąki, łany pszenne,
Kiedy się w rannem słońcu złocą złote,
Ciszę w południa upalne, płomienne,
Gdy sierpy śpiewną porzucą robotę,
I noce krótkie, gwiezdne i bezsenne,
I nocy srebrnych czar, sny i tęsknotę,
I to błądzenie gwiezdnym, mlecznym szlakiem,
Gdy żal, że się człowiekiem jest — nie ptakiem...

Bo ukochałem krasy pól przedzgonne
I smutek beznadziejny — nikt nie zbawi —
I rezygnację drzew — stoją bezstronne
I liść po liściu spada, ziemię krwawi —
A ponad ziemią żegnalne podzwonne
Górą ciągnących, odlotnych żórawi —
Na sen — na sen — ukojny sen mogilny — —
Tak spoczniesz ziemio, jak człowiek bezsilny.

Bo ukochałem ziemię — tę znużoną,
Spowitą w całun śnieżny, czysty, biały,
Cichą, od smutków doczesnych zwoloną —
Był czas, gdy drzewa cudnie zakwitały,
Był czas, gdy czuła się uszczęśliwioną,
Gdy się nadzieje i sny pospełniały —

A dziś nie cieszy jej już nic — nie smuci —
Ukojny sen. — Lecz życie wróci — wróci...

A my, gdy przyjdzie czas, nasz dzień ostatni,
Gdy nam na piersiach blade ręce złożą —
To wtedy — powiedz mi — mój Duchu bratni —
Ty wierzysz w oną wielką Łaskę Bożą,
Że my zwolnieni od życiowej matni,
Od smutku wolni, co gniótł nas obrożą,
Na szczęście zbudzim się po śnie — po zgonie,
Czyż może — może tam — po tamtej stronie —

Czy nas słoneczne łąki tam czekają,
Czy noc bezbrzeżna, czarna, niema, głucha,
Czy nasze oczy tam się rozpoznają,
Czy ty nie poznasz mnie, ja twego Ducha,
Czy tam nas tęcze i kwiaty umają,
Czy może bajką jest to, co się słucha
W kościołach naszych — bajki niedorzeczne —
Powiedz—ty wierzysz w szczęście wielkie, wieczne?

Bo jeśli gasnąć tak, tak się zatracać,
Jako po nocy głuchej, ciemnej echa —
Cóż? Poco żyć, by w smutki się wzbogacać
Wiedząc, że nam się już nic nie uśmiecha —
To lepiej takie marne życie skracać,
Bo cóż mi to za szczęście i pociecha
Tak w świecie gubić się, jak kropla w morzu,
Jak tony pieśni gubią się w przestworzu.

A jam tak czekał wielkiej chwili życia,
Od dziecka zawszem żywił tę nadzieję —
Niech mi przyśpieszy raz coś serca bicia,

Niech mną coś wstrząśnie — ja się nie zachwieję!
Jam na to siły skarbił od powicia,
Niech ktoś mnie w noc obudzi krzykiem: „dnieje!
Wstań! Oto wokół płoną widnokręgi!"
— Wstanę odwagi pełen i potęgi!

O wielkie, śnione, przeogromne szczęście!
Gdyby tak pojąć raz z tą niezłomną wiarą,
Jako ci ongiś w zbroic złotych chrzeście,
Za naszą świętą prawdę i za starą!
Gdyby tak w walce, w boju krwawić pięście,
Stugłosym zewem, zwycięską fanfarą
Przez pola grzmieć, nieżywe serca budzić
I wieść je w bój! I znoić się i trudzić!

I paść z przeszytą piersią. Z twem imieniem,
Z imieniem twem na ustach i z uśmiechem.
Żyć krótko, pięknie i jasnem wspomnieniem
Trwać potem długo, długo, dobrem echem.
Oto, co stało się dziś mem marzeniem —
Grzechem śmierć kusić? Och, to nie jest grzechem,
To jest tęsknotą krwi, co płynie we mnie —
Rycerska krew — zabłysnąć — i zejść w ciemnie.

Myślisz, że to jest przeciw sobie zbrodnia?
Może to — może... Zamiast tutaj ostać
I walczyć długo, wytrwale i co dnia.
Sto razy upaść, by sto razy powstać,
Chcieć spłonąć nagle, cudnie jak pochodnia,
Nie mogąc walczyć z życiem — życiu sprostać?
Myślisz, że to jest przed życiem ucieczka?
Bardzo ciekawa — och! i długa sprzeczka.

Smutne jest życie — beznadziejnie smutne,
Nadzieje śpiewać miałem — smutki niosę.
Wygnańce z raju my — Duchy pokutne,
Ciernie nam krwawią nasze stopy bose,
A boskie słońce w łaski nie rozrzutne.
Smutki nas gną, jak zboże złotokłose
Orkany wichr, gdy polem wdal przelata,
Tak smutek wdół nas chyli i przygniata.

Idziemy cieniem życia — po ugorze,
A gdzieś promienne słońce może świeci
I kwiatów wonnych kwitnie wielkie morze,
A my nie rwiemy wonnych kwiatów — Dzieci...
A może właśnie zrywać kwiaty boże
Wtedy, gdy kwitną... bo gdy czas uleci...
Idziemy cieniem życia—czemu—czemu?!
A może właśnie żyć po szalonemu.

I kwiaty rwać i szaleć — nie żałować,
Upojne, wonne kwiaty! Niechaj trują!
Rozkoszne usta całować, całować,
Zcałować smutek z ust, niech nie sumują!
I póki młodość w nas, swe szczęście kować. —
Tak, jak żelazo, gdy gorące — kują!
To może droga jedyna prawdziwa,
W ogniu kuć szczęścia swojego ogniwa!

Bo cóż nam życie więcej daje
Ponad te szały krótkie, upojenie,
Kto kiedy widział z nas wyśnione raje?
Może jedynym rajem — to omdlenie
W krótkie, w przelotne, kwietne życia maje,
W wężowym splocie... A sny? a marzenie?

Na starość marz! — Wspominaj ramion sploty
I pocałunki dawne i pieszczoty.

Są skony nagie, cudne, w ramion splocie,
Są skony z cudnych ust — w to dobrze wierzyć.
W miłosnym ogniu, w płomiennej pieszczocie,
Można się zetlić, spopielić i nie żyć!
Skon! Przecudny skon! Taki się helocie
We snach uśmiecha szczęściem. Życie przeżyć
Niewolne, długie, szare — poco? czemu?
Lepiej raz skonać pięknie — szczęśliwemu!

Ale tu skończę już. A na rozstanie
Opowiem bajkę ci, niedługą wcale —
Kiedyś słyszałem ją i pozostanie
Długo w pamięci mej. Jakieś w niej żale,
Jakieś w niej smutki płaczą — narzekania.
A słowa w bajce grają, jak opale
Smutkiem się mienią. Koniec niespodzianie —
Och, nie! Smutnego końca ci nie powiem,
Boby cię bajka przygniotła ołowiem!

„Było to... Dzieci dwoje, za rączęta
Wziąwszy się, wyszły z domu wczas, przed świtem...
Tam wdali — ziścić ma się bajka święta,
Która w serduszkach gra im cudnym mitem...
Przez łąki w rosach lecą, jak ptaszęta —
Naprzeciw słońcu... Z siódmym górskim szczytem.
Spełni się wszystko"... Tutaj bajkę skracam.
Nie idźcie dzieci! Ja — stamtąd — powracam—

— A teraz żegnam cię. A co się stanie
Niedługo z tobą, ze mną — wszystko jedno!

Czekajmy. Może nagle, niespodzianie
— Ziemie i morza zadrżą — słońca zbledną...
Cha! cha! cha!... Śmiej się! śmiej się... Zmartwych-
wstanie?!
Chór Duchów wielkich? Na mękę spowiednią?
A my?... Och, nie na spowiedź staniem razem!
W pierś Bogu ciężkie słowa ciskać głazem!

— Więc zaczniesz ty! Wpierw mów swych ócz
[rozpaczą,
Niech z oczu twych tak czysta, jak z zwierciadła!
Niech ócz twych wstaną skargi! Niech wypłaczą
Ten krzyż, pod którym zgięłaś się i padła!
Twe wielkie smutki, twą dolę żebraczą,
Która cię nawet z nadziei okradła!...
Lecz nieugięte oczy miej i dumne,
Jakieś za życia miała — aż po trumnę!

A po spojrzeniach słowa — słowa żywe.
Mów prawdę — to wystarczy — że sierocie
Odebrał matkę, gdy inne szczęśliwe
Żyły w najsłodszej, matczynej pieszczocie,
To będą słowa straszne, bo prawdziwe,
Powiedz, jak ciebie skrzywdził, krzywdził krocie,
Powiedz, że swojej matki nie pamiętasz,
Tyś na świat przyszła—ją—wzięli na cmentarz,
A potem swoje mu opowiedz życie...

. . . . . .

. . . . . .

Potem ja stanę z wzniesioną przyłbicą,
Błękitny rycerz, och, ja wiem, co powiem!
Stanę naprzeciw z słowem — błyskawicą,

Ja Go przytłoczę słowem, jak ołowiem,
A kiedy inne Duchy to pochwycą,
Kiedy donośnym głosem wkrąg rozpowiem,
Że on się słania w proch, traci swobodę —
W lot staną przy mnie—i ja ich powiodę!...

. . . . . .

Ach, to są słowa w gorączce pisane...
I smutny jestem i śmiertelnie blady —
Więc może smutkiem wiersze są wezbrane
I mają w sobie coś z ciężkiej ballady...
Rzuć słowa te, jak listy przeczytane
I dalej żyj bez wszelkiej z życiem zwady.
Spokojnie żyj, szczęśliwie żyj i długo,
Tylko — nie wychodź na pola szarugą...

Jutro, gdy słońce wzejdzie i zaświeci
Odwołam może wszystko i jak wczora
Żyć będę dalej — i śladem tych dzieci
Poniesie mnie nadzieja moja skora —
I smutek może ode mnie odleci...
Nie wiem... Lecz dzisiaj dusza smutkiem chora
Włóczy się kędyś w zmarłych liści chrzęście
I żegna smutne, beznadziejne szczęście.

ROMAN FELDSZTEIN-FELSZTYN

plutonowy O. K. M. baonu radomskiego urodzony dnia 4 listopada 1901 r., poległ pod Obroczynem dnia 19 kwietnia 1919 roku.

...woń — pieśń ostatnią wyleję
I niemo, cicho zwiędnie...
Wyniosły, samotny kwiat.
R. Felsztyn: Samotny kwiat.

Roman Feldsztein-Felsztyn urodził się we Lwowie. Był z pochodzenia Żydem. Do gimnazjum VIII uczęszczał w rodzinnem mieście. W r. 1915, mając lat zaledwie czternaście, chciał wstąpić do Legjonów, żeby walczyć o wolną, niepodległą Polskę. Z trudem udało się go matce wtenczas zatrzymać. Nie mogąc służyć w wojsku, rzucił się do pracy w P. O. W. — gromadził i organizował kolegów gimnazjalnych, starał się o podręczniki, wydobywał broń. Tak dotrwał aż do czasu zamachu Ukraińców na Lwów. Jeden z najpierwszych porwał się i stanął wtedy do walki. Cytadela lwowska, Poczta, Dublany, Peresenkówka, a potem Wrocow, Karaczynów, Bartatów — oto rycerska droga krwawa, którą szedł z bagnetem w ręku.

Aż doszedł do swego kresu — pod Obroszyn.

Dzieckiem o chorem sercu było to chłopię. Więc gdzieś w przerwie między jedną bitwą a drugą wypisał mu doktór świadectwo. Miał z niem pójść na tyły do szpitala; już był gotów do drogi. Ale zagrała trąbka na alarm. Młody, chory żołnierz głęboko schował do tornistra lekarski nakaz i zameldował się do szeregu. Poszli na Obroszyn.

Pod Obroszynem dosięgła go kula.

CZY SIĘ MNIE TAK INO ZDA?...

Wdali ciche słyszę granie,
Niby liści kołysanie...
Coś tam szemrze wdali... gada...
Niby nad niedolą biada...
Czyto gaj tak smutno gra?
Czy się mnie tak ino zda?

Wdali ciche słyszę granie,
Niby kłosów kołysanie...
Coś tam szemrze wdali... gada...
Niby nad niedolą biada...
Czyto gaj tak smutno gra?
Czy się mnie tak ino zda?

Wdali dziwne słyszę granie,
Niby skrzydeł szamotanie...
Pierwszy raz w mych uszach gości!
Nie jestże to śpiew — Wolności.
Czyto świt tak cudnie gra?
Czy się mnie tak ino zda?

31 VII 1916.

Błogosławionaś ty o wojno święta,
Co wolność niesiesz narodowi memu!...
Bo choć w krwi spływasz i w krwi ty poczęta,
Ludowi życie niesiesz gnębionemu.
Wypływa polska — z morza krwi — Korona.
Błogosławiona...

Tysiące walczą i tysiące giną
O wolność wszyscy swojego narodu,
Licznemi rzeźmi pola bitew słyną,
Ziemia pochłania krew swojego płodu.
Lecz chociaż kirem okrywasz imiona —
Błogosławiona...

4-8 1916.

JAK TE WCZORAJSZE KWIATY.

Wokoło mnie na ziemi
Opadłych płatków seć,
A wiatr pomiata niemi, —
Żółknieje biała płeć.

A tak tu cudnie wkoło,
Tak kwitnie wszystko wkrąg,
Tak śmieje się wesoło
Niepomne śmierci rąk.

A myśl się ma unosi
Gdzieś w ideałów świat —
I tam się wszystko wznosi,
By zwiędnąć, jak ten kwiat.

I ludzkich snów bławaty
Gdzieś cichy znajdą grób,
Jak te wczorajsze kwiaty,
Leżące u mych stóp.

20-5 1917.

ODWIECZNA NOWINA.

Zrodziła się dzisiaj we mnie
Wielka, odwieczna nowina.
Gdy wzrokiem objąłem ziemię
Miłującego syna.

Z mądrością, męstwem Jazona
Stoję w zarania świecie,
Słodko wyprężam ramiona
I wołam: witaj mi Życie!

15 IV 1919.

Chciałbym mieć w duszy jakąś wielką siłę
I taką dobroć mieć w niej niezmierzoną,
I taką wiarę, co budzi mogiłę,
I taką mądrość w myślach niezgłębioną,
I takie ognie rozpalić wieczyste,
Jakieś rozpalił kiedyś Ty, o Chryste!...

Kocham Cię, Chryste, i miłuję Ciebie
Za cały żywot Twój i Twoje słowa,
Za Twoją piękną, cudną baśń o niebie,
Za to, że dusza Twa, jak kwiat, liljowa,
I żeś czcić kazał, co piękne i czyste —
Za to miłuję Cię i kocham, Chryste!...

Miłuję Ciebie za żywot cierniowy
I za Twój spokój i Twoją moc ducha,
Za to, żeś nigdy nie uchylił głowy,
Że Cię nie tknęła żadna zawierucha —
I za to światło z Twej krwi wiekuiste
Miłuję Cię i kocham Cię, Chryste!...

O wskaż mi, Chryste, drogę ducha mego,
Co chcę iść w długą, jak Twoja, wędrówkę,
I ludziom pokarm dać słowa żywego
I nową Ducha chcę zdobyć placówkę,
A z życia zebrać wszystko, co cierniste...
Wskaż mi i naucz, jako iść mam, Chryste!...

Naucz mnie, Chryste, jak mówić do ludzi
O wielkiem, świętem prawie przebaczenia,

Kiedy się śpiąca dusza ludzka zbudzi,
Aby wejść mogła na drogę zbawienia
I rzucić drogi krzywd i nieszczęść mgliste —
O, nauczże mnie i powiedz mi, Chryste!...

I przychodź do mnie czasem, Chryste Panie!
Marą świetlaną czasem zjaw się u mnie!...
Abyś usłyszeć mógł mej duszy łkanie
I smutki, co się rodzą w sercu tłumnie,
Kiedy nadchodzą dni ciche i dżdżyste —
— Bym mógł na piersi Twej zapłakać, Chryste!

15-IV-1919

BOGUSŁAW SZUL-SKJÖLDKRONA

major Szt. Gen.
urodzony dnia 13 listopada 1899 roku
poległ pod Czetwertynówką na Ukrainie
dnia 27 maja 1920 roku.

Lećże koniu poprzez błonie,
Z siodłem do domu,
Hej-hej! — o mym zgonie
Nie mów nikomu!
B. Szul: Lśnią rabatów jasne zorze.

Bogusław Szul-Skjöldkrona urodził się w Lipinkach, w okolicy Przemyśla, w Małopolsce, gimnazjum ukończył w Krakowie, medycynę studjował przez rok jeden na Uniwersytecie Jagiellońskim; od r. 1911 należał do Drużyn Strzeleckich.

W sierpniu r. 1914 zaciągnął się do legjonów i dnia 16 t. m. z I bataljonem 3 p. p. wyruszył w pole. Ośmnastego października t. r. dostał pluton wraz z nominacją na chorążego, a 11 listopada awansował na podporucznika. Brał udział we wszystkich walkach i potyczkach swego pułku. 17 czerwca 1916 r. w bitwie pod Gruziatynem na Wołyniu był ciężko ranny. Po wycofaniu legjonów z frontu, ppor. Szul stał z 3 p. p. w Warszawie; ukończył tu kurs szkoły Szt. Gen., następnie był mianowany adjutantem pułku, a 21 maja t. r. objął dowództwo 5 kompanji. W styczniu r. 1918 został odkomenderowany na kurs gazowy do Wiednia.

W okresie traktatu brzeskiego i wynikłego stąd kryzysu bawił na urlopie w Krakowie. Na wieść o przejściu

II brygady pod Rarańczą wyruszył samotrzeć ku granicy i przedostał się na Ukrainę. Bił się pod Kaniowem; po bitwie udał się na Murman; był szefem sztabu oddziału murmańskiego, a dn. 2.VII.1918 r. awansował na majora. W końcu t. r. z transportem oficerów oddziału murmańskiego, przez Anglję, pojechał do Francji. Jako zdolny oficer został powołany do Naczelnego Dowództwa w Paryżu, skąd z pierwszym transportem wrócił do Polski.

Z okresu walk legjonowych pochodzą wszystkie niemal utwory poetyckie B. Szula. On jeden z poetów tych krwawych czasów do piosenki wprowadził pierwiastek humoru; był też lubiany przez szarą brać żołnierską, a niektóre jego pieśni śpiewały wszystkie trzy brygady i cała młodzież polska.

W Polsce major Szul objął stanowisko szefa sztabu grupy operacyjnej gen. Prószyńskiego. Z tym oddziałem zajmował Pomorze w r. 1919, poczem na własną prośbę został odkomenderowany do grupy gen. Iwaszkiewicza. Jako dowódca bataljonu brał udział w wyprawie na Kijów. Z wyprawy tej nie wrócił.

27 maja 1920 r. poległ w walkach o m. Czetwertynówkę, nad Bohem.

Pochowany w Warszawie.

DUMA BRYGADY KARPACKIEJ.

Przez trudy i znoje, przez walk krwawych burze
Z pogardą dla śmierci, wesoła, junacka,
Wciąż idzie niezłomna, w krwi własnej purpurze,
Brygada żelazna karpacka.

Nie zegnie jej, póki podźwignie dłoń znamię,
Ni podłość moskiewska, ni buta krzyżacka!
W bój ruszy zacięty i wroga przełamię
Brygada żelazna karpacka.

Tak, chociaż do Polski ciałami szlak ścielem,
Choć nieraz pięść wroga śmiertelny cios zada,
Znów stanie potężnym krzywd naszych mścicielem
Żelazna karpacka brygada.

I póty bojowych nie zwinie proporców,
I póty spokoju, ni chwili nie zazna,
Aż wygna z Ojczyzny ostatnich zaborców
Brygada karpacka żelazna.

Archangielsk, grudzień 1918

DWOROWI MOŁOTKOWSKIEMU.

Wszystkie się pola zazieleniały,
Śnieg potokami z gór spływa —
Od mołotkowskiej świeżej mogiły,
Jakiś się tętent odzywa.

I jakiś dziwny strach ludzi bierze,
Trwożnie słuchają zdziwieni,
Czyto z mogiły wstali żołnierze,
Co legli przeszłej jesieni.

I słychać tętent, słychać na moście
Tam od Potoków, od boru,
Pewnie tu jadą zdaleka goście
Do Mołotkowa, do dworu.

Jadą, i chociaż znużeni drogą,
Jakże wesołe ich miny,
Bo się tu zawsze spodziewać mogą
Prawdziwie polskiej gościny.

Tu nie szczędzono, trza wspomnieć o tem,
Przyjęcia, dachu ni chleba,
Tego nie można zapłacić złotem —
Piosnką zapłacić trzeba.

Na Mołotkowa tem polu długiem,
Wysoko zboże powschodzi,
Bo jest zorane granatów pługiem,
A żyzne krwią polskiej młodzi.

PRZEBUDZIŁ WIOSKĘ.

(Śpiewka).

Przebudził wioskę wśród sadów
Szczęk broni i strzałów huk —
Mściciele przyszli pradziadów,
Rozbity precz umknął wróg.
Precz umknął wróg rozproszony
Zwycięsko trąbka gra,
Przybyły do wsi legjony
Grzmią trąbki: tratatata-trata-trata.
Przybyły do wsi legjony,
Grzmią trąbki: tratatata-trata-trata.

Bagnety błyszczą, rżą konie,
Lśni orła srebrzysty znak,
Dziewczęciu serce drży w łonie,
Jak trwożny, schwytany ptak.
Lecz los żołnierza niestały,
Wciąż dalej, dalej gna,
Na alarm trąbki zagrały
Złowrogo: tratatata-trata-trata.
Na alarm trąbki zagrały
Złowrogo: tratatata-trata-trata.

Odlecą ptaki, tułacze
Wśród życia burzliwych fal,
I serce tylko zapłacze,
I tylko zostanie żal.
Nadeszła chwila rozstania,
Snów złotych pierzchła mgła,

Już echo tylko podzwania
Z oddali: tratatata-trata-trata.
Już echo tylko podzwania
Z oddali: tratatata-trata-trata.

Kwiatami łąki się śmieją,
Wieś tonie wśród wonnych bzów,
A dziewczę żyje nadzieją,
Że szczęście powróci znów...
I słuch wytęża wśród ciszy,
Bo w niej tęsknota łka...
A może z dali usłyszy
Dźwięk znany: tratatata-trata-trata.
A może z dali usłyszy
Dźwięk znany: tratatata-trata-trata.

LŚNIĄ RABATÓW JASNE ZORZE.

(Na wzór starej piosnki).

Lśnią rabatów jasne zorze —
Ułani jadą,
Hej-hej! — wielki Boże —
Z wielką paradą.

Słońce im promienie złote
Posyła w dani —
Hej-hej! — na ochotę,
Jadą ułani.

Jeden mówi do drugiego:
Wianeczek płynie —
Hej-hej! — patrz kolego,
Hań po głębinie!

Drugi mówi do trzeciego:
Wstrzymajmy konie!
Hej-hej! — stój, kolego,
Dziewczyna tonie.

Trzeci ułan — chłopię młode —
Nim kto ochłonął,
Hej-hej! — skoczył w wodę
I sam utonął.

Lećże, koniu, poprzez błonie
Z siodłem do domu,

Hej-hej! — o mym zgonie
Nie mów nikomu!

Nie powiadaj w białej chatce,
Żem zginął w fali —
Hej-hej! — Ojcu, Matce,
Boby płakali!

Lecz wieść taką zanieś w chatę,
Żem druhów wiele —
Hej-hej! — na bogate
Sprosił wesele.

ARMATA.

(Satyra na armatkę o dymnym prochu, w którą Austrjacy wyposażyli artylerję Leg. Pol.).
(Śpiewka).

Jak ciele uwiązana
Starym powrozem,
Skacze, jak opętana,
Ztyłu za wozem.
Co to za kawał grata?
To jest nasza armata!
Armata-ta-ta — armata-ta-ta.

Za nią kanonier zcicha,
Zbierając ładnie,
Jeżeli jaka szprycha
Z koła wypadnie.
Potem składa i łata,
Bo to nasza armata!
Armata-ta-ta — armata-ta-ta.

Wreszcie z okrutnym trudem
(Wieść baśni bliska)
Dociągnęli ją cudem
Do stanowiska,
Nie wiedząc, że nam spłata
Psiego figla armata!
Armata-ta-ta — armata-ta-ta.

Chcieli nasi nad ranem
Napaść Moskali,
Nagle — żegnaj się z planem!
Bo jak grzmot wali —

Bum tarach, na warjata
Przypadkowo — armata!
Armata-ta-ta — armata-ta-ta.

Zgadnąć, gdzie jest ukryta?
Nie trudno wcale:
Bo ponad nią zakwita
Po każdym strzale
Obłok dymu, jak wata,
Bo to taka armata!
Armata-ta-ta — armata-ta-ta.

A Moch widząc białego
Dymu tak wiele,
Myśli, że to tam jego
Pękły szrapnele!
Lub, że to płonie chata,
A to nasza armata!
Armata-ta-ta — armata-ta-ta.

Przy niej chłopcy za sznury
Stoją, trzymając,
Bo gdy strzeli, do góry
Skacze, jak zając.
I w popłochu wtył zmiata,
Jakby pies! nie armata,
Armata-ta-ta — armata-ta-ta.

Nie gniewajcie się wcale,
Za szczerość moją,
Lecz tych dział się Moskale
Niewiele boją,
Choć to przecie, u kata,
Także wreszcie armata —
Armata-ta-ta — armata-ta-ta.

(„Paszkwil" piechura na ułanów).

Przybyli ułani pod okienko
Stukają, wołają — puść panienko!

Zaspana stanęła panna w oknie —
A cóż tam za licho w deszczu moknie?..

Otwieraj, nie bój się, piękna pani!
To my, bohaterzy, my ułani.

Panienka ofuknie nadąsana:
Możecie tam moknąć aż do rana.

I storę zasuwa dumna sztuka...
Nie wyszła godzina, znów ktoś puka:

O Jezu, a któż tam? To pułk trzeci...
Panienka otwierać zaraz leci.

ROMAN EMINOWICZ

ppor. 43 p. Strzelców Kresowych
urodzony dnia 18 maja 1900 r.
zmarł z ran w szpitalu w Zamościu
dnia 10 listopada 1920 roku.

Niesie mnie, niesie fala spokojna,
Groźny, wichrowy szum myśli zamąca,
Dalekość na mnie pędzi ciemniejąca.
R. Eminowicz: Etjuda rewolucyjna.

Krakowianin. Ukończył w rodzinnem mieście gimnazjum im. Sobieskiego. W listopadzie r. 1917, będąc jeszcze uczniem klasy ósmej, rozpoczął służbę wojskową w legjonach jako kawalerzysta 2 p. ułanów, w roku następnym był z pułkiem internowany przez Austrjaków. Przesiedział kilka miesięcy w obozie na Węgrzech, potem został wywieziony wraz z innemi do Udine. Do Krakowa wrócił w końcu czerwca r. 1918, jesienią zaś t. r. zapisał się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studjował jednak niedługo — na wieść o napadzie Ukraińców na Lwów porzucił naukę i jako ochotnik zgłosił się do wojska. Służbę pełnił w I komp. bataljonu akademickiego; komp. I, jako oddział szturmowy pociągu pancernego „Śmiały", niejednym czynem wsławiła się w okresie walk polsko-ukraińskich.

W kwietniu r. 1919 został przerzucony na front litewsko-białoruski. Z powodu słabego zdrowia lato tegoż roku spędził na kuracji w Sanatorjum Wojskowem w Zakopanem. Podleczywszy się, wrócił do zajęć na uniwersytecie; z zapałem zabrał się również do pracy literackiej: pisał wiersze, organizował i zagajał wieczory literackie, zbierał materjały do miesięcznika literackiego, był sekretarzem akademickiego koła artystyczno - lite-

rackiego. Zbożną pracę młodego poety-myśliciela przerwał najazd bolszewicki na Polskę. W lipcu r. 1920 Eminowicz z całą młodzieżą akademicką zgłosił się do służby w wojsku. Odrzucił propozycję o pracy kancelaryjnej na tyłach, nie chciał również wstąpić do szkoły oficerskiej, lecz, jak przystało na człowieka o charakterze rycerskim, prosił o przydział do oddziału, przeznaczonego do służby w polu. Wojna nosiła młodego plutonowego po całej Polsce. Był dobrym, dzielnym żołnierzem — dowodem jego męstwa są liczne ordery i odznaczenia, przyznane mu m. in. za walki przy obronie Lwowa, o Wilno, za uratowanie stacji kolejowej i pociągu pancernego pod Sądową Wisznią, za akcję wypadową w okolicy Zwiahla na Wołyniu. W ogniu nie przestał pisać i — marzyć. „Doprawdy — pisał do przyjaciela — wyczerpuję i nudzi i gniewa widok tego, że ludzie — dwie wielkie gromady — wysilają swój mózg i siły, by niszczyć się wzajemnie. Odczuwam nieraz ogromny żal, słuchając strzelaniny — wyczuwam w szalonym świście kul albo w łomotaniu granatów, jakąś duszoną wściekłość; przejmuje mnie ten ogrom złości, wyczerpuje mnie to nerwowo". Za dużo w swojem krótkiem życiu widział krwi, więc był znużony; pragnął spokoju. I spokój przyszedł; lecz nim przyszedł i przymknął zmęczone oczy, przeżył jeszcze żołnierzyk polski całą gehennę mąk. 10 października 1920 r. w bitwie pod Zwiahlem kula nieprzyjacielska przeszyła mu płuca i kręgosłup. Cały miesiąc męczył się w szpitalu. Nie ocaliły go młode lata, wielkie umiłowanie życia, słońca... Dnia 10 listopada umarł w szpitalu w Zamościu. Po śmierci za wierną służbę został mianowany podporucznikiem.

Pochowany na cmentarzu Rakowieckim w Krakowie.

Los mnie żenie na niedolę,
Ku udręce mus mnie iść,
Innym wiosna żyźni pole,
U nich osty i kąkole,
Jesień u mnie, zeschły liść.

Znikło szczęście, ukojenie —
Zaschnąć musi tęskna łza,
Los mnie ku przepaściom żenie,
Po gwiazd światach mi błądzenie
Duch mnie, hen, w bezkresy gna.

Los mnie żenie na niedolę,
Chętny idę w smutków noc.
Droga wgórę ci przez bole —
Otom pojął bożą wolę:
Stos ofiarny — ducha moc!

1918.

OWINĄŁ MNIE.

Owinął mnie, jak mglisty szal,
Wieczorny smęt tęsknoty,
I patrzę cichy w siną dal,
Kędy wśród błysków srebrnych fal
Zagasa słońca promień złoty.

Nie wróci nam promienny czas
I wiosny, i kochania,
Nie zazieleni liści las,
Nie wzniecim żaru, co tlił w nas,
Wiatr zimny iskry porozgania.

Dla wiosny naszej nastał kres —
Ból targa pierś ogromnie.
Przekwitły róże, uwiądł bez —
Mnie droga inna... Parę łez
I bólu jęk. Pamiętaj o mnie!

1919.

Czylim ja bard z wbitemi wdal oczyma,
Co słyszy święty hymn w cudów godzinie
I złotostrunną harfę w ręku trzyma —
Lecz nigdy pieśń z pod palców nie wypłynie?

Czylim ów człek ze sercem skołatanem,
Co nic z swych dóbr wydobyć już nie zdoła,
I tylko czasem zapłacze przed Panem,
I zlitowania wielkim głosem woła?

Czylim też duch, co zwolna pęta moce
I błądzi w mgle za złotem marzeń runem,
Lecz kiedyś blaskiem siły zamigoce
I w nieskończoność wystrzeli piorunem.

1919.

I

Strzępione, orle skały...
Błysk... grom... przeciągły grzmot...
Toporu cios zuchwały...
Miecz... rumak... trąba chwały!
Husarja!...
Cóż to?
Lot!

II

Dławiące serca bicie...
Popiołów blady stos...
Coś znika... — Deszcz o świcie...
Trzask trumny... jęk... słyszycie!?!
Zgadujcie!
Cóż to?
Los!

III

Główka schylona skromnie...
Drżenie... tajemny żar...
„Daj dłoń"... „Kocham ogromnie"...
Usta... Włosy... „Myśl o mnie!"
Sen... Tęcza...
Cóż to?
Czar.

IV

Całus niedoczekany...
Cyprys, wichurą zgięt...
Cztery samotne ściany...
Cień idzie w mrok różany...
Coś gra! Cyt!...
Cóż to?
Smęt.

V

Taniec... patrzysz jej w oczy.
Obcość... Odleciał ptak...
Wzrok wkoło błędny się toczy...
Ludzie... tłum... przepaść w omroczy!
Gdzie zstąpić? Noc...
Cóż to?
Brak.

VI

Wrzask, gawiedź, fałszywe maski...
Szydercza kaskada ech...
„Parradne!"... „fi donc"... oklaski...
Dusza nawywrót... szkieł blaski...
Skrzywienie ust... walc...
Cóż to?
Śmiech.

1920.

Myślałem raz sobie cichutko,
Jakby to dobrze było,
Gdyby z mych śnień o miłości
Choć jedno się spełniło.
I może jest rzeczywiście
Między tyloma innemi
Jakaś, co duszę rozumie
I rozumie gorącość tej ziemi.
Bo jeśli tęsknię do czegoś
I dłonie prężę do słońca,
To znaczy, że chciałbym wybraną
Całować, całować bez końca.
Nie jesteś mgłą ani cieniem,
Ale może nie jesteś żyjąca
(—Kochałem cię w szumie lasu
Rozumiem cię w smętku miesiąca—).
A jeśli czasem myślę,
Że prócz ciebie mnie nic nie uleczy,
To nie jest romantyczność,
Lecz szary smutek człowieczy.
Stęskniłem się do ciebie
(—Był las i było wichrowo,
Leżałem sobie nawznak
A drzewa szumiały nad głową—.)
Bo gdybyś ty mnie kochała
(— Zamroczy mnie smutek, zamroczy—)
To pewniebyś przyszła cicho
Pokładłabyś mi ręce na oczy.
A wiesz, jest tu wiosennie i jasno...
Ciekawym, czy twoja myśl jest ze mną,

Bo znowu byłbym niespokojny,
Duszę miałbym smutkiem ciemną.
Nachyl głowę, pachną twoje włosy,
Jesteśmy dwoje małych dzieci,
Czego się nie rozśmiejesz do mnie?
Popatrz miła, radością słońce świeci.
Jest czasem tak dobrze, tak dobrze,
Tak jest poprostu ślicznie,
Że pojęcia uciekają z głowy,
A dusza myśli muzycznie.
Namiętnie całowałbym twe ramiona,
Wiesz, jestem zaniepokojony,
Jest w borze tym wiele dróg,
Nie wiem, w jakie prowadzą strony.
Przeczucie szumi po lesie,
Wiewiórka po czarnym pniu spada,
Miła, w źrenicach twych widzę
Twarz moją i jest blada —
Zachowaj jeszcze choć niewiele,
Tą przecudną grę subtelności
(— Długie spojrzenia z pod rzęs,
Ale nie mówi się wcale o miłości—)
Przechodzimy korytarzem drzew,
Daj ramię (— bliskość twego ciała),
Chcę ja ciebie prowadzić
I chcę, byś się na mnie wspierała.
Jeżeli popatrzyłaś do głębi?...
Rozumiesz... płakało każde drzewo,
Chciałem osłonić cię ramionami
Przed łez ulewą.
Było wyolbrzymienie miłości,
Władze ducha do niej zatęskniły

(— Czy może było za wielkie...
I przestraszyłaś się siły...?)
Zabijałem wielką ironję,
Ale smutek pozostał bez miary,
Ciekawym, gdzie kończy się droga
W pośrodku puszczy prastarej...?
Przez szarą kratę gałązek
Przenikliwie mnie się przypatruje
Samotność, a ja całkiem naiwnie,
Zaczynam ją sobie uświadamiać.

Rembertów, 25-VII-20. *J. F.*

EXPOSÉE.

I.

Coś mi świętego moja dusza śpiewa,
Nadlata jakiś orkanowy szum,
Wiruje myśli szalonych ulewa,
Sto lotów prężnych, sto tęsknic, sto dum...

Nie pohamuje tej mojej silności
Tysiącznych fałszów świętoszkowy kram.
Zazdroszczę?... dumny jestem z mej zazdrości,
Bo ja do mocy moje prawo znam.

Patrzę na dzisiaj i na przyszłe lata,
I zakochałem się w srebrzystym śnie,
Przeczułem ducha w kręgu słońc wszechświata,
I wiem dziś, że on — przynależy mnie.

W moich tęskności wiecznym nieukoju
W bolesnym krzyku: dalej, dalej idź!
Poznałem surmę zwycięskiego boju.
Nadzieje nowych, jasnych moich żyć!

Przez to, że tu mnie każda małość wiąże,
A każda moc podsyca ból i pęd,
Ja śnię, by być jako udzielny książę,
Bo mam do wszystkich niewolników wstręt.

II.

A znacie wy, jak taka moc urasta?
Czy przeczuwacie mą febryczność trwóg,

Błądzenie w deszcz przez szarość ulic miasta,
Gdy wiem, że ze mną nikt... nikt... nawet Bóg...

Senność gniotąca zmęczone powieki..
Apatja, bezwład, nieruchome nic...
...Obraz kochany jakiś, a daleki...
Jakiś płacz, czyichś wytęsknianie lic.

Wydeptywane... ot... bezmyślnie błoto,
Ziąb, niepogoda, dreszcz... za krokiem krok...
Jakaś tęsknota cicha — za tęsknotą...
...Wczoraj... dziś... jutro... co potem... za rok?

Przydusza parność rozżalonych łzawic
I przedburzowe zamilknięcie fal. —
— Czyż przeczuwacie wtedy wichr błyskawic
I echem grzmotów potrącaną dal?

Poznałem chwilę, kiedy się z nędzarza
Rodzi monarcha, ze słabości moc,
Myśl — karzeł się w Giganta przeobraża
I targa w strzępy własny smęt i noc.

III.

Lecz wstydzę się mej koturnowej mowy;
Jakieś szyderstwo brzmi z niektórych słów,
I radbym zniszczyć patos piorunowy,
By mową — życiem do was gędzić znów.

Pochwytać wszystkie znikające cienie,
Pod rękę z niemi iść, hen, w mnogość lat,

A wam nakazać ciche zachwycenie,
Gawędząc zprosta, ot... jak z bratem brat.

A kiedyś, gdy się tak otworzy dusza,
Że przyjmie cały świat, jak Boży dar,
Wypragniam, bym myśl każdą, dźwięk, co wzrusza
Niósł wam wprost, jak pospólny, szczery gwar.

1920.

MIECZYSŁAW ZAGÓROWSKI

podporucznik

urodzony dnia 27 stycznia 1901 roku,
poległ w Krakowie dnia 6 listopada 1925 r.

...śpieszmy — może to człowiek biały, napadnięty przez dzikich, potrzebuje pomocy.

M. Zagórowski: W puszczy Teksasu.

Mieczysław Zagórowski urodził się w Nowym Targu, w Małopolsce. Od r. 1912 uczęszczał do gimnazjum w Nowym Sączu, Białej, we Lwowie — świadectwo dojrzałości uzyskał w r. 1920 w gimnazjum im. Władysława IV w Warszawie, na Pradze. W międzyczasie należał do obrońców Lwowa i otrzymał order „orlęta".

Uzyskawszy maturę, zapisał się do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Najazd bolszewicki wyrwał go ze szkoły i rzucił na front — młody chłopiec po raz już wtóry bije się za Polskę. Nic dziwnego, że upodobał sobie zawód rycerski: po skończonej wojnie nie wraca do swej szkoły, lecz idzie do Podchorążówki w Warszawie, skąd po roku przeszedł do Centralnej Szkoły Kawalerji w Grudziądzu.

Wojna i studja wypełniły krótkie życie Zagórowskiego. A jednak znalazł czas jeszcze i swoje marzenia chłopięce o bohaterstwie ujął w formę dobrej powieści dla młodzieży. Doczekała się ta jego książka w krótkim czasie drugiego wydania. Do innych zebrał materjał, porobił notatki — nie wykończył jednak żadnej, bo nie zdążył...

28 września 1923 r. uzyskał młody żołnierz stopień podporucznika i przydział do ósmego pułku ułanów w Krakowie, a 19 października już objął służbę. Pełnił ją niedługo, bo zaledwie do 6 listopada. W dniu tym z rozkazu dowództwa wyruszył na ulicę zrewoltowanego Krakowa. Na czele swego plutonu posuwał się ul. Dunajewskiego. Nagle z za drzew, z dachów, z okien i bram domów posypały się kule na ułanów polskich. Jedna z nich zwaliła młodego podporucznika na ziemię. Ale się podniósł, zebrał spieszonych ułanów i z szablą-sławą w ręku posunął się naprzód. Druga kula dosięgła go przed bramą domu, oznaczonego Nr. 5. Młody oficer bronił się chwilę jeszcze, lecz z powodu upływu krwi upadł na ziemię, Zdążył wznieść jeszcze okrzyk: „Niech żyje Polska! Niech żyje ósmy pułk ułanów".

Takie były ostatnie jego słowa. Dobito go bagnetami.

W rok potem na tablicy marmurowej w Warszawskiej Szkole Podchorążych do nazwisk wychowanków szkoły, poległych za Ojczyznę, oddano jedno świeże — Mieczysława Zagórowskiego.

Wyjątek — rozdział X z powieści dla młodzieży p. t. „W puszczy Teksasu".

Skoro tylko spiskowcy znikli za drzewami, kadeci podnieśli się cicho z trawy.

— Musimy, Ryszardzie, wracać natychmiast do fortu — rzekł Demarquez — i zdać raport kapitanowi. Nie potrzebuję ci chyba mówić, że rozmowa, którą podsłuchaliśmy szczęśliwym trafem, jest bardzo ważna.

Wyszeptawszy te słowa, Demarquez począł ostrożnie schodzić wdół. Za nim postępował Brandley z przygotowanym do strzału karabinem.

Wkrótce przekonali się, że ostrożność ta nie była zbyteczna. Wychodząc z ciemnego gąszczu krzewów, zobaczyli o kilkanaście kroków przed sobą przesuwającą się w mroku leśnym postać Indjanina. Dziki sunął cicho jak widmo. Wielkie pióra chwiały mu się zlekka na głowie, jego oczy utkwione były w głębię leśną z niesłychaną czujnością i uwagą. Nogi stąpały bez najmniejszego szelestu, a całe ciało elastyczne i silne przypominało ciało pantery, czającej się do skoku.

Demarquez w pierwszej chwili chciał posłać mu kulę, lecz uprzytomniwszy sobie słowa „czarnej pantery", że las jest przepełniony Indjanami, cofnął się błyskawicznie za drzewo i pociągnął za sobą Brandley'a. Indjanin przystanął i zwrócił głowę w stronę, gdzie byli młodzieńcy, jednakże widocznie żaden szelest podejrzany nie doszedł jego czujnych uszu, gdyż po chwili ruszył dalej i wkrótce zniknął za drzewami puszczy.

Brandley spojrzał na przyjaciela z westchnieniem ulgi.

— Teraz szybko dalej — zakomenderował Demarquez. — Rzekłszy to, Hiszpan puścił się pędem do pochyłości pagórka, przeskakując ze zwinnością kota wystające korzenie drzew, kamienie lub wielkie jamy, wypłókane przez deszcze. Brandley biegł za nim o kilka kroków.

Już tylko mała przestrzeń dzieliła ich od miejsca, gdzie przywiązali czółno, gdy nagle w gęstych krzakach, z pośród których strzelały wgórę wysokie drzewa, zabrzmiał krzyk trwogi, boleści, który oddały rozgłośnie echa puszczy. Jeszcze raz krzyk się powtórzył i jakiś odgłos głuchy, jakby pochodzący z uderzenia siekierą o drzewo, i wreszcie wszystko ucichło.

Okrzyk ten był tak przerażający, że obydwaj młodzieńcy stanęli odrazu jak wryci, nadsłuchując.

— Ryszardzie, śpieszmy — zawołał naraz Demarquez — może to człowiek biały, napadnięty przez dzikich, potrzebuję pomocy. Naprzód!

Nie zachowując już ostrożności, młodzieńcy pędem przedzierali się przez krzaki i zarośla, stawiające im po drodze zacięty opór.

W kilka sekund przybyli na brzeg jeziora i tutaj oczom ich okropny przedstawił się widok.

W wysokiej trawie leżał Indjanin, powalony potężnym ciosem siekiery w głowę. Strzaskana broń dowodziła, że dziki bronił się, zanim przeciwnik, który go zaskoczył, nie zadał mu śmiertelnego ciosu. Ciało wojownika było jeszcze ciepłe, lecz zdruzgotana czaszka i wielka kałuża krwi świadczyły, że duch jego uleciał do krainy wiecznych łowów. Wielkie odciski stóp świadczyły, że napastnik musiał być olbrzymim człowiekiem, a rozpłatany napoły od uderzenia topór wo-

jenny Indjanina dowodził, że siła jego przewyższała jeszcze wzrost.

Co najdziwniejsze jednak to to, że opodal uwiązana do pnia drzewa kołysała się spokojnie na falach jeziora łódź. Tajemniczy zabójca Indjanina nie myślał widać z niej skorzystać, by ujść przed pogonią towarzyszy zabitego, którzy musieli słyszeć daleko rozchodzący się po lesie jego przedśmiertny okrzyk. Widocznie uchodząc pośpiesznie, nie zauważył łodzi, czy też może spłoszyły go przed czasem kroki nadbiegających kadetów.

Brandley, wpatrzywszy się z przerażeniem w rozciągnięte zwłoki Indjanina, stał osłupiały, lecz Demarquez szarpnął go za rękaw, wyrywając tym sposobem z zamyślenia.

— Uchodźmy co prędzej, Ryszardzie — zawołał wskakując do łodzi — za kilka chwil będziemy w ręku dzikich, jeśli szybko nie oddalimy się z tego miejsca.

Brandley, posłuszny przyjacielowi, wskoczył do łodzi i wkrótce mały statek, popychany energicznie dwiema parami wioseł, odpłynął od brzegu. Był to ostatni czas do ucieczki. W chwili bowiem, gdy czółno oddaliło się o kilkanaście metrów od niebezpiecznego miejsca, z lasu wypadło kilku Indjan, wywijając nad głowami podniesioną groźnie bronią.

Zobaczywszy swego towarzysza, zamordowanego w tak okropny sposób, wydali okrzyk wściekłości i zemsty, który daleko rozległ się po okolicy, i wymierzyli strzelby w oddalających się coraz to bardziej młodzieńców.

Huknęły strzały, lecz kule ze świstem przeleciały ponad głowami uciekających i z pluskiem wpadły w jezioro, rozpryskując wokoło krople wody.

— Ładnie strzelacie, czerwone małpy — zawołał z szyderstwem po hiszpańsku Demarquez.

Słowa te doleciały widocznie do uszu Indjan i zostały zrozumiane, gdyż dzicy wydali okropny okrzyk i nowa salwa strzałów huknęła z ich strzelb.

Demarquez wyprostował się i wypuścił wiosła. Jego twarz, zwykle blada, zarumieniła się, a piękne usta zacięły. Czarne oczy ciskały błyskawice gniewu i zaciętości. Huk strzałów i świst kul poruszył w nim rycerską krew hiszpańską. Nagle podniósł rewolwer i wszystkie sześć kul wysłał w gromadę Indjan. Jęki i huk nowych strzałów odpowiedziały mu z brzegu.

Lecz Demarquez nie zważał już na nic. Nabiwszy powtórnie rewolwer, wychylił się z łodzi.

Dym prochu upajał go. Ręka, trzymająca broń, drżała nerwowo, lecz strzały jego były pewne, jak śmierć. Indjanie poczęli się cofać przed jego celnemi strzałami, kryjąc się za pnie drzew; nie przestawali jednak zasypywać łodzi ulewą kul.

— Carramba! — zawołał Demarquez, spostrzegłszy ten nowy manewr przeciwnika. — Ryszardzie, teraz weźmy się do wioseł.

I rzuciwszy rewolwer na dno łódki, porwał za wiosła, lecz spojrzawszy na twarz swego przyjaciela, wykrzyknął z przestrachu.

Twarz Brandley'a była biała jak kreda. Z lewej strony szyi sączył się wązki strumyczek krwi, który spływając wolno na sukno munduru i chustkę czapki, zasychał, tworząc rdzawe plamy.

— Ryszardzie! co tobie? — zawołał, przypadając do przyjaciela.

Brandley usiłował się uśmiechnąć, lecz uśmiech ten zaledwie wykrzywił jego boleśnie zacięte usta.

— Słabo mi bardzo, Emanuelu — wyszeptał z wysiłkiem, poczem zsunął się z cichym jękiem na dno łodzi.

Demarquez zerwał chustkę ze swojej czapki i zamoczywszy ją w wodzie, przytknął do rany przyjaciela, z której krew nie przestawała wypływać cienkim, jednostajnym strumykiem.

Twarz Brandley'a stawała się coraz to bledsza. Jego błękitne, smutne oczy błądziły wokoło, obejmując spojrzeniem wyniosłe stoki gór, zielone lasy i niebo przeczyste, lazurowe, bez jednej chmurki.

— Jutro już nie zobaczę tego świata — wyszeptał cicho. — Wielkie łzy zabłysły w jego oczach i powoli spłynęły po policzkach. Demarquez, jedną ręką podtrzymując przyjaciela, otarł łzy, cisnące się mu do oczu i zasłaniające je gęstą mgłą.

Gdy spojrzał znów, oczy Brandley'a były utkwione w niebo. Lekkie drżenie przebiegło jego ciało. Pierś podniosła się ostatnim oddechem — i skonał z uśmiechem na dziecinnej twarzy.

Demarquez podniósł się z nad ciała przyjaciela. Pochwycił wiosła i pchnął łódkę zpowrotem do brzegu. Indjanie, wydawszy okrzyk triumfu, również wypadli z za drzew. Teraz byli pewni, że im nie ujdzie. Lecz Demarquez, pochwyciwszy karabin, wnet posłał im śmiertelne strzały. Okrzyki wściekłości i bólu odpowiedziały mu z brzegu. Grad kul z przeciągłym świstem przeleciał mu koło głowy, zrywając czapkę, dziurawiąc burty łodzi. Mimo to nie trafiła go żadna. Uniesiony zemstą nie czuł nic, nie zważał na nic. Z błyskawiczną szybkością nabijał karabin i strzelał w bandę Indjan bez miłosierdzia.

— To za ciebie, Ryszardzie — szeptały jego usta.

Łódź, popychana falami, o kilka tylko metrów oddalona była od wybrzeża.

Czerwoni wojownicy wydali okrzyk triumfu i rzucili się naprzód, chcąc białą bronią pomścić swych poległych, gdy w tem zatrzymali się.

Ich broń, groźnie wzniesiona wgórę, opadła. Chwila, a wszyscy, jak stado spłoszonych kur łąkowych, rozpierzchli się, pędząc ku zaroślom.

Przeciągły, suchy trzask salwy kilkunastu karabinów targnął powietrzem.

— Nabij, cel... — zabrzmiała spokojna, głośna komenda.

Demarquez, odwróciwszy się, ujrzał trzy czółna napełnione żołnierzami, przybywającemi mu z pomocą.

Na przedzie jednego z nich stał Lamartin, spokojny, groźny, z obnażoną szpadą i dobytym rewolwerem, raczej do posągu, niż do człowieka podobny. W drugiem jechał kapral Atkinson, który, gdy tylko statek przybił do brzegu, wyprowadził swą sekcję i powiódł do ataku.

— Jesteś szaleńcem, kolego Demarquez — zawołał z łodzi Lamartin — wiedziałem, że jesteś odważny, ale...

Nagle urwał — oczy jego ze zdziwieniem spoczęły na twarzy Demarqueza.

— Co się stało? — zapytał niespokojnie; lecz jedno spojrzenie, skierowane w głąb łodzi, gdzie wyciągnięte leżało ciało Brandley'a, odkryło mu wszystko.

Schował rewolwer i zdjął w milczeniu czapkę z głowy. Żołnierze umilkli również i jak na komendę odkryli swe głowy.

Z puszczy dolatywał jeszcze odgłos pojedyńczych strzałów.

BIBLJOGRAFJA.

1) STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI 1547 — 1620.

Szemberg Teofil: Relacja prawdziwa... Krak. 1621 — przedruk w „Przyjacielu ludu" 1842. Nr. 25 — 30.

Szajnocha Karol: Opowiadanie o królu Janie III. I Mściciel, Żytomierz 1860.

Bielowski August: Pisma Żółkiewskiego St., Lwów 1861.

Józef Al. Starza: Stanisław Żółkiewski.

2) JAKÓB JASIŃSKI 1759 — 1794.

Mościcki Henryk: Generał Jasiński i powstanie kościuszkowskie, Warszawa, b. r.

Jasiński Jakób: Pisma, Krak. 1869.

3) CYPRJAN GODEBSKI 1765 — 1809.

Godebski Cyprjan: Dzieła wierszem i prozą, Warszawa 1821. 2 cz. Z przedmową Józefa Kalas. Szaniawskiego.

Michalski J.: „Sto lat myśli polskiej" t. II.

„Zabawy przyjemne i pożyteczne" 1803 — 1806.

4) ANDRZEJ BRODZIŃSKI 1786 — 1812.

Brodziński Andrzej: Zabawki wierszem i prozą. Krak. 1808.

„Pamiętnik Warszawski" 1820.

Chmielowski Piotr: Historja literatury polskiej, t. III. str. 68 — 69.

5) WINCENTY REKLEWSKI 1786 — 1812.

Reklewski Wincenty: Sielanki Krakowskie, Krak. 1850.

Brodziński Kazimierz: „Pamiętnik Warszawski" 1815 — O życiu i pismach W. Reklewskiego.

Michalski J.: „Sto lat myśli polskiej", t. II. Wincenty Reklewski.

Brodziński Andrzej: Zabawki wierszem i prozą. Krak. 1808.

6) JÓZEF ŁAPSIŃSKI ok. 1810 — 1831.

Sosnowski: Poezja krakowska z czasów Wolnego Miasta, Krak. 1901.

Grabowski Ambroży: Wspomnienia. Krak. 1909, 2 t.

7) RAJNOLD SUCHODOLSKI 1804 — 1831.

„Pamiętnik dla płci pięknej" 1830.

Wójcicki K. Wł.: Kawa literacka w Warszawie 1829 — 30. Warszawa, 1873.

Wiersze ulotne z r. 1830.

Falkowski St.: Upadek powstania Pol. z r. 1831. Pozn. 1881.

L. Mierosławski: Bitwa Warszawska, Pozn. 1888, t. 2-gi— Gen. Kruszewski: Pamiętniki... W-wa 1930.

8) MAURYCY GOSŁAWSKI 1802 — 1834.

Gosławski Maurycy: Poezje. Lipsk 1864. z życiorysem pióra Zienkowicza.

Zdziarski: Maurycy Gosławski — Zarys biograficzno - literacki. Petersburg 1899.

9) EDWARD DEMBOWSKI 1822 — 1846.

Stecka Marja: Edward Dembowski. Lwów 1911 — Życiorys.

„Przegląd Naukowy" 1842 — 1843.

Smoleński Wład.: Dzieje narodu polskiego. Warszawa b. r. Wyd. 7.

Chmielowski P.: Dzieje krytyki literackiej w Polsce. Warszawa 1902.

10) MIECZYSŁAW ROMANOWSKI 1834 — 1863.

Romanowski M.: Poezje. Lwów 1883, 4 t.

Wróblewski K.: O życiu i pismach M. Romanowskiego.

Lam Stanisław: M. Romanowski — Zarys biogr.-kryt., na podstawie źródeł rękopiśm. Lwów 1913.

12) JERZY ŻUŁAWSKI 1874 — 1915.

Żuławski Jerzy: Poezje, 1909, 4 t.

Feldman Wilhelm: Współczesna literatura polska. Warszawa 1902.

11) STANISŁAW DŁUGOSZ-TETERA 1892 — 1915.

Długosz St.: Przed złotym czasem, Krak. 1917 — utwory wierszem i prozą. z przedmową Andrzeja Struga.

13) JAN ŁYSEK 1886 — 1915.
Łysek Jan: Śpiący rycerze Cieszyn 1929.
„15 lat" — wyd. z okazji pierwszego zjazdu Leg. Pol. w Cieszynie d. 20-X-1929 r.
„Panteon". Lwów.

14) WŁODZIMIERZ KONIECZNY 1886 — 1915.
„Krytyka", Krak. 1912 — 1914.
Żeromski St.: Snobizm i postęp. Warszawa 1926.
„Panteon". Lwów.

15) JÓZEF MĄCZKA 1888 — 1917.
Mączka Józef: Starym szlakiem. Krak. 1917, Poezje.
„Federacja", Maj 1929 r. Nr. 1. Warszawa.

16) JERZY NIEMENTOWSKI 1889 — 1918.
„Krytyka", Krak. 1912 — 1914.
Feldman Wilhelm: Współczesna literatura polska, Lwów — Warszawa 1923. Wyd. siódme.

17) ROMAN FELDSTEIN-FELSZTYN 1901 — 1919.
Feldstein-Felsztyn R.: Pójdźcie za mną, Lwów 1919. Poezje.

18) BOGUSŁAW SZUL-SKJOLDKRONA 1895 — 1920.
Szul-Skjöldkrona: Pieśni żołnierskie, Warszawa 1919.

19) ROMAN EMINOWICZ 1899 — 1920.
Eminowicz Roman: Basileus, Warszawa 1922, wiersze, przemówienia.

20) MIECZYSŁAW ZAGÓROWSKI 1901 — 1923.
Zagórowski Mieczysław: W puszczy Teksasu, Poznań b. r. wyd. II.

BIBLIOTEKA
UMCS

26/848

35 zł.-

237052

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

B 76286

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

B76286

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

1000174405